

# Wiking i Złotowłosa

Navin Jacqueline



calibre 0.9.43

**JACQUELINE NAVIN**

# WIKING I

## ZŁOTOWŁOSA

### ROZDZIAŁ PIERWSZY

Słońce raz po raz przebijało się przez gęste listowie i padało na drogę, którą wyznaczały koleiny ze stojącą miejscami wodą po wczorajszym deszczu.

W lektyce zawieszanej między dwoma końmi spała młoda niewiasta, skulona na poduszkach obszytych jedwabnym adamaszkiem. Z ust drzemiącej obok panny służebnej wydobywało się chrapanie. Ciężkie draperie częściowo głużyły hałas, jednak przebijał przez nie stukot kopyt końskich, chrzęst zbroi, odgłos męskich rozmów. Wszystkie te dźwięki mieszały się ze sobą, tworząc coś w rodzaju kojącego szumu. Miarowe kołysanie lektyki sprawiało, że spoczywająca na miękkich poduszkach złotowłosa piękność mogła wreszcie zażywać dobroczynnego snu po trzech dniach pełnego niepokoju czuwania.

A jednak ocknęła się nagle i usiadła na pośłaniu.

Znowu we śnie powróciło tamto.

Rozejrzała się i przez chwilę nasłuchiwała. Wróciła pamięć ostatnich wydarzeń.

Kołysanie, które z początku tak ją zaniepokoiło, wywołane było miarowym stąpaniem koni. Z westchnieniem ulgi, które wszak niczym nie różniło się od westchnienia pełnego rezygnacji, opadła na miękkie pośłanie. Jej szczupła dłoń powędrowała ku czołu, z którego odgarnęła kilka niesfornych złocistych loków.

Świat rzeczywisty wcale się nie wydawał lepszy od sennego koszmaru. Mieli dotrzeć o zmierzchu do Gastonbury, otoczonego potężnym murem zamku, gdzie jej kuzynka wraz z mężem oczekiwała jej przybycia.

Gastonbury. Zimny dreszcz przeniknął jej ciało. Z wielu ust słyszała o człowieku, który nazywał się Lucien de Montregnier. Czarnowłosa i o strasznym obliczu, nie wahał się

palić i ścinać, jeśli duma i urażony honor podszeptnęły mu właśnie, że innej drogi zemsty po prostu nie ma. Przejmowały grozą jego czyny, wielu bladło, gdy przychodziło im o nich mówić. Tak i zbladła teraz złotowłosa na wspomnienie swego snu, a widząc, że drżą jej dłonie, zacisnęła je w pięści.

Jednak to nie Gastonbury i nie władający nim dziki możny pan napawali ją od dawna przerażeniem. Prześladowała ją myśl o twierdzy Berendsfore i jej właścicielu, sir Robercie.

On właśnie był treścią jej snu. Chyba że nie był to sen, tylko wspomnienie? Próbowała odpowiedzieć sobie na to pytanie i lękała się najgorszego - pomieszania zmysłów.

Sen zazwyczaj zaczynał się od zwodniczo łagodnego obrazu, że jest w sypialni w.

swoim domu w Hallscroft. Odkąd sięgała pamięcią, była tu zawsze, to znaczy od dnia narodzin. Teraz miała dziesięć lub najwyżej dwanaście lat. Było po deszczu i przez okno wpadał ożywczy zapach skąpanych rosą igieł świerków i modrzewi. Światło księżyca oblewało zaścielające posadzkę sitowie. Obraz za każdym razem był do tego stopnia wyrazisty, że nie mogła się nadziwić wyjątkowej wrażliwości swych zmysłów.

Wyraźnie czuła wonie i słyszała szmery, lecz przecież w żadnym wypadku nie mogła to być jawa.

Weszła niewiasta. Kontury jej postaci rozmywały się w mroku, a jednak woń, jaka napełniła sypialnię, nie pozostawiła żadnych wątpliwości. Jak również dotyk, delikatny, czuły i pieszczotliwy. - Moja piękna dziewczynka - szepnęła niewiasta, w której Rosamund rozpoznała matkę.

I znów, niczym najśłodsza melodia, popłynęły te słowa, niesione na skrzydłach pamięci. A za nimi następne, których już jednak nie rozumiała. Wargi matki poruszały się, dźwięki rozchodziły się w powietrzu, lecz poszczególne głoski nie układały się w znaczenia.

Nagle matka obróciła się do niej bokiem. Na tle wpadającej przez okno tajemniczej

poświaty jej sterczący brzuch rysował się bardzo wyraźnie. Wiotka, szczupła figura i ten brzuch, który wprowadził Rosamund w stan wielkiego zmieszania. Ujrzała w nim zapowiedź nie nowego życia, tylko utraty i rozłąki.

Zbliżywszy się do okna, matka rozpostarła ramiona. Wzbiła się w górę i poszybowała niczym sokół wędrowny. Jej pyszne włosy powiewały na wietrze. Pożegnała córeczkę uśmiechem i pofrunęła ku śmierci.

Rosamund otworzyła usta do krzyku, lecz nie uleciał z nich żaden dźwięk. Chciała płakać - oczy miała suche. Rozpostarła ramiona w nadziei, że przemieni się w skrzydła, one jednak uparcie chciały pozostać rękami.

Budziła się przerażona, a łzy spływały jej po policzkach.

Ten dziwny sen nawiedzał ją ostatnio niemal codziennie wraz z całą swoją prawdą i fałszem. Jego straszne przesłanie dotyczyło jej własnej przyszłości. To był sen proroczy, będący znakiem przeznaczenia.

Było jej gorąco. Czoło miała zroszone potem, a dłonie wilgotne. Draperie lektyki, które chroniły przed kurzem drogi, nie dopuszczały też świeżego powietrza. A wciąż trwało lato, chociaż chyliło się już ku jesieni. Powietrze wewnątrz lektyki było tak gęste i duszne, że Rosamund prawie nie miała czym oddychać. Rozpięła niebieski kubraczek, by dać piersiom ulgę.

- Wolniej tam na przedzie! - rozległ się męski krzyk i po chwili bujanie niemal ustało.

Wołanie obudziło Hilde.

- Co się dzieje? Dojechaliśmy? Czy to już Gastonbury? - dopytywała się zażywna panna służąca, ziewając, przecierając oczy i rozprostowując nogi, o których wszystko można było powiedzieć, tylko nie to, że są nogami sarny. - Ależ jestem głodna! Twoja kuzynka, panienko, chyba nie poskąpi namjadła i napitku? - Zacierała dłonie, jakby nie mając zamiaru

przestać.

- Jak można tak wciąż myśleć o jedzeniu? - rzuciła Rosamund głosem zdradzającym rozdrażnienie. Kogóż jednak obchodziło, co działo się w jej duszy? Mogłaby krzyczeć i rwać włosy na głowie, a wtedy uznano by ją za szaloną.

Nagle lektyka gwałtownie się zakołysała. Hilde wydała okrzyk przerażenia. Luźno zwisające zasłony wybrzuszyły się, po czym szparami wtargnęły do środka gałęzie, niczym dłonie o rozcapierzonych palcach, nie wiadomo, czy sięgające po ofiarę, czy podane w geście powitania.

- W tym miejscu droga zapewne się zwęża - powiedziała Rosamund, ukrywając wzrastające napięcie. Stanęli.

- Co się dzieje? - Hilde, która zawsze musiała wszystko wiedzieć, rozchyliła draperie. Rosamund zerknęła ponad jej ramieniem.

- Wciąż tylko gęstwina. Kiedy wreszcie wydostaniemy się z tego lasu?

A jednak nie wszystko było tak jak do tej pory. Ustały rozmowy mężczyzn, umilkł stukot kopyt. Zaległa cisza jak przed burzą.

- Być może natknęliśmy się na jakąś przeszkodę - rzuciła Rosamund, próbując oswoić nieznane. Słowa te jednak nie przegnały groźby, która wisiała w powietrzu. - Może jakiś głęboki strumień lub zarwany most.

Rozległy się okrzyki, ostre, ponagłające. Tuż nad ich głowami bicz przeciął ze świstem powietrze. Ruszyli równie gwałtownie, jak się zatrzymali. Niewiasty opadły na poduszki.

Chyba uciekali, gdyż z tyłu dały się słyszeć odgłosy walki. Stal uderzała o stal. Kwik koni mieszał się z przekleństwami.

Konie pędziły na złamanie karku. Lektyką rzucało w górę i na boki. Hilde upadła na

swoją panią i chwyciła ją w swe tłuste ramiona. Przygnieciona służącą, Rosamund z trudem oddychała. Hilde jęczała, wzywała Boga i wydawała się zdecydowana udusić swoją panią, jeśli tym sposobem mogłaby uratować siebie. Konie wzięły zakręt w pełnym pędzie. Obie wypadłyby na drogę, gdyby Rosamund z całej siły nie zacisnęła dłoni na brzegu lektyki. Hilde zachowywała się tak, jakby chciała się schować albo to za uchem Rosamund czy to w jej włosach lub pod pachą. Całkiem zapomniała, że jest trzy razy cięższa od swej pani i przerastają o głowę. Nie docierały do niej prośby, by zwolniła uścisk.

- Hilde, błagam. Nie mogę się ruszyć. Duszę się. Chce sprawdzić, co właściwie się dzieje.

- A jaka pociecha z tego, że zobaczysz, panienko, twarze naszych morderców?

- Przestań! - wykrzyknęła Rosamund, z trudem odpychając służkę. Uwolniwszy się od ciężaru, rozchyliła zasłony. Prawie natychmiast zasunęła je z powrotem.

- I co panienka zobaczyła? - spytała Hilde, najwyraźniej będąca na granicy hysterii.

Rosamund obrzuciła wzrokiem niewielką przestrzeń jakby w poszukiwaniu broni.

- Jest ich cały zastęp. Obawiam się, Hilde...

Nie musiała kończyć. Twarz jej wyrażała wszystko. Teraz obie się bały.

Tuż nad ich głowami rozległ się głośny trzask. Coś dużego i ciężkiego musiało uderzyć o dach lektyki.

- Atakują nas! - wrzasnęła Hilde.

- Sza! - rozkazała jej Rosamund, nasłuchując.

- Walczą!

- Czy ty wreszcie będziesz cicho!

Lektyka otarła się z łoskotem o jakiś głaz. Wyrzucona ze swego miejsca Hilde z

powrotem zwała się na swoją panią. Rosamund już nie walczyła. Zaczęła się modlić

Zmówiła Ojciec Nasz, po czym jej zbieleły wargi zaczęły się układać w słowa litanii do Najświętszej Panny.

Pędzili tak szybko, że tętent koni zlewał się w nieprzerwany łoskot. Gałęzie drzew szarpały draperie. Coraz częściej rozlegały się odgłosy walki. Szczęk broni przeplatał się z ludzkimi jękami, okrzykami i przekleństwami. Nagle wszystko ucichło. Konie niosące lektykę zatrzymały się.

Hilde uniosła głowę, ukazując zalaną łzami twarz.

- Czy już po wszystkim? Jesteśmy uratowane?

- Nie wiem. - Rosamund bała się nawet oddychać. Ktoś zeskoczył z dachu. Trzasnęła pod jego stopami lektyka na ziemi sucha gałąź.

Hilde skuliła się jak przed ciosem. Marzyła zapewne o tym, by stać się niewidzialną, ale jej wielkie ciało miało tę właściwość, że rzucało się w oczy.

Draperie się rozchyliły. Widać było jednego z nich. To znaczy zobaczyła go Rosamund, gdyż Hilde zaciskała powieki aż do bólu.

Był w skórzanym kubraku i czerwonym kapeluszu na głowie, ustrojonym barwnym piórkiem. Miał ogorzałą młodzieńczą twarz i wyglądał bardzo zawadiacko.

Hilde, w której ciekawość przewyciężyła strach, ośmieliła się wreszcie spojrzeć. Przerażliwie wrzasnęła i osunęła się bez zmysłów na poduszki.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Na rozległym placu w obrębie murów pobliskiego zamku Gastonbury dwóch wojów toczyło ze sobą zażarty bój. Czarnowłosa dzierżył miecz w jednym ręku, w drugim zaś sztylet. Jego przeciwnik, mężczyzna o włosach jasnych jak len, wymachiwał oburącz trzymanym mieczem o długim szerokim ostrzu. Poruszał się zwinnie i lekko, mimo masywnej budowy ciała i wysokiego wzrostu. Pot zalewał mu oczy. W pewnym momencie otarł



obnażonym ramieniem zroszone czoło.

Rozległ się zgodny śmiech trzech obserwujących walkę młodych piękności.

- Może przydałaby ci się wstążka do przewiązania tych twoich panięskich loków -

rzucił urągliwie przeciwnik. Jestem pewien, że żadna z tych panien nie odmówi ci swojej.

Olbrzym odwarknął coś, obnażając nieskazitelnie białe równe zęby. Każdy inny

wzdrygnąłby się, widząc ten obraz dzikości, lecz wojownik o ciemnych włosach tylko

wykrzywił wargi w uśmiechu.

Poruszał się tanecznymi krokami, a jego gibkie ciało przywodziło na myśl panterę.

Ostrza mieczy kreśliły w powietrzu łuki i zygzaki. Uderzały o siebie. Dźwięczała stal. Sypały

się skry.

Blondyn odrzucił do tyłu głowę.

- Tego pchnięcia już raz użyłeś. Błąd, który można tłumaczyć jedynie zmęczeniem lub

znudzeniem.

- Przestań gadać, ty przeklęty wikingu! - rzucił brunet. - Masz coś lepszego do

zapropionowania?

- Jeszcze jedno takie odezwanie, Lucien, a będę zmuszony upokorzyć cię przed twymi

własnymi poddanymi.

Znowu dał się słyszeć niewieści chichot. Lucien zrobił groźną minę, a Wiking w

odpowiedzi uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Jeśli masz trochę oleju w głowie, licz się z moją drażliwością.

- Nie straszna mi ona - zapewnił go wiking. Lucien przypuścił błyskawiczny atak.

Pozornie godził w korpus przeciwnika, naprawdę jednak ostrze jego miecza cięło z boku na

ukos. Nie mając możliwości manewru, wiking za cel krótkiego pchnięcia mógł wybrać tylko

brzuch Luciena. Ten przewidział to i, uchyliwszy się, splazował zaciśnięte na głowni dłonie

przeciwnika.

Wielki miecz upadł z brzękiem na ubitą ziemię. Wiking wszakże nie stracił panowania nad sobą. Cofnął się o krok i wyszarpnął zza pasa ciężką sieć. Z diabelskim chichotem rozwinął ją nad głową.

- Bez mego miecza właściwie już nie żyję.

- Zobaczymy - odwarknął Lucien i w tej samej chwili znalazł się na ziemi. Ani myślał wszakże się poddać. Kilkakroć dźgnął sztyletem w sieć, nawinął ją wokół ostrza i szarpnął z całych sił. Wiking stracił równowagę i padł jak długi.

- Pojedynek nie rozstrzygnięty? - spytał, ocierając usta pobrudzone ziemią.

Lucien uśmiechnął się szyderczo.

- W żadnym razie - odparł i dźwignął się na kolana. Obie dłonie miał teraz zaciśnięte na rękojeści sztyletu. Spojrzał wikingowi w oczy. Były plamami błękitu. Pchnął od góry, wkładając w to całą swoją siłę. Wiking spokojnie czekał na śmierć. Lecz tylko do ostatniego momentu. Bo, wtedy się poderwał. Ostrze przeszło powietrze o włos od jego prawego boku.

Lucien wpadł we wściekłość.

- Słodki Jezu, Agravar, dlaczego się poruszyłeś? Niewiele brakowało, a mógłbym cię zranić.

Wiking potrząsnął głową.

- Bez wątpienia stałoby się tak, gdybyś godził w moje ciało. Ponieważ jednak tylko udajesz krwiożerczego, koguciku, wciąż żyję i nie wyciekła ze mnie ani kropelka krwi.

Z tymi wesołymi słowy przeszedł do działania. Obutą stopą grzmotnął w pierś

Luciena, obalając go na ziemię. Po chwili siedział już na nim okrakiem, a sztylet, który dopiero co zagrażał jego ciału, teraz był jego śmiertelnośnym żądłem. I żądło to dotknęło skóry na szyi Luciena.

- Teraz musisz się poddać - rzucił z uśmiechem.

- Ty bękarcie! - przeklął Lucien.

- Niech i tak będzie - rzekł Agravar, wstając i zatykając sztylet za pas. Trzy roześmiane panny pozdrowiały zwycięzcę, machając chusteczkami. Odwrócił się do nich plecami. Jego twarz znaczył nieprzyjemny grymas.

Lucien też już się zdążył dźwignąć na nogi i otrzepać z pyłu.

- Powiedzmy, że dopisało ci dzisiaj szczęście - podsumował walkę, która skończyła się jego przegraną.

- Na szczęście zarabiamy zdolnościami i pracą. Czując wciąż gorzki smak porażki, jego przyjaciel, a zarazem pan lenny spojrzał nań przenikliwym okiem.

- Ostatnim razem to ja usadziłem cię na zadku.

- Cofnij się jednak pamięcią, a przypomnisz sobie moje zwycięstwo. Pluleś ziemią aż do kolacji. - Przeniósł wzrok na żołnierza nadchodzącego od strony zamku. - Pelly! - powitał go z imienia.

- Kapitanie - rzekł młody rycerz, by następnie ukłonem wyrazić swoje uszanowanie Lucienowi. - Moja pani przysłała mnie z zapytaniem, czy pamiętacie, szlachetni panowie, żeście przyrzekli wyruszyć na spotkanie jej kuzynki, by zapewnić jej eskortę na końcowym odcinku drogi.

- Do diabła, zapomniałem. - Lucien przecesał palcami włosy, rzucając Agravarowi porozumiewawcze spojrzenie. - Czy ona jest bardzo... wzburzona? - spytał młodzieńca.

Biedny Pelly spojrzał na Agravara pytającym wzrokiem.

- Nie przejmuj się, chłopcze - zapewnił go kapitan, przy czym słowom tym towarzyszyło tak mocne klepięcie w plecy, że szczupły młodzian, walcząc o utrzymanie równowagi, był zmuszony przebiec kilka kroków. - Znamy nadmierną pobudliwość lady

Alayny w tych ostatnich tygodniach ciąży.

Lucienowi wyrwało się kilka przekleństw. Oddalił się pospiesznym krokiem. Agravar spojrział z westchnieniem w niebo i machnięciem ręki odprawił Pelly'ego. Sięgnął po swój leżący nieopodal miecz o szerokim ostrzu. Wsunął go do pochwy i pobiegł za towarzyszem. Kątem oka zauważył zachęcające uśmiechy i wabiące spojrzenia trzech młodych niewiast.

Dogonił Luciena już w stajni. Przyjaciel spytał go złośliwie:

- Dlaczego po prostu nie prześpisz się z tymi dziewczkami i nie zapewnisz nam na jakiś czas spokoju?

- Z wszystkimi trzema równocześnie czy w należytej kolejności? - spytał Agravar z miną niewiniątka.

- Obojętnie, byleby tylko przestały nas zadręczać tymi swoimi uśmiechami.

- Będziesz musiał przywyknąć do nich, ponieważ panny te w najmniejszym stopniu mnie nie interesują.

Lucien zrobił powątpiewającą minę.

- Jak czuje się Alayna? - zapytał Agravar z udaną nonszalancją. - Zauważyłem, iż twoje zazwyczaj nieprzyjemne usposobienie w ostatnich dniach stało się już zupełnie nieznośne.

Lucien potrząsnął głową.

- Agravar, na rany i krew Chrystusa, ta niewiasta droższa mi jest nad życie, lecz obawiam się, że oszaleję, zanim dziecko przyjdzie na świat. Zmieniła się nie do poznania.

Wciąż sarka, wciąż z czegoś niezadowolona, wpada z jednej ostateczności w drugą. Zalewa się łzami z byle powodu, by po chwili wybuchnąć śmiechem. Słowem, tyranizuje mnie swymi humorami.

- Wszystko wróci do normy po urodzeniu się dziecka - zapewnił go Agravar

przyjacielskim tonem. Był wielkim admiratorem lady Alayny, niewiasty o gorącym sercu, w którym nigdy nie zagościła małostkowość. I chociaż rozumiał zniecierpliwienie przyjaciela, nie miał najmniejszej wyrozumiałości dla jego skarg.

Znał bowiem niestałość przeznaczenia. Lucien cieszył się darem gorącej i głębokiej miłości. Było to coś, czego on, Agravar, jeszcze nie doświadczył, a miał już trzydzieści cztery lata. Z każdym mijającym rokiem czuł się starszy i wątpił, by jeszcze mogło go spotkać w przyszłości szczęście odwzajemnionej miłości.

Miał więc dość kwaśną minę, kiedy siodłał konia i ściągał popręg. Tymczasem Lucien nie przestawał się skarżyć:

- Z lękiem czekam połogu. Ten jej wieczny niepokój... Osiągnęła to, że prześladowają mnie złe przecucia. Już sam nie wiem... - Zwiesił głowę.

Nieprzyjemnie zaskoczony postawą przyjaciela, Agravar milczał. Poza tym podejrzewał Luciena o skłonność do rozczulania się nad samym sobą.

Lucien wszakże prędko odzyskał humor.

- Powiedz mi, gdzie nauczyłeś się tak zręcznie parować ciosy? Twoje sztuczki mogą się przydać w wielu bardzo trudnych sytuacjach w walce.

- Tego zasłonięcia przed ciosem z lewej strony nauczyłem się od Cyganów - odparł Agravar, a widząc niedowierzanie na twarzy Luciena, wzruszył ramionami i dodał: -

Podglądam technikę walki, gdzie się da, nie tylko u rycerzy.

Wsiedli na konie i ruszyli. Lucien odchrząknął.

- Wspomniałeś o technice walki, ja zaś właśnie przypomniałem sobie, że mam broń zrobioną ze specjalnie hartowanej stali, którą sprowadziłem z Hiszpanii. Powiedziano mi, że jest szlachetniejsza od naszej i nie pokrywa się rdzą.

- Niemożliwe - rzekł Agravar z wyraźną kpina w głosie.

- Garron! - zawołał Lucien i na jego głos z kuźni, przed którą się zatrzymali, wyłonił się kowal. - Pokaż kapitanowi miecze, które ostatnio wykułeś.

- Och, panie, sam z miłą chęcią dotknę raz jeszcze tych piękności - wykrzyknął Garron i wyniósł jeden z mieczy.

Agravar, mimo że nieufnie nastawiony, był pod wrażeniem. Brzeszczot miał gładkość skórki jabłka, a przy cięciu rozlegał się ni to szept, ni to szmer.

- Wątpię, by czymś takim można było rozszcześcić człowieka na dwoje, jak na przykład tym moim nożykiem - tu dotknął pieszczotliwym gestem swego ogromnego miecza - ale w ręku dobrego szermierza może być bardzo groźną bronią. Jest w nim lekkość, jadowitość i jakby odrębna dusza - Oddał miecz Lucienowi, który zrobił nim kilka próbnych cięć.

Tymczasem w pochwie wiszącej u boku gospodarza drzemał miecz jego ojca. Było jasne, że nigdy się go nie wyrzeknie, nawet dla tak wspaniałej broni. Miecz ten był bowiem symbolem tego wszystkiego, co stanowiło o jego odrębności i posiadaniu. Świadectwem dziedzictwa i ciągłości pokoleń.

I rzecz ta stanowiła o tym, że Agravar odnajdywał w swoim poplątanym, straconym życiu wiarę i oparcie. Stał się prawą ręką Luciena. Dobry Boże, dopuścił się nawet jednego z najbardziej potwornych czynów, by uratować przyjaciela, którego miłował jak brata.

Za nim, w odróżnieniu od Luciena, nie stała wielopokoleniowa tradycja i dzisiaj, w czas pokoju, zamieniłby ochoczo swój przypominający maczugę miecz na tę kunsztowną, elegancką broń, będącą bardziej symbolem spokojnego i wygodnego życia niż wojny. Tak, powiedział już raz Lucienowi, iż rad byłby zawiesić na ścianie swój rycerski rynsztunek i traktować go już jako pamiątkę krwawej przeszłości. I mówił prawdę.

Całą prawdę i tylko prawdę.

- Poddam próbie tę broń - rzekł i wyciągnąwszy z pochwy swój miecz o szerokim ostrzu, podał go kowalowi. - Dobrze go naostrz, a ja tymczasem spróbuję się przekonać, co warta jest ta nowa nierdzewna stal.

Rycerze pędzili leśnym duktem, co koń wyskoczy. Byli straszliwie spóźnieni. Lucien, chcąc udobruchać swą stale ostatnio skwaszoną małżonkę, zapewnił ją, że on i jego ludzie nie będą szczerzyć koni, by tylko zdążyć na czas i powitać jej kuzynkę na granicy włości i przyprowadzić ją bezpiecznie na zamek.

Las rzedł i mieli właśnie wyjechać na otwartą przestrzeń, kiedy ujrzeli dwóch jeźdźców - mężczyznę i kobietę. Przecinali na ukos bujną, zieloną łąkę, zmierzając ku ciemnej ścianie boru.

- Dziwne - rzekł Lucien stłumionym głosem. Agravar spojrział nań, napotykać na pytający wzrok przyjaciela. W tej samej chwili jakiś dźwięk przyciągnął ich uwagę. Agravar ściągnął wodze, obrócił się w siodle i zaczął nasłuchiwać. Do jego uszu dobiegł ni to niewieści płacz, ni to biadolenie.

Rzucił krótkie spojrzenie w kierunku oddalających się dwóch jeźdźców. Już dosięgali pierwszych drzew lasu, który ciągnął się stad aż po dalekie wzgórza.

- Może to któryś z naszych sąsiadów wybrał się z żoną na przejażdżkę.

- Być może. - Lucien wyteżył wzrok. - Nie poznaję ich. Oczywiście, przy tej odległości bardzo trudno rozpoznać kogokolwiek.

- Musimy się upewnić. Pojadę za nimi. - Jeźdźcy zniknęli wśród drzew, lecz Agravar dobrze zapamiętał miejsce, w którym wparli konie w leśne poszycie. - A ty tymczasem sprawdź, kto tak płacze. O ile płaczem można nazwać ów koci wrzask.

Lucien skrzywił się, lecz kiwnął głową na znak zgody, Tymczasem Agravar już galopował przez bujną ukwieconą łąkę.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Agravar posuwał się za nimi brzegiem strumienia. Kierował się śladem, a także barwną plamą, która od czasu do czasu ukazywała się między drzewami. W pewnym momencie zatrzymali się, być może, by napić konie. Ściągnął wodze i zeskoczył na ziemię. Zaczął się skradać, bacząc, by nie nastąpić na jakąś suchą gałązkę. Poszycie było tu wyjątkowo gęste, on jednak poruszał się bezszelestnie. Bez najmniejszego też szmeru wyciągnął nowy miecz z pochwy. Trzymał go w taki sposób, żeby przebijające przez korony drzew słońce nie odbiło się w gładkiej stali.

Widział ich już wyraźnie. Mężczyznę i kobietę. Ona pochylała się nad strumieniem. Jej włosy w kolorze dostatego miodu nasyconego światłem słonecznym były rozpuszczone i swobodnie grubymi pasmami spływały na ramiona i plecy. Widoczna z profilu twarz uderzała czystością i szlachetnością rysów - prosty nos, mocno zarysowany podbródek, pełne usta i głęboko osadzone oczy pod jasnymi łukami brwi.

Wyglądała na niewiastę ze znakomitego rodu. Czyżby miał przed sobą Rosamund Clavier? Był pewien tylko jednego: nie spotkał jej nigdy przedtem. Gdyby jednak była tą, którą mieli powitać na granicy włości, to co się stało z towarzyszącym jej orszakiem? I kim był mężczyzna, który przeczesywał spojrzeniem las, gdy ona piła czerpaną dłońmi wodę? Miał na głowie zawadiacki czerwony kapelusz ustrojony barwnym piórkiem. Jego ruchy i twarz zdradzały niepokój, lecz pozwalał kobiecie ugasić pragnienie.

- Chodź, pani - rzekł wreszcie, dotykając jej ramienia. - Musimy się pospieszyć. -

Kiedy zaś nie zareagowała, dodał z naciskiem: - Lady Rosamund, jedziemy.

Odrzuciła do tyłu głowę. Wstała. Podniósł się też Agravar, który obserwował całą tę scenę, leżąc na brzuchu w gąszczu paproci.

Najpierw zobaczył jej orzechowe oczy. Trzy długie bezszelestne susy i był już za



mężczyzną w czerwonym kapeluszu. Ten w końcu zorientował się, że coś się zmieniło w otoczeniu, i błyskawicznie się odwrócił.

Uniesiony miecz Agravara mienił się w słońcu niczym czyste srebro.

- Cofnij się. Jestem Agravar i przybyłem zapewnić tej damie bezpieczeństwo.

Czekała go wszakże niemiła niespodzianka. Na twarzy młodej kobiety odmalował się strach. Wzdrygnęła się na jego widok, jakby zobaczyła leśną bestię. Wiedział, że jest potężniejszy i wyższy od innych mężczyzn, no i ma te jasne włosy człowieka Północy, dlatego wzbudzał w ludziach różne reakcje. Jednak paniczny strach w oczach Rosamund ugodził go niczym ostrze sztyletu, które przebiło drucianą siatkę kolczugi.

Przeniósł wzrok na jej towarzysza, który tymczasem zdążył już wyciągnąć miecz.

Zanosilo się na próbę sił i Agravar był na to przygotowany. Gdyby tylko ten jego miecz z damasceńskiej stali nie był taki lekki! Zaiste, miał poczucie, że trzyma w dłoni patyk.

Zatęsknił za swoim starym mieczem o szerokim ostrzu, który jeszcze nigdy go nie zawiódł.

Rzekł do mężczyzny w czerwonym kapeluszu:

- Bądź rozsądny, łajdaku. Nie pokonasz mnie, bo nikomu jeszcze to się nie udało. Jeśli porwałeś tę damę dla okupu, okaż skruczę. Los poplątał ci szyki.

Jednak człowiek w śmiesznym nakryciu głowy nie zamierzał poddawać się bez walki.

Trzymał miecz niczym krzyż, który ma odegnać złe moce.

- Nie weźmiesz jej wbrew mojej woli.

- Głupcze, gra skończona.

Z czarnych oczu tamtego sypnęły się skry.

- Nie wyrzeknę się swojego zysku, panie! Jednakże ta, która miała mu ten zysk zapewnić, uniosła spódnicę i czmychnęła w las niczym spłoszona łania.

Agravar zdecydował, że dalsza zwłoka nie ma już najmniejszego sensu. Uderzył.

Miecz spadł z szybkością błyskawicy, lecz uderzeniu zabrakło mocy. Przywykły do broni kilkakroć cięższej, Agravar stracił równowagę. Przeklął pod nosem i skorygował w umyśle różnicę w wadze. Kolejny cios okazał się już bardziej skuteczny. Ostrze przecięło tunikę na piersi mężczyzny.

Człowiek ów próbował dotychczas tylko zasłaniać się przed ciosami. Uczynił tak i przy następnym zagrażającym mu ciosie. I wydarzyła się rzecz tyleż nieoczekiwana, co trudna do pojęcia. Brzeszczot z hiszpańskiej stali przysł niczym trzaska Agravar wbił zdumiony wzrok w rękojeść z kawałkiem klingi. Nie wierzył własnym oczom.

- Złamałeś mi miecz! - ryknął straszonym głosem. Człowiek w czerwonym kapeluszu wydawał się nie mniej zdumiony. Był nawet przerażony tym, co się stało.

- Panie, zaiste, nie wiem, co powiedzieć...

I faktycznie, nie powiedział już więcej ani jednego słowa. Agravar wykorzystał bowiem moment zaskoczenia, doskoczył do przeciwnika i powalił go na ziemię straszliwym uderzeniem pięści. Czerwony kapelusz pofrunął daleko w krzaki niczym ogromny gil. Schowawszy do pochwy odłamek miecza, Agravar puścił się w pogoń za niewiastą. Gdyby tylko udało się dopaść koni, byłyby widoki na ucieczkę, myślała Rosamund, pędząc przez chaszcze ile sił w nogach. Od kiedy przestała być dzieckiem i skończyły się jej igraszki i zabawy z wiejskimi urwisami w Hallscroft, Rosamund nie zmuszała swego ciała do takiego wysiłku.

Miała niewielką szansę, by wymknąć się temu straszemu wikingowi. Gdyby jednak przed nim dopadła do koni, to kto wie. Biegła coraz szybciej i szybciej, pędzona strachem i rozpaczą.

Odczuła przemożną pokusę, by spojrzeć za siebie przez ramię i sprawdzić, czy prześladowca już ją dogania. Ale wówczas straciłaby bezcenną sekundę, a tu liczyły się naj-

mniejsze nawet drobiny czasu. Ale zaraz! Nagle się zatrzymała i rozejrzała wokół siebie. Ta ścieżka nie prowadziła do miejsca, gdzie pozostawili konie. Rzuciła się w prawo. Strach chwycił ją za gardło.

Rozległ się trzask łamanych gałęzi. Coś wielkiego przedzierało się przez chaszczę.

Ujrzała go w tej samej chwili, oblanego słońcem. Właśnie odbijał się do skoku. Jego oblicze zasnute było chmurą gniewu. Zęby miał obnażone jak wilk atakujący jagnię. A jego jasne włosy wyglądały niczym świetlista aureola.

Była tak sparaliżowana strachem, że nie zdążyła odskoczyć. Wylądował na ugiętych nogach dokładnie naprzeciwko, ale rozpęd rzucił go na nią. Chwycił ją w talii, stracili równowagę i osunęli się na ziemię, pomiędzy paprocie. Być może w trosce o to, by nie przygnieść jej swym potężnym ciałem i nie zrobić jakiejś krzywdy, w ostatniej chwili wykonał obrót w powietrzu i w rezultacie to ona znalazła się na jego szerokim torsie. Z jego ust dobył się dźwięk, który miał w sobie coś z pomruku niedźwiedzia. Wciąż ją trzymał, jednakże zwolnił uścisk. Nabrała w płuca powietrza i, chcąc wykorzystać okazję, szarpnęła się. Mocarne ramiona natychmiast się zacisnęły, opasując ją w talii żelazną obręczą. Tylko tyle, że miała wolne ręce. Natrafiła nimi na coś twardego i zimnego. Wstrzymała oddech. Otworzyła dłoń, po czym zacisnęła ją na czymś, co nappełniło jej serce nadzieją na ratunek.

W tej samej chwili dźwignął się na łokciu, obrócił i wziął ją pod siebie. Aż dziw, że nie została zmiażdżona. Zobaczyła tuż nad sobą jego twarz.

- Czy jesteś, pani, lady Rosamund Clavier?

Jego głos był donośny, mocny i głęboki. Przeniknął ją niczym dźwięk trapy bądź dzwonu. Poczowała woń potu z ledwie wyczuwalnym śladem zapachu mydła, jakby po poranym goleniu, gdyż policzki i brodę miał zupełnie gładkie. Skinęła głową, nie do końca pewna

swego głosu.

- Wysłała mnie twoja, pani, kuzynka, lady Alayna. Uspokój się, proszę, bo nie chcę twojej krzywdy. Jeśli zwrócę ci swobodę ruchów, to czy wysłuchasz w spokoju tego, co mam ci do powiedzenia?

Ponownie kiwnęła głową.

Poderwał się na nogi z lekkością, która zdumiewała przy tak wielkiej masie ciała.

Rosamund, przeciwnie, powstawała wolno, kryjąc prawą dłoń w fałdach spódnicy. Miała spuszczonego wzrok. Dopiero gdy stanęła pewnie na nogach, rzuciła wikingowi wyzywające spojrzenie i uniosła rękę uzbrojoną w coś, co, jak sądziła, było jego sztyletem.

- Odstąp! - wykrzyknęła i uczyniła gest, jakby gotowa była uderzyć.

Ukazała się jej oczom rękojeść z odłamaną klingą.

Utkwiła zdumiony wzrok w kikut miecza, po czym przeniosła go na twarz olbrzyma.

Zobaczyła w jego błękitnych oczach iskierki rozbawienia.

- Jaki użytek zamierzasz uczynić z tego kawałka metalu? - spytał spokojnym głosem.

Zatrzepotała rzęsami. Starła się zebrać myśli.

- Ten kawałek metalu czyni mnie uzbrojoną - odparła buńczucznie.

- Po cóż się zbroić, gdy nie ma potrzeby walki? - Dostrzegła ruch, jakąś przemykającą plamę, lecz zanim zdążyła pojąć, co spowodowało ból w prawej dłoni, dłoń ta była już pusta.

- Teraz jesteśmy równi sobie - rzeki, zbliżając się o krok.

- Jak możesz tak mówić, panie? Górujesz nade mną siłą nie mówiąc już o wzroście. -

Cofnęła się, lecz on natychmiast postąpił za nią.

- Moja przewaga fizyczna się nie liczy, skoro możesz przeciwstawić jej spryt i przebiegłość.

- Co zamierzasz ze mną uczynić?

- Wybawić cię z opresji, co już poniekąd uczyniłem.

- Ha! I mam uwierzyć w te piękne słówka? Wzruszył ramionami, co wyglądało, jakby na chwilę podniósł się i opadł horyzont.

- Mało dbam o to, bo i tak zamierzam wypełnić moją misję. Oczywiście, twoja życzliwość, pani, uczyniłaby rzecz przyjemniejszą.

Wciąż się cofała, on zaś szedł za nią. W pewnym momencie potknęła się o zwalony pień drzewa i zachwiała. Doskoczył do niej i chwytając w pasie, pomógł utrzymać równowagę.

- Ostrożnie, pani - rzekł głosem, którego brzmienie nie było już nieprzyjemne dla ucha.

Podobnie rzecz miała się z jego dotykiem. Od ramienia, którym opasywał jej kibić, bił żar, rozlewający się po jej ciele. Nadto poczuła na policzku ciepły powiew jego oddechu.

Przebiegł ją dreszcz, oczywiście, dreszcz strachu, dodała zaraz w myślach.

- Proszę, nie dotykaj mnie - wyszeptała błagalnie, bynajmniej nie wierząc w skuteczność swojej prośby.

On jednak spełnił jej życzenie. Puścił ją i cofnął się o krok.

- Chcę wiedzieć, pani, czy pójdiesz ze mną dobrowolnie, czy też mam cię zarzucić sobie na ramię i dostarczyć do Gastonbury niczym worek ziarna?

- Więc zabierasz mnie do Gastonbury? - wołała się upewnić.

- Owszem, z tym że będziemy tam dopiero przed zmrokiem. Nie mogę bowiem wydać na pastwę losu twojego towarzysza, muszę też zatroszczyć się o wasze konie. Poza tym wiem, że nie podróżowałaś samą i trzeba ustalić, co się stało z twoim orszakiem. Jak widzisz, mam jak najlepsze zamiary. Nie tylko nie chcę cię skrzywdzić, lecz zamierzam odstawić cię całą i zdrową na zamek, gdzie już czeka na ciebie, pani, twoja kuzynka.

Długo milczała, ważąc coś w myślach.

- Dobrze, sir. Zaufam ci.

Chyba jednak słowa te nie zdołały go przekonać. Skrzywił wargi, bo najwyraźniej nie wierzył w szczerść jej zapewnień.

I w zasadzie ma rację, pomyślała, idąc za nim ścieżką wydeptaną wśród paproci.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Agravar uczynił, jak powiedział. Przewiesił nieprzytomnego rozbójnika przez grzbiet jego konia, podtrzymał strzemień Rosamund, wskoczył na siodło i ruszył w drogę powrotną do miejsca, gdzie rozstał się z przyjacielem.

Gdy wyjechali na otwartą przestrzeń, Rosamund ujrzała w oddali grupkę jeźdźców.

Rozpoznała dwóch z przydzielonych jej do orszaku zbrojnych pachołków, reszta, Jak się domyślała, byli to żołnierze z zamku Gastonbury. Wydali na ich widok radosny okrzyk powitania. Jakiś mężczyzna o czarnych włosach podjechał do wikinga i obaj zeskoczyli na ziemię. Usłyszała imię Agravar. Zapewne było to imię tego olbrzyma. Ależ tak, przecież już je słyszała z jego własnych ust.

Przybyły miał w sobie coś demonicznego. Jego czarna czupryna, bujna i gęsta jak u czarta, spadała mu na czoło i czarne jak węgle oczy. Nastroszone brwi zdawały się symbolizować wrogi stosunek do świata. Postąpił ku niej z chrzęstem zbroi, ona zaś wzdrygnęła się, nieostrożnym gestem płosząc konia.

Wiking chwycił za wodze i uspokoił zwierzę.

- Oto, pani, mąż twojej kuzynki - rzekł, wskazując na tego z czarną czupryną.

A więc patrzyła na legendarnego Luciena de Montregnier! Witał ją właśnie ukłonem.

- Wiemy już, że doświadczyłaś, pani, chwil grozy. Odpoczniemy więc trochę i ruszymy spieszonym marszem. Moja żona już pewnie wygląda nas z zamkowego okna. -

Przeczesał palcami włosy i próbował się uśmiechnąć, co jednak nie za bardzo mu wyszło. -

Wdzięczny też byłbym, gdyby udało ci się, pani, uspokoić wzburzone nerwy. Inaczej czekają mnie reprimendy, że winna temu wszystkiemu była moja opieszałość.

- Uratowałaś mnie, panie, z opresji i któż może ci cokolwiek w tym względzie zarzucić. Niebezpieczeństwo, widzę, minęło bezpowrotnie - odparła, pozwalając, by Agravar zsadził ją z konia. Znow jego bliskość podziałała na nią niczym oblanie ukropem. Gdy tylko dotknęła stopami ziemi, wyslizgnęła się z jego ramion.

Wtem przeraźliwy krzyk rozdarł powietrze. Rosamund spojrzała w tamtym kierunku.

Biegła ku niej, machając rękami i turkoczając spódnicami, rozczzerwieniona i zasapana Hilde.

Rosamund rozpostarła ramiona.

- A więc żyjesz, panienko! Dziękujemy Panu za Jego łaskawość! - Padła w objęcia swej pani, po czym sama zaczęła ją ścisnąć z tak wylewną radością, że Rosamund zabrakło tchu, a przed oczyma zaczęły jej latać małe czarne punkciki.

- Hilde - wykrztusiła i już zamierzała odepchnąć uszczęśliwioną służkę, gdy ta ponownie przytuliła ją do swego obfitego biustu.

Na szczęście wtrącił się Agravar i rozdzielił je, inaczej te pieszczoty skończyłyby się uduszeniem lub przynajmniej połamaniem kości. Hilde rozdziawiła usta i wpatrzyła się w wikinga z nabożną czcią, jakby uznała, że to sam Archanioł Michał. Ten tymczasem odprowadził Rosamund na stronę.

- Proszę usiąść i odpocząć - rzekł, wskazując na nagrany słońcem płaski głaz. - My tymczasem napoimy konie i przygotujemy się do drogi powrotnej. Do zamku nie jest stąd daleko.

Rosamund spuściła wzrok, starając się powstrzymać zdradziecki rumieniec. Widziała teraz tylko jego zakurzone buty, które niebawem znikły z pola jej widzenia. Uniosła oczy.

Wiking uwalniał właśnie z pęt jeńca.

Człowiek w czerwonym kapeluszu - ta ozdoba głowy zatknięta była teraz na nosku jego zdefasonowanego buta odzyskał już przytomność. Usiadł pod drzewem na skraju polany i skierował ku Rosamund czujny wzrok.

Odwróciła twarz w inną stronę i zagłębiła się w myślach. W pewnej chwili poprosiła Hilde, która bawiła rycerzy opowiadaniem o wydarzeniach ostatnich godzin, które urosły w jej ustach do rangi ataku Normanów na Anglię, by ta przyniosła jej w dzbanku wody.

- Oczywiście, panienko. Tak, moja biedna ptaszyno. Zrobię to z prawdziwą przyjemnością. Wszystko zrobię dla mojej słodkiej, bezpiecznej już teraz pani.

Agravar zdał raport Lucienowi, po czym zajęli się opatrywaniem rannych. Były to tylko niegroźne skaleczenia i potłuczenia. Jeden z poszkodowanych rzekł:

- Tamten siedzący pod drzewem bandyta powalił mnie. Mógł mnie zabić, lecz tego zaniechał.

Słowa te zastanowiły Agravara.

- Czy mam rozumieć, że ci złoczyńcy okazali wam litość?

- Ja jej nie zaznałem - rzekł starszy mężczyzna, pokazując trzy kikuty miast palców. -

Dicky miał szczęście, gdyż napadł go młody, taki, co nie zagustował jeszcze w przelewaniu krwi.

Agravar nagle uświadomił sobie z całą jasnością, że udało im się schwytać tylko jednego z bandytów.

- Co może oznaczać ten śmieszny kapelusz? Czy inni nosili podobne?

- Nie. Widziałem go tylko na głowie tego śmierdzącego kundla - odparł żołnierz o posiwiałych włosach, po czym splunął wzgardliwie przez zęby, dając tym do zrozumienia, co myśli o bandytach i ich nakryciach głowy. - Reszta rozpierzchnęła się, widać znają te lasy.



Agravar zmarszczył czoło.

- Znaczy się, tutejsza szajka - rzekł na poły do siebie. Nagle dobiegł do jego uszu głos, którego nie sposób było zapomnieć, a przypominał bek rozrywanego przez psy zajęcia:

- O, Boże, znów ją porwano! Och, łapcie bandytę! Agravar zdławił przekleństwo i doskoczył do wymachującej rękami Hilde.

- Czego, niewiasto, się wydzierasz?

- Moja pani! Nie ma jej! Tamten też zniknął! Dobrze z was psy pasterskie, skoro wilk porywa wam jagnię sprzed nosa! Krwiożerczy wilk! Niewinne jagnię! Nie pozwólcie zrobić jej krzywdy!

Tym razem wiking przeklął na cały głos.

- Ta kobieta sprawia nam same kłopoty. Lucien! Znowu się gdzieś zapodziała.

Hilde uwiesiła się jego ramienia. Mogłaby służyć za kotwicę nawet na największych żaglowcach.

- Ratujcie moją najśłodsza gołąbkę!

Agravar zląkł się, że jeszcze jeden taki świdrujący pisk, a posunie się do rękoczynów wobec tej nieznośnej niewiasty. Na szczęście udało mu się uwolnić od niej bez uciekania się do fizycznej przemocy.

Zostawiając Hilde wraz z jej lamentami, podbiegł do swoich ludzi.

- Pelly, zajmij się tą rozwrzeszczaną sługą - zarządził, udając, że nie widzi grymasu przerażenia na obliczu młodego rycerza. - Rozstawić strażę. Reszta za mną!

Wskoczył na konia, widząc kątem oka, że Lucien uczynił to samo. Wydali bojowy okrzyk. Ruszyli z miejsca galopem i wpadli pomiędzy drzewa.

Człowiek w czerwonym kapeluszu skręcił w głęboki parów, przedzierając się na koniu przez gąszcz. Jadąca za nim Rosamund krzyknęła z bólu, gdy jakaś kolczasta gałąź wplątała

się jej we włosy. Rękaw sukni już miała rozdarty, a na ramieniu znaczyło się długie zadrapanie, z którego sączyła się krew.

- Tędy, pani. Miejsce spotkania jest za tamtym wzgórzem. Wszystko zostało ustalone z góry. Pozostali już tam na nas pewnie czekają. Albo przynajmniej powinni. Dobrze ich opłaciłem.

Rosamund zrównała się ze swoim towarzyszem. Było tu więcej miejsca, gdyż wydostali się wreszcie na leśny dukt. W pewnym momencie młody mężczyzna zachwiał się w siodle i poleciał do przodu, opadając niemal na koński kark, zaraz też przetarł dłonią czoło.

Dotknęła jego ramienia i spytała z wielką troską w głosie:

- Davey, źle się czujesz?

Potrząsnął głową jak ktoś, kto chce odzyskać jasność myśli.

- Uderzenie tego przekłętego wikinga niewiele się różniło od końskiego kopnięcia.

Dumny dotąd byłem z mojego twardego łba, ale to nie była pięść, tylko żelazna maczuga. -

Próbo wał się uśmiechnąć. - Gdy teraz o tym myślę, przypominam sobie, że to twój brat, pani, powiedział mi raz, że na każdą twardą łepetynę znajdzie się jeszcze twardsza pięść.

- Widocznie Harold doświadczył tego samego na sobie.

Davey próbował się roześmiać, lecz tylko się skrzywił. Przycisnął dłoń do czoła.

- Pospieszmy się. Już może dostrzegli nasze zniknięcie. Zdecydowaliśmy się na ucieczkę w sytuacji prawie beznadziejnej, nie marnujmy więc czasu na rozmowę.

- Nie mogłam pozwolić, by wtrącili cię do lochu jak zwykłego rozbójnika. Tyle dla mnie zrobiłeś. Mam wobec ciebie dług wdzięczności.

Spojrzał na nią z uwielbieniem.

- Nie ma rzeczy, której nie uczyniłbym dla ciebie, pani.

Usłyszeli odgłosy pościgu i zmusili konie do szybszego biegu. Dostrzegli przed sobą

w górze krawędź parowu. Na razie jednak forsowali zbocze. Serce Rosamund biło jak młotem. W tej chwili widać ich było jak na dłoni, lecz gdy osiągną szczyt, znikną tamtym z oczu. Ucieczka mogła się udać, mieli do pokonania jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów. Rosamund wstrzymała oddech. I w tym momencie Davey zachwiał się i runął z konia na ziemię.

Ściągnęła wodze z taką siłą, że jej rumak stanął dęba. Na szczęście zdołała utrzymać się w siodle. Podjechała do leżącego Daveya i zsunęła się z konia.

Był oszołomiony upadkiem. Na jego stan mógł mieć *tez.* wpływ cios, który otrzymał od Agravara. Odepchnął jej ręce, którymi starała się unieść mu głowę.

- Uciekaj beze mnie! To twoja jedyna szansa.

- Nie, Davey. Spróbuj zebrać siły. Ten wiking zabije cię, jeśli dostanie nas w swoje ręce.

Czuła całą swoją bezsilność i bezradność. Było jasne, że Davey nie zdoła sam dosiąść konia ani się na nim utrzymać. Ogarnęła ją rozpacz, potem zaś ogromne przygnębienie. Musiała przyznać się przed sobą do przegranej.

Przedsięwzięcie skończyło się fiaskiem. Nie było jej dane zasmakować wolności.

Śmiała ucieczka, przemyślnie udająca uprowadzenie, Wydawała się wspaniałym pomysłem. Wszystko jednak potoczyło się wbrew pierwotnym założeniom. Kunsztowny plan okazał się chybiony. Nadto rezultatem tego szaleństwa mogła być jeszcze śmierć najbliższego przyjaciela. Bardzo zżyła się z Daveyem przez te lata samotności po śmierci ukochanego brata.

Właściwie nie miała wyboru. Decyzja narzucała się jedna. Dźwignęła z ziemi przyjaciela i pomogła mu wdrapać się na konia. Następnie kazała mu objąć szyję zwierzęcia, a kiedy to uczynił, skrępowwała mu wodzami ręce w nadgarstkach. Mocne klepięcie w koński

zad i jeździec przepadł w leśnym gąszczu, wciąż soczysto zielonym, mimo że lato miało się już ku końcowi.

Z pewnością później znajdzie jakąś drogę. Teraz chodziło jedynie o to, aby go tamci nie schwytali. Co zaś się tyczy niej samej, to marzenie o niezależności i wolności spełni przy innej okazji.

Zaczęła biec leśnym duktem w kierunku nadciągających żołnierzy. Pomyślała, że krzyk, łzy i drgawki, a więc to wszystko, co składa się na niewieścią histerię, a w czym Hilde była prawdziwą mistrzynią, byłyby tu bardzo na miejscu. Jak pomyślała, tak też zrobiła, starając się w każdym szczególe naśladować zachowanie swej służącej.

Nadjechali konni. De Montregnier już uniósł się w siodle, by zeskoczyć z konia i wesprzeć ramieniem zapłakaną niewiastę, lecz ubiegł go w tym olbrzymi wiking. Dotknął ziemi stopami, nim jeszcze jego rumak się zatrzymał. Dobiegł do Rosamund, która słaniała się z wyczerpania, i wbił w nią badawczy wzrok.

Czyżby podejrzewał, że wszystko od początku do końca było udawaniem? Poczowała się bardzo nieswojo. Musiała jednak za wszelką cenę wytrwać w narzuconej sobie roli.

Raz i drugi głęboko odetchnęła.

- Ten okropny człowiek... Miałam szczęście... Pędziliśmy wysokim brzegiem wzdłuż rzeki... Jego koń się potknął i runął w rwący nurt... To było straszne... Wynurzyli się raz i drugi... A potem wessał ich potężny wir... - Zamknęła oczy. Jej ciało drżało niczym liść osiki.

- Ścieżka była wąska i kamienista, więc pomyślałam, że bezpieczniej będzie zsiąść z konia.

Zaczęłam biec. I wtedy was zobaczyłam.

Widziała takie miejsce podczas ucieczki i dlatego uważała, że jej wersja wydarzeń jest prawdopodobna. Wszystko wszak zależało od tego, czy oni w nią uwierzą.

Usłyszała głos Luciena:

- Myślę, że woda prędzej czy później wyrzuci ciało. Ale to już nie nasza sprawa.

Musimy wracać do domu. Dobrze byłoby dotrzeć na zamek jeszcze przed zmierzchem.

Rosamund przygryzła wargi, żeby nie zdradzić się ze swą radością. Davey był bezpieczny. Tylko nad nią ciążyła klątwa. Jej sytuacja była taka sama jak na początku tej strasznej podróży.

Nie stawiała oporu, kiedy mocne męskie ramiona uniosły ją w powietrze i umieściły na koniu wysokim niczym drzewo. Przez jedną krótką chwilę poczuła się dzieckiem, które nie musi się niczego bać, bo ma obok siebie ojca. Usłyszała skrzyp siodła, co oznaczało, że ktoś usiadł za nią. Wiedziała, kto to jest. Pamiętała ten zapach. Znała też głos, którym ten człowiek teraz wykrzykiwał rozkazy.

Była we władzy wikinga i gorszej sytuacji nie mogła sobie wyobrazić. Wstrząsnął ją zimny dreszcz.

Zaiste, dziwną było rzeczą siedzieć z niewiastą w jednym siodle. Poza tym była to rzecz dla Agravara całkiem nowa. Nie zdarzyło mu się dotychczas dzielić się swoim siodłem z kimkolwiek.

Nie uważał jednak, że ta jazda jest nieprzyjemna. Za to na pewno bardzo męcząca.

Kiedy ujrzeli wreszcie przed sobą mury zamku, czuł się wyczerpany, jakby brał dziś udział w wielogodzinnej bitwie.

Przede wszystkim ten jej zapach. Uderzał do głowy niczym mocne wino. No i to ocieranie się jej krągłych pośladków o jego uda. Stamtąd właśnie biły te fale ognia, od których kipiała mu krew i zasychało w gardle. A jeszcze te jej włosy, które wiatr nawiewał mu na twarz. Pachnąca rumiankiem i dziurawcem złota przędza.

Uśmiechnął się szyderczo na to porównanie, jednak tak nachylił głowę, by jak najmniej uronić z miłego zapachu.

- Jak długo jeszcze będziemy jechać? - zapytała.

- Zamek już widać. Rozumiem, że czujesz się, pani, bardzo zmęczona. To prawdziwe szczęście, że napad miał miejsce w tej okolicy, inaczej nie zdążylibyśmy na czas.

Długa chwila milczenia.

- Lord Lucien wydaje się przejęty stanem zdrowia mojej kuzynki. Czy ona jest chora?

- Nie, o żadnej chorobie nie może tu być mowy. Po prostu wyglądała cię, pani, i towarzyszył temu zrozumiały niepokój. Kiedy pozna przyczynę twojego spóźnienia, też pewnie nie przyjmie tego ze stoickim wyrazem twarzy.

- Czy to bardzo niebezpieczne strony?

- Wręcz odwrotnie, najbezpieczniejsze w Anglii. Tylko czy jest na tej ziemi miejsce niedostępne dla szatana?

- Zło zakorzeni się wszędzie, nawet w sercach tych, którym ufamy.

Było coś dziwnego w tym stwierdzeniu, tym bardziej że wyszło ono z ust młodej kobiety.

- Trudno się z tym nie zgodzić - rzekł.

Zapadła cisza. Podjechał do nich Lucien. Wszystko, co najgorsze, masz już, pani, za sobą. Mam nadzieję, że znajdziesz w naszym zamku bezpieczną i wygodną przystań. Moja żona już od dawna cieszy się na myśl o twoim przybyciu.

Nie uszło uwagi Agravara, że na te grzeczne słowa jedyną odpowiedzią lady

Rosamund było spuszczenie wzroku i jakieś niezrozumiałe mruknięcie. Spojrzał na przyjaciela. Lucien sposepniał, a nie wiedząc, co sądzić o takiej reakcji, wysforował się koniem do przodu.

Czyżby mój przyjaciel obraził cię, pani? - zapytał Agravar.

Uniosła głowę tak gwałtownie, że mało co nie otrzymał ciosu w brodę.

- Ależ skądże. Bardzo mi przykro. Czyżbym zachowała się nieuprzejmie?

- Naprawdę nie ma się czym przejmować. Lucien to gruboskórny stwór. Reaguje dopiero na bezpośrednią obelgę.

- W takim razie mam nadzieję, że nie pogniewał się u mnie. Podczas najbliższej z nim rozmowy zrobię wszystko, by zatrzeć to niemiłe wrażenie i zaskarbić sobie jego względy.

Niepokój i zdenerwowanie lady Rosamund wydały się Agravarowi czymś dziwnym.

Lucien cieszył się opinią bezwzględneho w walce rycerza, nie było jednak najmniejszego powodu, by jakakolwiek niewiasta musiała się go obawiać. Tymczasem ta bez wątpienia przeżyła przed chwilą napad lęku.

Na tej jednej zagadce zresztą się nie skończyło. Gdy bowiem zbliżyli się już do zamku na tyle, że widać go było w całej jego okazałości i urodzie, gdyż mury z żółtego piaskowca pięknie kontrastowały z modrym niebem, Rosamund zeszywniała, Agravar zaś mógłby przysiąc, że wydobył się z jej ust coś jakby jęk bóleści i strachu.

- Gastonbury - powiedział, wskazując ręką na potężną budowlę.

- Tak - wyszeptała drżącym głosem.

Czy to była ta sama kobieta, która zdradziecko zabrała mu broń, by potem skierować ją przeciwko niemu? Co spowodowało tę nagłą przemianę śmiałej i hardej niewiasty w zastraszone stworzenie?

I wtedy przypomniał sobie cel wizyty lady Rosamund. Właściwie miała być tu tylko przejazdem. Naprawdę podróżowała do zamku Berendsfore, będącego własnością znakomitego rycerza sir Roberta. Tam też miała zostać mu poślubioną.

Tak więc nic nie powiedział. Ani jednym też gestem nie zdradził, iż jest świadom obcowania z tajemnicą cudzego serca.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Poprzez most nad fosą i nisko sklepioną bramę wjechali na dziedziniec zamkowy.

Zsiadłszy z koni, przekazali je w ręce pachołków i skierowali się w stronę schodów oraz drzwi wejściowych. Nęciły wygody domostwa. Wszyscy byli zmęczeni i głodni i cieszyli się na myśl o wieczerzy.

Rosamund nie czuła kości. Suknię miała zaszarganą, a ciało pokryte pyłem drogi. Jej serce to nabrzmiwało rozpaczą, to kurczyło się z przerażenia.

Z ponurego zamyślenia wyrwał ją niewieści głos. Usłyszała swoje imię. Uniosła wzrok i zobaczyła idącą ku niej spiesznym krokiem niewiastę wielkiej urody. Odruchowo wytarta spocone dłonie o spódnicę.

- Rosamund, witaj w naszych progach - powiedziała młoda kobieta. - Jestem twoją kuzynką. Mam na imię Alayna. - I zanim Rosamund zdążyła pojąć, co się dzieje, już znalazła się w ramionach pani tego zamku.

Ta bliskość dwóch ciał, to dotknięcie stało się dla Rosamund pewnym wstrząsem.

Poczuła bowiem na swoim płaskim brzuchu wzdęty macierzyństwem brzuch tamtej kobiety.

W tym nabrzmieniu była tyleż dojrzałość, co świętość. I tajemnica, która przyprawiała o zawrót głowy. Poza tym w jej myślach nastąpił ciąg skojarzeń i Rosamund przypomniała sobie swoją matkę.

Ucałowawszy kuzynkę, Alayna odsunęła ją od siebie na długość ramion.

- Co się stało? - spytała, marszcząc brwi. - Czy wydarzył się jakiś nieszczęśliwy wypadek?

Alayna, owszem, przypominała Rosamund matkę, lecz tylko swoją brzemiennością.

Poza tym nie miała w sobie nic z eterycznej złocistości tamtej. Wyrazista twarz o ostrych, choć harmonijnych rysach okolona była ciemnymi włosami i rozjaśniona niebieskością dużych oczu.



- Przeżyłam napad rozbójników - odparła Rosamund głosem przerażonej dziewczynki.

- Zostałam porwana, uwolniona i porwana ponownie.

Alayna szeroko otworzyła oczy.

- Lucien - zwróciła się do męża, który właśnie do nich dołączył - niczego nie rozumiem. Jak to się mogło stać?

Lord zacisnął zęby. Mięśnie jego policzków przez chwilę pulsowały.

- Porozmawiamy o tym później. Na osobności - dodał z naciskiem.

Serce Rosamund zabiło mocniej i szybciej. Ogarnął ją niepokój. Położyła dłoń na ramieniu kuzynki.

- Wszystko w porządku, nie martw się. Jak widzisz, jestem cała i zdrowa.

Alayna okazała się głucha na prośbę zawartą w tych słowach.

- Czyż nie nalegałam, mężu, byś czekał na naszego gościa na granicy włości? Czyż nie otrzymałam od ciebie stosownej obietnicy?

- To ja zawiniłem - rzekł Agravar, stając u boku przyjaciela.

- Lepiej byś już nic nie mówił, ty przerośnięty wikingu, Mój mąż potrafi sam się wytłumaczyć.

Rosamund zacisnęła usta. Agravar spuścił głowę.

- Czekam, mój mężu - rzekła Alayna niecierpliwym tonem. Jej wzrok zdawał się przepalać Luciena na wskroś.

- Na śmierć zapomniałem o danym ci słowie, Alayno odparł ze ściśniętym gardłem.

Widać było, że cały gotuje się w środku. W każdej chwili mógł wybuchnąć. A jednak z tonu jego głosu można było wnosić, że mimo wszystko gnębią go wyrzuty sumienia. - Wybacz mi, proszę.

- Zanim ci przebaczę, chciałabym poznać przebieg wydarzeń. Ją w odróżnieniu od

ciebie, nie rzucam słów na wiatr... ach! - cicho jęknęła, dotykając ręką brzucha.

Lucien pobladł i doskoczył do ciężarnej żony.

- Co się stało? Czy to już bóle porodowe? Święci Pańscy! Pelly, natychmiast sprowadź akuszerkę! I aptekarza!

Alayna zrobiła ruch, jakby odpędzała się od natrętnego trutnia.

- Nie, nie, przestań tak skakać wokół mnie, ty szaleńcze. To tylko bolesny skurcz.

Uprzedzam jednak, że nie unikniesz pytań, które przygotowałam i które z pewnością ci zadam. Chodźmy. - Obróciła się na pięcie i statecznym, ociążałym krokiem ruszyła ku drzwiom wiodącym do holu.

Zdesperowany Lucien kilkakrotnie przeczesał włosy palcami. Odprowadził małżonkę spłoszonym wzrokiem i mruknął pod nosem:

- Lepsza śmierć na szubienicy od tych twoich ciągłych kaprysów.

Rosamund aż się skuliła, słysząc te gniewne słowa. Do Alayny też coś musiało dotrzeć, gdyż odwróciła się i spojrzała na rozsierzonego męża spod spuszczonej powiek.

- Mówiłeś coś, Lucien?

- Nic ważnego - odparł i jeszcze bardziej spochmurniał, po czym z ociąganiem dołączył do żony.

- Chodźmy, lady Rosamund - rzekł Agravar, podając jej ramię.

- Czy on zamierzają zbić? - spytała drżącym głosem mając wciąż przed oczyma wyraz twarzy Luciena.

Wiking cofnął się o krok pod wpływem zdumienia.

- Zbić ją? Skąd znowu taka myśl? Lord Lucien nigdy jeszcze nie podniósł ręki na żonę. Kochają i szanuje. Poświęciłby dla niej życie, gdyby zaszła tego potrzeba. Robi wszystko, by zaoszczędzić jej smutku i bólu. Zresztą Alayna nie ma powodów się smucić.

W Rosamund nastąpiła gwałtowna przemiana. Przed chwilą wydawała się roztrzęsiona, teraz porażała chłodem i sztywnością.

Agravar niczego nie rozumiał. Gubił się w domysłach. I nie mogło być inaczej, bo nic nie wiedział o Cyrusie.

Ona zaś nie zamierzała niczego wyjaśniać.

- Chciałabym się umyć i przebrać - powiedziała.

- W takim razie do twej komnaty, pani, zaprowadzi cię Margaret. Zobaczymy się przy wieczerzy.

Kiwnęła głową. Wciąż była wyniosła i sztywna. Ani myślała mu dziękować. Pozbawił ją wolności i ponownie zamknął w klatce Przeznaczenia Jej los niebawem miał się dopełnić.

Doprawdy, nie miała za co być mu wdzięczna.

Podążyła za przywołaną służącą W holu wypadło jej przejść obok grupki kobiet.

Zauważyła, że jedna z nich - dorodna dziewczyna o lnianych, bujnych włosach i z dołkami w policzkach - bacznie się jej przygląda. Jej pełne wargi skrzywione były w wyrazie szyderczej kpiny.

Jedna z jej towarzyszek coś powiedziała i wszystkie wybuchnęły śmiechem. O ile jednak inne śmiały się żywiołowo i serdecznie, śmiech jasnowłosej miał w sobie coś zimnego i wzdurliwego.

Tędy, pani - dał się słyszeć głos Margaret.

Rosamund posłusznie ruszyła za służącą.

Lady Veronica Avenford, matka Alayny, pomijając niższy wzrost oraz różnicę lat, stanowiąca jakby bliźniaczą wersję swej córki, wygładziła ostatnią z sukni Rosamund i wręczyła ją Hilde, która z kolei schowała ją do kufra.

- Wszystko wydaje się w jak najlepszym porządku - rzekła z uśmiechem. - Dobrze, że

choć ubrania nie ucierpiały podczas napadu.

- Dziękuję za pomoc - powiedziała Rosamund.

- Niechaj panią na wieczerzę włoży tę zieloną - odezwała się Hilde.

Veronica pokręciła głową.

- Nie, Hilde. Twoja pani pada ze zmęczenia i potrzebuje wypoczynku, podobnie zresztą jak ty sama. Najlepiej więc będzie, jak spożyjecie posiłek tutaj. Będziecie mogli wcześniej się położyć.

Rosamund podeszła do okna.

- Nie jestem głodna - oświadczyła.

- Mimo to idź i przynieś coś do zjedzenia - powiedziała do służącej Veronica łagodnym, jednak nie znoszącym sprzeciwu głosem.

Hilde, która miała twardy kark i lubiła rządzić swoją panią tym razem zachowała się jak trusia, co nawet zaskoczyło Rosamund.

Veronica miała w sobie coś wielkopańskiego i władczego. Po prostu nie można było jej nie słuchać i nie być powolnym jej życzeniom i rozkazom.

- Rosamund, zbliż się do mnie, kochanie. Wydajesz się jakaś niespokojna.

- Mam w głowie zupełny chaos. - Usiadła na wskazanym jej krześle.

- Wiem, że był to dla ciebie ciężki dzień - powiedziała ze zrozumieniem Veronica. -

Pozwól więc, że wyszczotkuję ci włosy. To cię ukoi.

Sięgnęła po leżącą na stoliku, a pozostawioną tam przez Hilde szczotkę w srebrnej oprawie i od razu zachwycała się pięknem tego małego arcydzieła rzemieślniczego kunsztu.

- Co za śliczny drobiazg - rzekła, stając za Rosamund i biorąc się do szczotkowania.

- Prezent od mojego ojczyma - wyjaśniła Rosamund bezbarwnym głosem.

- Ach, musi więc to być twoja ukochana pamiątka. Rosamund nie skomentowała tej

uwagi.

Po dłuższej chwili dał się słyszeć cichy śmiech.

- Mam nadzieję, że moja córka nie zdążyła ci jeszcze obrzydzić naszego domu?

- Alayna? Jakim sposobem mogłaby to zrobić?

- Od pewnego czasu nie jest sobą Lucien się tym zadręcza. Nie przyznaje się do tego, ale żyje w ciągłym strachu o nią. Widzę to w jego oczach, kiedy na nią spogląda. Ona zaś z dnia na dzień staje się coraz trudniejsza we współżyciu. Poddaje się nastrojom, coraz rzadziej przemawia przez nią rozsądek. Cierpliwość Luciena, choć bezmierna, też pewnie ma swoje granice. Alayna wszystko rozumie, a równocześnie twierdzi, że nie potrafi być inna. Nawet ja nie mogę już znieść tych jej kaprysów i dziwactw. A przecież jestem jej matką!

Roześmiały się, a po chwili Rosamund spytała:

- Niepokoisz się, pani, jej stanem?

- I tak, i nie. Matki zawsze się zamartwiają, gdy ich zięciom coś dolega.

Równocześnie znam przyczynę tego podenerwowania Alayny. Jest nią jej ciąża. A trzeba ci wiedzieć, że to już trzecia. Córka znosi ją dużo gorzej niż poprzednie. Mam wnuczka, którego na pewno poznasz, żywe srebro, i wnuczkę, ślicznego aniołka, rozśpiewaną szczebiotkę. No, ale widzę, że całkiem oszalałam na punkcie moich wnucząt.

- Ależ bynajmniej, pani. To miłe słyszeć w twoim głosie zadowolenie i dumę, kiedy o nich mówisz.

- Potrafisz sprawić przyjemność starej kobiecie.

- Doznaję od niej samej dobroci i troski. Poza tym wcale jeszcze nie jesteś stara.

- Gdyby moja córka czuła się lepiej, to ona by się tobą zajęła. Potrafi dbać o swych gości.

- Naprawdę nie musi zaprzętać sobie głowy moją osobą. Nie winię jej za nieobecność,

bo rozumiem ten stan i współczuję jej.

- Lucien już pchnął posłańca do sir Roberta. Zostaniesz z nami co najmniej do jego powrotu.

Rosamund machinalnie skinęła głową. Wzmianka o Robercie z Berendsfore przyspieszyła bicie jej serca.

Odłożywszy szczotkę, Veronica splotła lśniące włosy młodej niewiasty w graby warkocz, który przewiązała na końcu rzemykiem.

- No to z jednym się uporałyśmy, Teraz zjesz wieczerzę i grzecznie pójdiesz do łóżka.

- Dziękuję za wszystkie dowody troskliwości. Veronica uśmiechnęła się i pogładziła Rosamund po policzku. Miała delikatną i ciepłą dłoń. Jakby cień niepewności przemknął po jej twarzy.

- Pamiętaj - rzekła, stojąc już w drzwiach - żeby być silną i zdrową, trzeba się wysypiać i regularnie jadać.

Mimo wewnętrznej rozterki, Rosamund roześmiała się. Potraktowano ją jak dziecko.

- Postaram się zjeść wszystko, co przyniesie Hilde - przyrzekła.

Kiedy się przebudziła, wokół panowała nieprzejrzana ciemność. Była złana potem i oddychała jak po biegu. A wszystko to z przyczyny snu, w którym widziała swoją matkę oraz jej upadek.

Potrząsnęła głową, chcąc odpędzić resztki sennych majaków. Usiadła i odgarnęła z czoła zlepione potem włosy.

Powoli oczy jej przyzwyczajały się do gęstego mroku. Zobaczyła na stołku miednicę i przypomniała sobie, że jest w niej czysta woda. Po chwili już obmywała swoje ciało z potu, a że woda była zimna, dostała gęsiej skórki.

Natomiast noc była upalna, jakby zanosilo się na burzę. Rosamund owinęła się prześcieradłem i podeszła do okna.

Oparta o parapet, z brodą wspartą na złożonych dłoniach, wsłuchiwała się w odgłosy nocy. Słyszała dzwonięcie cykad i dalekie wołanie puszczyka. Zapomniała o sennym koszmarze, za to wróciły sprawy minionego dnia.

Pomyślała o osobach, które wczoraj poznała. Szczególnie ujęła ją dobroć i życzliwość lady Veroniki. Pod wieloma względami przypominała jej matkę. Widocznie wszystkie matki są do siebie podobne. We wszystkich można odnaleźć to samo ciepło i tę samą czułość.

W myślach jej pojawił się też Lucien ze swoją groźną miną i Agravar, który potrafił do tego stopnia poskromić swoją siłę, że stawała się delikatnością.

Zadała sobie pytanie, gdzie w tej chwili może być Davey i kiedy ją odnajdzie. I co ona, biedna, zrobi, jeśli Davey się nie pojawi.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

Upał zelżał i mieszkańcy Gastonbury, skuszeni rześką słoneczną pogodą, opuścili chłodne zamkowe komnaty, w których chronili się przed skwarem przez ostatnie dwa tygodnie. Na błoniach w pobliżu muru łączącego dwie wieże obronne rozstawiono duży namiot. Alayna wyprowadziła dzieci, by się bawiły pod czułą i troskliwą opieką babki i jej nieodłącznej towarzyszki Rosamund, niezmiennie cichej i melancholijnej.

Wyprawa miała charakter święta połączonego ze stosownym ceremoniałem. Veronica, Alayna i Rosamund wyciągnęły się na poduszkach, mężczyźni rozsiedli się w pobliżu. W cieniu drzew widać było pogrążone w rozmowie pary. Inne pary spacerowały, ciesząc się chłodną bryzą i widokiem płynących po błękitnym niebie obłoków. Humory dopisywały wszystkim, a grajkowie wdzięcznymi melodiami pogłębiali jeszcze wesołość. Często dawał się słyszeć to niewieści, to znów męski śmiech.

- Margaret, zaśpiewaj nam coś! - wykrzyknął odświętnie ubrany parobek.

- Czy mogę, miłościwa pani? - Widać było, że dziewczyna chętna jest spełnić prośbę swego wielbiciela.

Alayna skinęła głową na znak przyzwolenia. Jej bladość kontrastowała z zarumienionymi policzkami innych.

Margaret podbiegła do lirnika. Coś doń powiedziała i po chwili brzęknęły struny instrumentu.

Popłynęła słodka pieśń miłosna. Rosamund uśmiechnęła się i zamknawszy oczy, opadła na poduszki. Chłoneła całą sobą urok tego dnia i piękno melodii.

- Śpiewa niczym słowik - szepnęła siedząca obok niej Veronica. - Wie o tym i jest z tego powodu nieznośnie zarozumiała i próżna.

I wtedy Rosamund usłyszała ów głos. Ostry i pełen niczym nie hamowanej złości.

Rozległ się w jej głowie, przywiany wichrem przypomnienia. „Ty próżna ladacznico!”

Otworzyła oczy i natrafiła na utkwiony w nią wzrok Veroniki, która uśmiechnęła się i omam przepadł bez śladu, pozostawiając po sobie jedynie szybsze bicie serca, które jednak powoli się uspokajało.

Coś odpowiedziała damie, po czym ponownie zamilkły.

Rosamund potarła skronie. Czasami chwycił ją strach, że oszaleje. Ale ból przemijał i wszystko wracało do względnej normy. Doznania przypominały błyskawicę na pociemniałym niebie, która napęlnia widza grozą, jednak gasnąc, uwalnia go od strachu. Pozostaje tylko obawa, iż może się to powtórzyć i że być może następnym razem nie uniknie się niebezpieczeństwa.

I tak było w jej, Rosamund, przypadku. Przeszłość objawiała się jej grozą błyskawic.

- Rosamund?



- Tak?

- Czy coś ci dolega?

- Po prostu zamyśliłam się, pani.

Zmusiła się do uśmiechu. Znow do jej uszu docierały słowa pieśni. Zauważyła, że Agravar bacznie się jej przygląda. Ten wiking patrzył tak, jakby spojrzeniem chciał dotrzeć do jej duszy. W ogóle tylko w ten sposób zwykł na nią ostatnio spoglądać.

A jeśli w końcu uda mu się przeniknąć ją na wskroś i poznać jej sekrety? Na myśl o tym oblała ją fala gorąca.

Otrzeźwiło ją i wyrwało z zamyślenia bolesne uderzenie w piersi. Krzyknęła i uniosła wzrok.

Stał przed nią czteroletni Aric de Montregnier, a jego mina zdawała się wskazywać, iż wie, że posunął się za daleko.

- Aric! - upomniała go matka.

- Proszę mi wybaczyć - wyjąkał chłopiec. - Naprawdę nie chciałem. Walczyłem z niewiernymi. Bryan był Saladynem, a ja królem Ryszardem Lwie Serce, i tak się stało, że...

- Lucien - rzekła na pozór całkiem spokojnym głosem Alayna, wyjmując drewniany miecz z ręki syna - czy opowiadałeś mu o krzyżowcach?

Lucien wydał kilka dźwięków, układających się w odpowiedź. Trudno było rozstrzygnąć, czy jest potwierdzeniem, czy też zaprzeczeniem. Na jego twarzy malowało się pełne ostrożności napięcie.

Rosamund u nikogo jeszcze nie widziała tak nieszczęśliwej miny jak teraz u Arica.

Ogarnęło ją współczucie. Przewina chłopca była żadna. Wpadł w ferwor walki, dał się ponieść dziecięcej fantazji i uczynił jeden nieostrożny gest.

Wstała i otoczyła chłopca ramieniem.

- Wybacz mi, Alayna. Aric wie, jak bardzo lubię bawić się w wojnę. - Młec spojrział na nią z takim wyrazem twarzy, jakby nagle sypnęły się jej wąsy. - Oboje uwielbiamy opowieści o dzielnych krzyżowcach, którzy bronili przed niewiernymi Grobu Pana. Kłamała i chłopiec bardzo dobrze o tym wiedział, tyle że wpojony węń szacunek dla starszych nie pozwolił mu zaprzeczyć jej słowom. Był wszakże pełen rozterki i widać to było po jego minie. Rosamund nie mogła się nie uśmiechnąć. Pogładziła chłopca po policzku. Musiała ująć mu ciężaru.

- Och, nigdy o tym nie rozmawialiśmy ze sobą lecz aż dziw, ilu rzeczy dzieci potrafią się domyślić. Tak i Aric najpewniej wiedział, że z wielką ochotą pobawiłabym się z nim w krzyżowców i niewiernych.

- Nie wolno ci podnosić ręki na niewiastę - upomniał syna ojciec.

- W żadnej sytuacji - podkreśliła dobitnie matka.

- Będę pamiętał, mamó. Obiecuję - rzekł chłopiec uroczystym głosem, obdarzając swą obrończynię wdzięcznym spojrzeniem.

- W porządku. Za jakiś czas możesz wrócić po swój miecz i wtedy zobaczymy, czy potrafisz robić z niego właściwy użytek. Na pewno nie jest nim uderzanie po nogach naszych gości.

Aric dzielnie kiwnął głową, choć widać było z jego miny, że nawet na krótki czas trudno mu rozstać się z drewnianym mieczem. Rosamund pocieszająco pogładziła go po jedwabistych włosach. Lekko się kręciły i miały ten sam połysk czerni co włosy Alayny i Luciena.

Kontakty Rosamund z dziećmi nie były dotąd zbyt częste. Nie zastanawiała się nad swoim do nich stosunkiem ani nad możliwością urodzenia kiedyś dziecka. Nie tęskniła za macierzyństwem. Wręcz odwrotnie, zawsze odczuwała strach na myśl o zostaniu żoną i

matką. Ale przez te dwa tygodnie pobytu na zamku bardzo polubiła dzieci swojej kuzynki -

Arica i młodszą odeń Leannę.

Aric zakręcił się na pięcie i dokąś pognał. Odprowadzając go spojrzeniem, nagle zauważyła, że zbliża się do niej Agravar. Podeszedł i skłonił się.

- A zatem jesteś, pani, miłośniczką wypraw krzyżowych? - zagadnął.

- Prawdę mówiąc, niewiele o nich wiem - wyznała szczerze. - Słyszałam tylko o królu Ryszardzie. Ale kim był ten drugi... Saladyn?

Wydął wargi.

- Saladyn był przeznaczeniem Ryszarda. Mądry przeciwnik i świetny taktyk. Trzymał naszego szlachetnego króla w szachu i nie pozwolił mu się cieszyć pełnymi triumfami.

- Sądząc z twojego tonu, panie, zaliczasz się do jego wielbicieli.

- I byłaby to herezja, nieprawdaż? Zatem poprawiam się i spieszę dopowiedzieć, że Saladyn był niewiernym psem, mającym za kompana diabła. Dzięki temu udaremnił wszystkie jak najbardziej słuszne ciężenia naszego chrześcijańskiego monarchy.

Poczuła się rozbawiona.

- Upewniam cię, panie, że przed nikim cię nie zdradzę. Pochylił głowę na znak wdzięczności.

- To wielka dla mnie pociecha. - Wskazał ręką na jedną z poduszek. - Czy mogę usiąść?

- Oczywiście - odparła, ucieszona perspektywą porozmawiania z nim, a zarazem zdumiona tą swoją ochotą.

Przyjrzała mu się spod rzęs. Twarz o wyrazistych rysach zdawała się wykuta z granitu.

Ciało, kiedy usiadł i wsparł się łokciem o kolano, jakby jeszcze spotężniało i nabrało siły.

Przypominał teraz odpoczywającego po walce anioła z hufca niebieskiego.

Była ciekawa tego człowieka.

- Powiedziałaś, panie, „nasz monarcha”, a przecież jesteś Duńczykiem, nieprawdaż?

Odrzucił do tyłu głowę.

- Jestem Anglikiem - rzekł mocnym, niemalże gniewnym głosem. Spostrzegłszy

jednak, że pobladła, dodał konfidencjonalnie: - Moja matka była Angielką.

Milczała, więc zapytał:

- I jak upływa pobyt w Gastonbury?

- Na przyjemnym lenistwie.

I znów zapanowało niezręczne milczenie. Rosamund stwierdziła, że za głośno

oddycha, i starała się to ukryć. Bębniła nerwowo palcami po rozpostartej na ziemi derce.

- Dlaczego jesteś, pani, taka niespokojna? - spytał nagle. Otworzyła szeroko oczy.

- Niespokojna? Ja? To jakieś nieporozumienie. Roześmiał się i ten jego śmiech nie był niemiły.

- Tak, niespokojna. Niespokojna, nerwowa i płochliwa jak źrebak, którego jeszcze nie ujeżdżono.

Jej dłonie frunęły ku włosom i machinalnie zaczęły je przyglądać.

- Być może mówisz tak, panie, bo jesteś podejrzliwy z natury.

- Miła lady, w mojej naturze nie ma miejsca na podejrzliwość. Jakkolwiek może wydawać się podejrzaną, że tak o mnie myślisz.

Wydęła wargi.

- Mimowolnie przyznajesz, że mam rację. Zmarszczył czoło. Czuł się zaskoczony.

- Niezbyt mądra rozmowa.

- Więc zakończmy ją.

- Chętnie.

Nie omieszkała jednak zadać mu pytania w kwestii, która dręczyła ją od dawna.

- Dlaczego wciąż biegnie za mną twoje spojrzenie, panie? Dlaczego wciąż wodzisz za mną wzrokiem?

Uśmiechnął się, zapatrzonej w głąb swej duszy.

- Wszystkiemu winna twoja piękność, pani. To ona więzi moje oczy.

- Tylko że ja nie jestem piękna.

Popatrzył na nią niczym malarz na swój model.

- Być może oceniasz siebie zbyt nisko.

- Nie jestem damą z pieśni trubadurów, nie będą oni opiewać piękna mojej twarzy.

Hołd taki należny jest pięknu, które odnajdziesz, panie, u Alayny.

- A jednak ten typ urody może być tyleż błogosławieństwem, co przekleństwem.

Myślę raczej o powabie osnutym mgłą tajemnicy.

Serce zatrzepotało jej w piersi.

- Co za bzdura! Jakież tajemnice może mieć niewiasta?

- Śmiałym rzec, tylko ona je posiada.

- Nie wolno nam mieć sekretów, panie - rzekła z wyczuwalną goryczą.

- Nie wolno? Co masz na myśli, pani?

- Nie mamy praw, które by nas chroniły, ani też możliwości wyboru. Jesteśmy na łasce mężczyzn.

- Czyli wszystko o was wiadomo? Nigdy w to nie uwierzę.

- Owszem, mamy sekrety, ale tylko takie błahe, niewieście. Nie mają one dla mężczyzn żadnego znaczenia. W ważnych sprawach jesteśmy jak ta otwarta księga.

- Doprawdy, przykro słyszeć takie słowa. Lady Veronica surowo by cię ukarała, pani, za wygłaszanie takich poglądów. Jej obraz niewiasty jest zupełnie inny, wznioślejszy.

- Więc nie zgadzasz się ze mną, panie? Szkoda, bo co do innych spraw, zdarza się nam mówić jednym głosem.

- Pani - rzekł rozciągając wargi w uśmiechu, lecz patrząc z wielką powagą - jestem ostatnim z ludzi, który mógłby wynosić się ponad mądrość nawet najmniej oświeconej niewiasty.

- Musisz posiadać o nich jakąś wiedzę - powiedziała z chytrym uśmieszkiem.

- Żadnej.

- Więc dlaczego tamte trzy piękne dziewczyny tak wpatrują się w ciebie, panie?

Wzdrygnął się. Najwidoczniej nie był przygotowany na atak z tej strony. Rosamund bawiła się coraz lepiej.

- Czy to dlatego, że jedna z nich jest twoją kochanką? Jeżeli tak, to idź zabawiać ją rozmową, co przede wszystkim będzie miało ten skutek, że oszczędzone mi zostaną te piorunujące spojrzenia, które ciska w moją stronę.

Agravar zupełnie stracił humor. W pierwszym momencie Rosamund pomyślała, że to z przyczyny rzuconej przez nią ironicznej uwagi. Wprędce jednak przekonała się, że jest inaczej. Odwrócił bowiem ku trzem szepczącym ze sobą niewiastom gniewną twarz. Widząc sam ruch, a nie widząc gniewu, dziewczoje natychmiast wypięły biusty i zaczęły ponętnie się uśmiechać.

W gardle wikinga zabulgotała wściekłość.

- Te idiotki uparły się mnie dręczyć. Z udaną naiwnością zapytała:

- Więc nie są one paniami twego serca? Zdumienie na moment odebrało mu mowę.

- Do diabła, nie!

Pomyślała, że jeszcze chwila, a nie zdoła powstrzymać chichotu. Ten wielkolud był zmieszany jak dziecko.

- Nie potrzebujesz być, panie, zakłopotany, jeśli też masz ochotę na amory. Sądząc po tym, jak na ciebie patrzą, każda z nich chętnie zawrze z tobą bliższą znajomość.

Nerwowo potarł policzek.

- Tak, Rosamund, dobrze wiem, do czego chcą mnie przywieść, tylko że ja nie mam najmniejszej na to ochoty. Czy moglibyśmy w tym momencie uznać, że temat został wyczerpany?

- Oczywiście. Sprawa zresztą mało mnie obchodzi. Rzecz w tym jednak, że one wydają się wzburzone twoim...

- Możemy porozmawiać o czym innym, śliczna okrutnico?

Wzruszyła ramionami.

- O ile w ogóle mamy o czym rozmawiać. Zmrużył oczy, które upodobniły się z tą chwilą do ślepiów wilka.

- Może wrócimy do poprzedniego wątku rozmowy i rozstrzygniemy wreszcie, co ukrywasz, pani?

- Sądziłam, iż rzecz została już wyjaśniona. To twoja podejrzliwość dopatruje się wszędzie sekretu.

Wyszczерzył zęby. Wciąż przypominał jej wilka.

- Dajesz wymijające odpowiedzi. Okazuje się, że jesteś w nich mistrzynią.

Mistrzynią - ona? Raczej zagubioną istotą, która stara się bronić jak może.

Przynajmniej tak siebie postrzegała Inna sprawa, że jakoś dotąd radziła sobie z tym wielkoludem.

Była to pocieszająca myśl. Odprężyła się zatem i nabrała pewności siebie.

- Ja? Bynajmniej. Twoja próżność, panie, zamąciła ci umysł.

Uśmiechnął się kącikami szerokich, łagodnie wykrojonych ust. Był to jedyny akcent

miękkości w jego ciosanej z kamienia, przystojnej twarzy.

- Doprawdy? - spytał, pochylając się nieco ku niej. - Po raz pierwszy ktoś wytyka mi próżność. Dotychczas wskazywano na inne moje wady, jak pychę czy upór. Ale o próżności dowiaduję się po raz pierwszy.

- Mężczyźni niechętnie przyznają się do swoich słabości. Raczej uważają siebie za nieomylnych i bez skazy.

- Mężczyzna jest tylko człowiekiem, istotą wyposażoną zarówno w wady, jak i zalety.

Pomówmy zatem o moich zaletach. Niewątpliwie najważniejszą wśród moich zalet jest skromność...

Nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Oczywiście.

- Dalej idzie męstwo, a na końcu wymienilibym mój urok osobisty.

- Niewątpliwie.

Roześmiał się, jej zaś ten śmiech znów wydał się czymś nad wyraz miłym.

- Mam również inne zalety, lecz skromność, o której wspomniałem, nie pozwala mi na chępienie się nimi.

- Co za wstyd!

- Nie rozumiem?

Nagle uświadomiła sobie, że to, co robi i w czym uczestniczy, jest najprawdziwszym flirtem.

- Wstydzę się, bo tyle dowiedziałam się o tobie, panie, samej nie mówiąc o sobie niczego.

Nagle coś się odmieniło. Agravar przestał mówić, przestał się uśmiechać, spoważniał.

Zacisnął zęby i odwrócił wzrok.



Co się stało? Jaki błąd popełniła?

- Co za czcza rozmowa. Przelewamy z pustego w próżne. - Wstał, rozprostował się i rozejrzał wokół siebie, jakby niepewny, co ma zrobić. - Zwlekałem zbyt długo. - Powiedziawszy to, odszedł.

Rosamund poczuła się jakby odarta z szat. Była zawstydzona, zraniona i zagniewana.

Nad wszystkim jednak górowało poczucie zagubienia. Czy mówiąc o wstydzie, rzekła coś niestosownego? Co ona najlepszego zrobiła?

Powiedziała tylko, że dużo się o nim dowiedziała. Ale był to zaledwie jeden z elementów ich gry, błahej zabawy słowami, która jednak dostarczyła jej czegoś, czego nigdy jeszcze nie doznała. Wesołości, uciechy.

Oczywiście, że rozmowa była czcza, lecz było w niej zarazem coś zabawnego.

Przypominała swobodny świąteczny lot ponad zmartwieniami dnia powszedniego.

Ale to ona tak odczuwała, nie on. On mógł patrzeć na rzeczy zupełnie inaczej. Być może, jak zawsze, popełniła jakąś niezręczność. Gubiła się w domysłach, pytań zaś wciąż przybywało.

Gastonbury okazywało się niebezpiecznym miejscem. A jednak nie tęskniła za wyjazdem. Wyjazd równoznaczny był bowiem z piekłem małżeństwa.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

Wciąż wodził za nią oczami. Wystarczyło, by opuściła swoją komnatę, a od razu czuła fizyczny wręcz dotyk jego wzroku na swoim ciele. Zdarzało się, że rozmawiali ze sobą.

Żadna jednak z tych rozmów nie miała w sobie tej lekkości, tego przekomarzania się, jak ta na błoniach pod namiotem. Zazwyczaj jednak tylko ją obserwował.

Dlatego kiedy spostrzegła Daveya siedzącego przy jednym ze stołów podczas wieczerzy, zrozumiała, że musi postępować bardzo, ale to bardzo ostrożnie.

Z Rosamund Clavier działo się coś niedobrego. Agravar wiedział to z całą pewnością.

Miałby natomiast trudności z określeniem charakteru i przyczyn tej zmiany. Zdecydowany był jednak nie ustawać w wysiłkach dowiedzenia się o Rosamund możliwie najwięcej.

Lord Robert przysłał wiadomość, że osobiście przyjedzie do Gastonbury po swoją narzeczoną. Interesował się jej zdrowiem i samopoczuciem. Kończył wyznaniem, iż nic bardziej nie leży mu na sercu od zapewnienia jej bezpiecznej podróży do jej nowego domu w Berendsfore. Termin swego przyjazdu wyznaczył jeszcze na wrzesień.

Agravar uświadomił sobie, że ma niewiele czasu na - ustalenie przyczyny smutku uroczej młodej niewiasty.

Nie zastanawiał się nad tym, dlaczego uznał to za takie ważne.

Obserwował.

Podczas pewnej wieczery zauważył, że Rosamund rzuca w przeciwległy kąt sali ukradkowe spojrzenia. Kiedy więc opuściła towarzystwo, udał się za nią.

Agravar nie miał w sobie nic z kota, który potrafi skradać się bezszelestnie za swoją ofiarą. Jego fizycznym atutem była wyłącznie siła i zręczność. Udało mu się jednak poruszać na tyle cicho, iż nie zorientowała się, że ktoś za nią idzie.

Na krętych schodach wieży panowała ciemność i cisza. Wspinał się, muskając dłonią cegły muru.

Słyszał w górze jej kroki. Przyspieszył, obawiając się, żeby mu nie umknęła. Mogła w każdej chwili zboczyć w któryś z odchodzących od schodów korytarzy i przepaść za jakimiś drzwiami. Ponadto ta wieża, jedna z pięciu zamkowych, miała na podestach bezpośrednio wejścia do różnych pomieszczeń gospodarczych, jak również do komnat gościnnych.

Oczywiście nie było najmniejszego powodu, dla którego Rosamund miałaby o tej późnej porze składać komuś wizytę.

Wreszcie ją zobaczył - szarą sylwetkę na tle czerni. Widocznie usłyszała jego kroki, gdyż wyraźnie przyspieszyła. Zaczął biec, dopadł ją i chwycił w pasie obiema rękami. Przerażliwie krzyknęła.

Poczuł zapach kwiecica. To ona tak pachniała. Wyczuwał też jej smukłość. Trzymał ją w swoich wielkich dłoniach i zdało mu się, że schwytał ptaszka.

- Rosamund, to ja, Agravar.

Szarpnęła się, ale przestała krzyczeć. Bijąca od niej słodka woń uderzyła mu do głowy. Poczul się jak pijany. Już nie panował nad swoimi rękami. Uniezależniły się całkiem od jego woli. Było to godne potępienia. Trzymał wszak w ramionach nie dziewczkę, tylko damę - w dodatku zaręczoną z innym mężczyzną. Przebywającą w tym domu na prawach gościa. Spokrewnioną z małżonką jego przyjaciela i pana. Do diabła! Pokusa okazała się silniejsza od rozumowych argumentów. Pochylił głowę, przyznając tym samym, że nie jest już panem samego siebie.

Jej przyspieszony oddech owiał mu czoło i policzki. Przyciągnął ją bliżej do siebie.

Zawładnęło nim pożądanie.

Wtedy poczuł i usłyszał ten daleki, a potem coraz wyraźniejszy głos. Miał on formę nakazu. Nakazami posługuje się honor. Tak. Honor. Od zawsze uważał siebie za człowieka honoru. Albo, co zresztą na jedno wychodziło, więźnia honoru.

Jęknęła, jakby z bólu. To przeważyło szalę. Otworzył ramiona.

Odzyskawszy swobodę ruchów, Rosamund wbiegła na półpiętro i rzuciła się do okna.

Chciwie chwyciła ustami rześkie nocne powietrze.

- Przestraszyłeś mnie, panie! - rzekła z nie skrywaną pretensją.

Włosy miała w nieładzie. Policzki jej płonęły, pierś falowała.

Nim odpowiedział, musiał zwalczyć pokusę podbiegnięcia do niej i chwycenia jej w

ramiona. Była samym powabem, pięknem tego świata.

- Czyli że wzięłaś mnie za kogoś innego. Za kogo, Rosamund?

- Dlaczego szedłeś za mną?

- Najpierw ty mi odpowiedz.

- Pomyślałam... To mógł być ktokolwiek. Dostrzegł, że ma do czynienia z przestraszonym dzieckiem.

- Powinnaś wiedzieć, że jesteś bezpieczna. Jesteś w domu swojej kuzynki. Nie ma tu nikogo, kto mógłby zrobić ci krzywdę.

Spuściła głowę.

- Sądzisz, że diabeł nie ma tu dostępu? Mylisz się. Zło wciśnie się wszędzie. Panoszy się również w takich domach jak ten.

- Zdaje się, że znasz się na tych sprawach, Rosamund. Kiedy spojrzała nań, uderzyła go wielkość jej oczu.

Zajmowały niemal połowę pięknej twarzy. Płonął w nich tajemniczy ogień.

- Żebyś wiedział.

Przełknął ślinę. Starał się pojąć głębszy sens tej odpowiedzi. W rezultacie tylko wyciągnął rękę.

- Chodź. Wracajmy do holu.

Wydawała się naturalna i całkowicie szczerą. Spojrzała w górę, tam gdzie schody ginęły w ciemności. Zawahała się.

- Ja... pomyślałam, że mogę trochę pochodzić po zamku. Chciałam lepiej go poznać.

- Ależ z ciebie kłamczucha.

Gwałtownie się odwróciła. Już nie była załęczonym dzieckiem, tylko przeciwniczką, z którą trzeba się liczyć.

- Co za brak wychowania! Co każe ci wątpić w prawdziwość moich słów?

Właśnie - co? Po prostu tak mu podpowiadała intuicja. Nie miał żadnych dowodów.

Zresztą nikt nie zwiedza obcych sobie miejsc w całkowitej niemal ciemności.

Toteż uśmiechnął się i rzekł:

- Ostatecznie mogę ci towarzyszyć. Wejdziemy na szczyt wieży i rozejrzemy się po tym bożym świecie.

Drgnęła. Złączyła kurczowo dłonie.

- Nie. I tak już zbyt długo stoimy na tych schodach. Wyczuwam tu stęchliznę.

Wyjdźmy lepiej na dziedziniec.

- Tylko że ja nalegam, pani. Nie powinnaś z mojego powodu zmieniać swoich planów.

- Chwyć ją za rękę i pociągnął za sobą - Skoro więc już tu jesteśmy, poznajmy wspólnie sekrety tej wieży.

Nie było sensu się opierać. Poczła się tak, jakby uniósł ją w górę ogromny orzeł.

Niewielkie pomieszczenie na szczycie wieży okazało się puste.

- Widzisz - powiedziała drżącym głosem. - Tym gęstym powietrzem nie sposób oddychać. Poza tym jest tu nieprzyjemnie. Wolałabym być w tej chwili na dziedzińcu albo, jeszcze lepiej, w ogrodzie.

Agravar myszkował tymczasem oczyma po kątach komnaty. Bez wątplenia nie było tu nikogo.

Opanował go gniew na samego siebie. Było rzeczą śmieszną i niegodziwą podejrzewać Rosamund o zaplanowanie sekretnej schadzki w tym miejscu. W jakim celu? I z kim niby nie mogłaby się spotkać jawnie, w obecności innych?

A jednak...

Tyle korytarzy wiodło do tej wieży. Tylko drogami można było wśliznąć się tutaj, a

potem wymknąć. Szczyt wieży wcale nie musiał być celem wspinaczki Rosamund...

Zeszli na dół i po chwili byli już w ogrodzie. Rosły tu szlachetne winorośle, jabłonie i grusze. Każde drzewo ugięło się pod ciężarem owoców. Było bezwietrznie i w tym nieruchomym, nasyconym zmierzchem powietrzu drzewa przypominały stojących na warcie strażników.

Wiedział, że to tylko złudzenie. W Gastonbury to on był kapitanem straży. To on odpowiedzialny był za bezpieczeństwo zamku i jego mieszkańców. Jego obowiązkiem było przewidzieć każde nadciągające niebezpieczeństwo. Nawet gdyby nadeszło ze strony młodej niewiasty o złocistych włosach i orzechowych oczach.

Szła wolnym krokiem alejką, pogrążona w myślach. On włókł się za nią, zachowując dystans.

- Chłodno tu i miło - stwierdziła w pewnym momencie. - Nasz ogród nie jest tak piękny i zadbany. Podoba mi się tutaj.

- To znaczy, wśród tych krzewów i drzew czy w ogóle w Gastonbury?

- W Gastonbury. Nie zliczę dowodów życzliwości przyjaźni, jakich nie szczędziły mi Alayna i jej matka.

- Skuliła ramiona. - Ciężko mi będzie stąd odjeżdżać.

Ostatnie słowa wstrząsnęły nim. Prawie zapomniał o sir Robercie i Berendsfore.

Poczuł, że coś mu zostanie zabrane.

Zapytała:

- Masz tutaj, panie, jakichś krewnych? Powiedziałeś wszak, że nie pochodzisz z Danii.

- Mam tutaj brata.

- Brata? Nie spotkałam tu żadnego drugiego wikinga.

- Bratem nazywam Luciena. Łączy mnie z nim głęboka przyjaźń. Poza nim nie mam

nikogo bliskiego.

Spojrzała na niebo, na którym już zaczęły pojawiać się gwiazdy.

- Ja też jestem sama na świecie.

I były to ostatnie słowa, jakie tego dnia padły między nimi. Rosamund pierwsza opuściła ogród. Agravar pozostał w ciemności i długo roztrząsał w duszy to, co usłyszał.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

Gastonbury musiało być miejscem zaczarowanym. Rosamund coraz mocniej była o tym przeświadczona. Zdarzyło się jej bowiem niemożliwe.

Zapomniała.

Każdego poranka doświadczała oszałamiającej nowości dnia, przeszłość zaś odchodziła w niebyt. Poczucie bezpieczeństwa, wolne od trosk bytowanie, dowody życzliwości otoczenia - wszystko to sprawiało, że nie poznawała samej siebie.

Po raz pierwszy w życiu poznała smak zadowolenia i czuła się szczęśliwa.

Pewnego popołudnia siedziała na werandzie wraz z Leanną, dwuletnią córeczką

Alayny i Luciena, dziewczynką w tym samym stopniu łagodną i spokojną, w jakim jej starszy brat Aric był żywiołowy i impulsywny. Rodzice dosłownie wariowali na jej punkcie, babka zaś zwykła wpatrywać się w nią niczym w święty obrazek. Czyniła tak i teraz, siedząc na wyściełanym krześle i patrząc, jak jej wnuczka buduje wieżę z kolorowych klocków, które dała jej do zabawy Rosamund.

- To prawdziwy aniołek - rzekła w zamyśleniu. - Zastanawiam się tylko, po kim mogła wziąć tę niezwykłą słodycz. Jej matka w dzieciństwie sprawiała same kłopoty.

Nie było dnia, żeby nie poplątała mi przedzy lub czegoś nie zepsuła. Wszędzie jej było pełno, nigdzie nie usiedziała spokojnie. Co się zaś tyczy jej ojca, to podejrzewam, że już od małości siał postrach.

Rosamund zachowała przezornie milczenie. Lord Gastonbury wciąż budził w niej strach, jak tego pierwszego dnia pobytu tutaj przed miesiącem, jakkolwiek odnosił się do niej grzecznie i z zachowaniem dworskich manier.

Veronica ciągnęła myśl:

- Przy najbliższej okazji muszę przepytać jego matkę, może powie mi coś o swoim synu. Przyjeżdża tutaj zawsze na Wielkanoc, gości przez tydzień, po czym wraca do klasztoru, którego nie opuszcza do następnych świąt.

- To dziwne, że przyjeżdża do syna zaledwie na kilka dni - rzekła Rosamund. - Co to za niewiasta?

- Bardzo grzeczna, tylko nieco zimna i surowa. Kiedy poznało się jej przeszłość, nietrudno zrozumieć jej sposób bycia. Popełniła w życiu wiele błędów. Co za fatalność żyć, smakując gorzkie i cierpkie owoce dawnych przewin i szaleństw. Och, Rosamund, kiedy dożyjesz jej lub mojego wieku i uświadomisz sobie, że życie, to prawdziwe życie, jest już za tobą, wtedy w pełni zrozumiesz, o czym mówię.

Rosamund uniosła brwi.

- Ale ty, pani, nie żałujesz postępów swojej młodości. - Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- Czy żałuję? Chyba nie, choć wiele rzeczy moglibyśmy zrobić zupełnie inaczej.

Szerzej otwierać przed drugimi swoje serce. Unikać kłótni.

- Domyślam się, że mówisz, pani, o swym małżonku. Bardzo ci go brakuje?

Veronica blado się uśmiechnęła.

- O, tak. I z tym poczuciem pustki dożyję już swoich lat. Był wspaniałym człowiekiem. Kochałam go. - Pokiwała głową, jakby potwierdzając tym swoją miłość.

- Ja utraciłam brata, gdy miałam dziesięć lat. Zachorował i zszedł z tego świata



Umarła też moja matka. Zawsze będzie mi ich brakowało. Nie ma gorszej rzeczy od utraty osoby, którą się kocha - zakończyła Rosamund głosem pełnym żalu i smutku.

Veronica dała się ponieść współczuciu. Tkliwym gestem dotknęła jej ramienia.

- Tak, moje dziecko.

Lecz Rosamund odebrała ten gest i te słowa jako zachętę do pełnego wyznania. Nagle poczuła, że ma wielką ochotę otworzyć się przed tą życzliwą i serdeczną kobietą.

- Przeżyła syna jedynie o dwa lata. Tamtej nocy przysłała do mnie i usiadła przy moim łóżku. Już zasypiałam i byłam na granicy jawy i snu. Poczułam jej dłoń na swoim czole - odgarnęła mi włosy. Zawsze to robiła, jakby w trosce o to, bym miała jasne i pogodne sny.

Pamiętam do dzisiaj to jej ostatnie dotknięcie, kojące niczym zimny kompres w czas upału.

Życzyła mi spokojnej nocy.

Powiedziała coś jeszcze, czego jednak ona, Rosamund, nie mogła sobie przypomnieć.

Albo nie chciała. Nawet obawiała się, że jeśli sobie przypomni, co nie było takie znów niemożliwe, bo pojawiało się w jej snach, to pęknie w niej jakaś struna.

- Rosamund, kochanie, zaniechaj tych wspomnień, jeśli sprawiają ci ból.

- Od śmierci mamy minęło już wiele lat.

- Oczywiście, czas łagodzi rany. Lecz bywa, że wspominając, rozdrapujemy je.

Róbmy więc wszystko, by się zbliżniły.

Jej rany ropywały. Rosamund czuła to niemal fizycznie.

- Umarła na skutek upadku z wału fortecznego. Często chodziła tam nocną porą, by popatrzeć na rozgwieżdżone niebo. Czyniła tak wówczas, gdy coś ją gnębiło. Musiała nieostrożnie stąpać lub wychylić się za daleko; dość, że straciła równowagę i spadła z dużej wysokości. - Albo też została zepchnięta. Rosamund wpatrywała się w swoje kurczowo zaciśnięte dłonie. - Pewnie nigdy nie dowiem się, co wtedy naprawdę się wydarzyło.

Była wstrętną kłamczucha!

- Biedne dziecko. - Veronica objęła dziewczynę z macierzyńską czułością.

Ta skłoniła głowę na jej piersi. Łzy cisnęły się do oczu. Mogła teraz zapłakać i byłoby to całkiem usprawiedliwione. Wiedziała jednak, że jeśli pozwoli łzom popłynąć, może ich już nigdy nie powstrzymać.

Delikatnie wyswobodziła się z objęć.

- Jesteś, pani, bardzo dla mnie dobra.

Veronica uśmiechnęła się, po czym uczyniła dokładnie to, o czym dopiero co była mowa - odgarnęła pasmo włosów z czoła Rosamund.

- Być może zapragniesz raz jeszcze otworzyć przed kimś serce. Kiedy ta chwila nadejdzie, poszukaj mnie, dziecko. Wtedy usiądziesz mi na kolanach, a ja zamienię się w słuch.

Rosamund skinęła głową. Mała Leanna zburzyła wieżę, którą dopiero co skończyła budować, i wzięła się do wznoszenia następnej. Obie niewiasty skupiły uwagę na dziewczynce.

Lucien i Agravar siedzieli przy kominku w holu. Palenisko było puste, gdyż wciąż panowała letnia pogoda. Lucien trzymał cynowy kubek w dłoni. Z postawy Agravara przebijało wyczerpanie.

- Wyglądasz jak paralytyk - rzekł Lucien, popijając z kubka. - Czy te trzy syreny otarły się wreszcie o ciebie swoimi rybimi ogonami?

- Syreny, powiadasz. A może raczej flądry? Boże, czyż nie ma sposobu na przegnanie ich stąd?

- Nie mogę tego uczynić. Nie popełniły żadnej zbrodni. Wszyscy mieszkańcy Anglii podlegają temu samemu prawu.

- Jak się czuje Alayna?

- Od rana wylewa krokodyle łzy. Nawet się nie domyślam przyczyny tego płaczu.

Podejrzewam tylko, że i ona sama jej nie zna. - Zacisnął zęby z taką siłą, że nabrzmiały mu żyły na skroniach. Po chwili jednak znów zaczął mówić, tym razem szeptem: - Coraz bardziej niepokoję się jej stanem. Przedtem nigdy taka nie była. Coś jej dolega i bodaj nie ma to nic wspólnego z brzemiennością.

- Cyrulik i akuszerka utrzymują, że ciąża jest prawidłowa. Sam mi to powiedziałeś.

- A jednak nie jest tak, jak być powinno. Czuję to.

- Mówisz jak mistyk, Lucien. Niedługo każesz sobie wróżyć.

- Niewykluczone. Gdybym wiedział, że to jej pomoże, chętnie pomalowałbym się na czerwono i tańczył wieży.

- Ufam, że nie będzie takiej potrzeby. Nadchodzą żniwa i chyba nie chciałbyś tym swoim tańcem przyprawić wieśniaków o ciężkie choroby. Szkoda zboża, które zgniłoby na polu.

Mimo wszystko Agravarowi udało się wywołać - uśmiech na twarzy przyjaciela, chociaż dokładnie rzecz ujmując, był to raczej cień uśmiechu.

- Wybacz mi w takim razie te moje biadolenia. Porozmawiajmy teraz o tobie. Czy są jakieś wyłomy w murze, o których nic nie wiem? Czy też może odparłeś atak Wandalów?

- Nie było żadnych Wandalów - odparł Agravar, świadom jednak, że wyłom w murze jego serca został uczyniony.

- Więc co z tym chuchrem, kuzynką mojej żony? Boże, jak ta smarkula działa mi na nerwy. Niezmiennie spogląda na mnie, jakbym był wilkiem, który za chwilę ją pożre. -

Podniósł ostrzegawczo dłoń. - I żadnych komentarzy co do mojego wyglądu. Robię wszystko, by ujrzała we mnie dobrotliwego franciszkanina. - Spojrzał w głąb kubka i spytał, wracając

myślami do żony: - A jeśli to początki choroby umysłowej?

- Kłopoty z Alayną skończą się w dniu szczęśliwych narodzin dziecka. Zapewniam cię.

- Agravar, gdy po raz pierwszy próbowano mnie zabić, miałem szesnaście lat.

Dalszych prób nie zliczę, a podejmowali je zazwyczaj przeciwnicy przerastający mnie o głowę i dobrze znający rzemiosło wojenne. A jednak dziś siedzę sobie tutaj i popijam wino.

Co nie oznacza, że przeżyję to. - Rzucił przyjacielowi ponure spojrzenie. - Bądź wdzięczny losowi, że nie masz kobiety, od której byłbyś całkiem uzależniony. Tak, nie brakuje ci oleju w głowie. Porzuć skrupuły i poużywaj sobie na tych trzech dziewczkach, które do ciebie wzdychają. Potem rozbij beczkę wina i upij się wraz ze swoimi towarzyszami broni. I bądź szczęśliwy, że jesteś panem swojego serca. To najbezpieczniejsza sytuacja, najlepsza dla mężczyzny. Agravar przyjął w milczeniu rady przyjaciela. Przeżył życie w świecie gwałtu i okrucieństwa, jednak nie słyszał jeszcze słów bardziej okrutnych. Wstał więc i opuścił hol, zostawiając Luciena samego z jego bolączkami i uzalaniem się nad sobą. Musiał czym prędzej spłukać tę gorycz, która paliła mu gardło.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Człowiek w habicie rzekł:

- Pani, im dłuższa zwłoka, tym gorsze mamy widoki na szczęśliwe zakończenie naszego przedsięwzięcia.

- Całkowicie nie zgadzam się z tobą, Davey - oświadczyła Rosamund, nieco

zwalniając kroku, gdyż wąska ścieżka stała się kamienista i nierówna. - Im dłużej będę udawała, że wszystko jest w porządku, tym głębiej inni będą przeświadczeni, że nie muszą mnie strzec.

- Ale kto może cię podejrzewać, pani? Nie ma żadnych powodów, by wątpić, że było

to porwanie.

- Tym większą musimy zachować ostrożność. I nie próbuj żadnych ryzykownych głupstw. Następnym razem spotkasz się ze mną, dopiero gdy cię wezwę. Nie zapominaj, że tamtego dnia widziano twoją twarz i wielu ze zbrojnych lorda Luciena musiało ją zapamiętać.

- Któż zobaczy w potulnym mnichu tamtego rozbójnika? - Uśmiechnął się, pokazując ręką na swoją tonsurę. - Nawet nie zawahałem się poświęcić mego owłosienia, byleby tylko upodobnić się do franciszkańskiej owieczki.

Rosamund nie straciła nic ze swej powagi. Potrząsnęła głową.

- Strzeż się Agravara. On widzi wszystko i jest bardzo podejrzliwy. Ma instynkt dzikiego zwierzęcia.

Oczy Daveya w jednej chwili stały się zimne.

- Burzy twój spokój, pani?

- Obserwuje mnie. Wciąż wodzi za mną spojrzeniem. - Spłynął jej po krzyżu dreszcz.

- Próbuję go unikać. Daremnie. Prześladowuje mnie na każdym kroku. Zadaje mnóstwo pytań.

- Nie musisz go znosić, pani. Nie jest on panem tego zamku. Po prostu powiedz mu jasno, że masz już dość tego natręctwa. Jest zaledwie dowódcą straży, człowiekiem niskiego stanu, ty zaś pochodzisz z możnego i szlacheckiego rodu.

Nie mogła nie skomentować uśmiechem tych uproszczeń.

- Wikinga nie tak łatwo się pozbyć.

- Jesteś zbyt łagodna. O wielu rzeczach zdecydowała twoja nadmierna słabość, pani.

- Przestań. Nie chcę kłótni.

- Proszę, posłuchaj mojej rady. Musisz uciekać stąd jak najprędzej. Za kilka dni będzie nów. Należy spodziewać się ciemnej nocy. Do rzeki nie jest daleko. Postaram się o łódź...

- Nie. Żadnej łodzi i żadnej ucieczki nocą. Czy nie rozumiesz, Davey, że ujęliby nas w

ciągu kilkunastu godzin? Lord Lucien cieszy się sławą wielkiego rycerza. Nie ma dla niego rzeczy trudnych. A z tym wikingiem u swego boku jest wręcz niepokonany. - Położyła dłoń na ramieniu towarzysza. - Nie wolno nam działać pochopnie. Musimy być przezorni.

Gniew i bunt malował się na jego twarzy.

- Więc bądź przezorna, pani. Znajdź jakiś sposób. Jak sądzisz, co zrobi lord Cyrus, kiedy się dowie o zwłóce, w zawarciu małżeńskiego związku, na którym tak bardzo mu zależy?

Pytanie to było niczym uderzenie pięścią. Zabrakło jej powietrza.

- Nie myślałam o tym. Co twoim zdaniem zrobi?

- Przyznaję, że trudno przewidzieć zachowanie lorda Cyrusa. Jest to dodatkowy powód, dla którego powinnaś, pani, znaleźć się jak najszybciej poza zasięgiem jego władzy.

- Tak. - Narastał w niej paniczny strach.

- Lady Rosamund, czekam na rozkazy. Powiedz tylko, co mam robić.

- Niestety, nie mam żadnych pomysłów. - Z trudem przełknęła ślinę. - A przecież powinnam bić innych na głowę chytrą i przebiegłą. Wiele lat obserwowałam Cyrusa. Niewątpliwie lekcja, jaką dał mi ten największy łotr chrześcijańskiego świata, powinna była przynieść mi pewne korzyści. Sięgnę więc do tego, co wiem o kłamstwie i podstępie, i dam ci niebawem odpowiedź. - Nagle spojrzała mu w oczy i powiedziała z mocą: - Nie wyjdę za mąż. Nie wyjadę do Berendsfore, Davey. - Płochliwie rozejrzała się wokół. - Ale już dość tej rozmowy. Zbyt wiele ryzykujemy.

Pożegnali się i Rosamund została sama w ogrodzie. Przypomniała sobie tamten wieczór, gdy była tu razem z Agravarem. Wprędce jednak wróciła myślami do zasadniczego problemu.

Davey miał rację. Musi opuścić Gastonbury i wszystkich tych, których zdążyła tu

pokochoać. Alaynę i jej dzieci, a także lady Veronicę, swoją powierniczkę.

Musi też rozstać się z wikingiem, który udowodnił jej w trakcie tych ich kilku krótkich spotkań, że może być całkiem inną Rosamund od tej, do której przywykła. Że może mieć pragnienia, o które się nigdy nie podejrzewała.

I długo będzie dręczyło ją pytanie, czy z nieśmiałej i zastraszonej panny mogłaby tutaj, dojrzewając w przyspieszonym tempie, wyrosnąć na kobietę.

Rosamund zeszła do holu na wieczerzę ubrana w złocistą suknię, wyszywaną brązowymi nićmi. Agravar, który zobaczył ją już w drzwiach, uznał, że nigdy jeszcze tak ładnie nie wyglądała. Poszła lewą stroną sali i usiadła razem z niewiastami, obok matki Alayny, jak miała to w zwyczaju. Zamieniła kilka słów ze starszą damą, po czym rzuciła krótkie spojrzenie w jego stronę. Było na tyle krótkie, a nawet ukradkowe, że nie zauważyłby go, gdyby właśnie nie koncentrował się cały na jej osobie.

Działał jej na nerwy. Rozumiał to, jakkolwiek fakt ten go zasmucał. Irytował wielu ludzi, ponieważ był zbyt wielki i za mało angielski. Przywykł już do tego typu reakcji albo przynajmniej wmówił to sobie. Doświadczał ich już jako młokos. Nie były przyjemne, różniły się wszakże od odrazy, którą zobaczył w oczach pewnej lady, na której przychylności bardzo mu zależało.

Tolerował nawet niechęć. Tak było rozsądnie. Po cóż czynić życie jeszcze bardziej skomplikowanym.

Przywołał go Lucien. Stał w towarzystwie mężczyzny, sądząc po ubiorze, osoby duchownej. Nie był wszak jednym z braci z pobliskiego opactwa, którzy często pojawiali się na zamku. Na jego pociągłej twarzy o błyszczących małych oczkach malowała się przebiegłość. Witając się z Agravarem, uśmiechnął się, obnażając wystające trzonowe zęby, wielkie jak u królika. Właściwie trudno to było nawet nazwać uśmiechem. Przypominało

raczej bolesne skrzywienie.

- To jest ojciec Leon - przedstawił nieznanego Lucien. - Przybywa z Hallscroft z misją od lorda Cyrusa, ojczyma Rosamund. Lord Cyrus niepokoi się zwłoką w zamążpójściu pasierbicy.

Ojciec Leon zgiął się w ukłonie.

- Istotnie, kiedy mój pan i chlebodawca, człek szlachetnego serca, nabożny niczym pątnik, sumienny i wielkoduszny opiekun lady Rosamund, usłyszał o tym niefortunnym wydarzeniu, stracił mowę, tak, szlachetni panowie, dosłownie stracił mowę, na szczęście tylko na chwilę, bo zaraz udało mu się przewalczyć wielkie zmartwienie. Odzyskawszy głos, kazał mi ruszać w drogę, bym po zapoznaniu się z sytuacją omówił z wami sprawy niecierpiące zwłoki, nie ukrywając, iż niecierpliwość mojego pana, podyktowana troską o dobro pasierbicy, może przynieść mu uszczerbek na zdrowiu, jeśli natychmiast, podkreślam, natychmiast lady Rosamund nie zostanie przekazana oblubieńcowi, który wie już, co zrobić, by dotrzymać zawartej umowy, tejże samej...

Lucien przerwał duchownej osobie:

- To Agravar uratował damę, o której tu mowa, zatem to on ma prawo zabierać głos w jej sprawie. Jeśli o mnie chodzi, to nie omieszkałem zawiadomić lorda Roberta z Berendsfore o pobycie u mnie jego narzeczonej, na co odpowiedział, że życzy sobie, by czekała tu na jego przybycie. Uznałem tedy sprawę za zakończoną i zająłem się innymi rzeczami. A teraz wybaczcie mi panowie, że zostawiam was samych. - Co powiedziawszy, odszedł.

Ojciec Leon po raz kolejny się uśmiechnął albo może po prostu skrzywił, odsłaniając swoje nieprawdopodobnie wielkie zęby.

- Rozkosz rozmawiać z takim człowiekiem. Co za godność w każdym geście! Co za reputacja! Każde słowo niczym szlifowany brylant! Anglia powinna być dumna z takich



rycerzy.

Agravar ściągnął brwi.

- Od jak dawna ojciec zna lady Rosamund? - zapytał.

- Powiedziałbym, że już kawałek czasu. Znałem jeszcze jej matkę. Piękna niewiasta, prawdziwa dama. Cicha, skromna i pobożnego serca Wzór matki i żony. Lord Cyrus wariował na jej punkcie, tak, można to ująć w ten sposób. Jej śmierć była dla niego prawdziwym ciosem. Od tamtej tragicznej nocy nigdy już o niej nie mówił, nie wymienił nawet jej imienia. A Rosamund? Cóż, to łagodne i potulne dziecko przeszło pod opiekuńcze skrzydła lorda Cyrusa, który dla swojej pasierbicy stał się w jednej osobie ojcem i matką...

- Chodźmy, ojczy - rzekł Agravar, przyrzekając sobie w duchu, że odpłaci Lucienowi za jego ucieczkę. - Zgaduję bowiem, że przede wszystkim, chciałbyś porozmawiać z lady Rosamund.

- Intuicja nie zawiodła cię, panie. Rzeczywiście, zostałem tu przysłany, bym przypomniał jej o obowiązkach. Niewzruszonym zamiarem lorda Cyrusa jest doprowadzić to małżeństwo do skutku. Rozumiesz, panie, jak ważne są dobre koligacje. Szło tu zatem o dobro rodziny, choć, trzeba przyznać, dziewczyna z początku niechętna była temu małżeństwu, a w każdym razie nie wykazywała należytego zapału... A oto i ona. Witam, lady Rosamund. Przybywam od twego szanownego ojczyma, by zakomunikować ci jego gorące pragnienia, a właściwie jedno pragnienie, byś nie zapomniała o celu swej ostatniej podróży. Przerwałaś ją, bo to wynikało z okoliczności. Wszakże w założonym planie nic nie uległo zmianie. Zaślubiny mają się odbyć, dla twojego dobra i z korzyścią dla całego rodu. Dlatego... Wielki Boże! Dokąd ona idzie?

Agravar od samego początku wpatrywał się w twarz Rosamund. I widział na niej całą gamę uczuć - zaskoczenie, strach, gniew i odrazę. Gadatliwy kapłan świergolił niczym ptaszę,

jakby nie widząc reakcji słuchaczki na jego pojawienie się i słowa, których, zaiste, nie  
szczędził. Zdumiał się dopiero z chwilą, gdy gwałtownie powstała z krzesła i wybiegła z holu.  
Spojrzał na Agravara, jakby z tej strony spodziewał się rozwiązania tej zagadki.

I otrzymał je.

- Lady Rosamund wydaje się dzisiaj nieco cierpiąca. Ojciec Leon kiwnął ze  
zrozumieniem głową.

- Kobieta zmienną jest. I dlatego, mój synu, wciąż miej się na baczności, jako że  
kobiecość jest worem pełnym pokus i frywolności. Niewiasta zdolna jest odwieść mężczyznę  
od jego zadań, których podjął się na chwałę Pana, i ściągnąć go na swój poziom. Och, te  
biedne bezrozumne istoty potrafią jednak udawać, mącąc w głowach mężczyznom, którzy w  
prostocie ducha nie domyślają się ich chytrych i szczwanych podstępów.

- Opisując niewiasty, powiedziałaś, ojcze, że są „bezrozumne” oraz „chytne,  
szczwane”. Widzę tu pewną sprzeczność.

- Sprzeczność, która wyraża paradoksalność kobiecej natury. Kierując się zmysłami,  
nie rozumem, niewiasty wyćwiczyły się we wszelkiej obłudzie.

Agravar miał ochotę udusić tego głupca. Najgorsza jednak była myśl, że ten  
kompletny idiota, jeżeli prawdą było to, że przebywał w domu Rosamund od lat, mógł posiadać  
w jej duszy różne trujące ziarna.

- Bardzo mnie zainteresowałaś, ojcze, swoim wywodem. Proszę, spocznij i czuj się  
naszym gościem. Barnard!

Wina. Opowiedz mi coś, ojcze, o domu i rodzinie lady Rosamund. Wspomniałaś, że  
lord Cyrus zakochany był w swojej żonie.

- Do szaleństwa. Ta czarodziejka zupełnie go opętała. Wiem wiele, lecz obowiązuje  
mnie tajemnica spowiedzi.

- Wszakże jako domownik zdołałeś przecież coś zaobserwować.

- Święta racja, szlachetny rycerzu. Człek czerpie wiedzę z różnych źródeł. I cóż

zobaczyłem, tułając się po tym świecie? - Rzucił spojrzeniem na boki. - Mężczyzn w jarzmie cielesnych żądz. To one czynią z wolnego mężczyzny niewolnika i oddalają go od Boga.

Wielka jest bowiem siła niewieściego powabu, co nie oznacza, by nie można było wychować młodej niewiasty na dobrą żonę i matkę. Takie też cele postawił przed sobą lord Cyrus, przejmując opiekę nad pasierbicą...

- Twierdzisz, ojcze, że to lord Cyrus był bezpośrednim wychowawcą lady Rosamund?

Ojciec Leon westchnął.

- Widzę, panie, że wątpisz w efekt tej nauki po tym popisie samowoli, który mieliśmy okazję przed chwilą zaobserwować, a którego nie sposób pojąć. Nie obawiaj się jednak, zasady wpojone lady Rosamund postawiają przed trybunałem własnego sumienia. Jej skłonność do buntu znana jest dobrze lordowi Cyrusowi. Świadom jest również, że niewieścia dusza to sama przewrotność, kapryśność i chimeryczność. Zatem nawet tak ułożoną pannę jak lady Rosamund trzeba chronić przed sidłami jej cielesnej natury.

Agravar poczuł się chory. Słuchając ojca Leona, miał wrażenie, że wacha coś zepsutego.

- Oczywiście - przyznał drewnianym głosem. Ojciec Leon przyjął to jako zachętę i rozwinął przez wikiniem swoją teorię płci. Agravar słuchał tych bredni tylko jednym uchem. Stopniowo pograżał się w myślach.

A więc to w takiej atmosferze wzrastała. Nic dziwnego, że była taka płochliwa i zastraszona. Ale ten bęcwał przynajmniej w jednej sprawie miał rację. Z dala od terroru tych psudoteologicznych absurdów lady Rosamund zaczynała rozkwitać. Budziła się w niej kobiecość.

Ojciec Leon wreszcie zamilkł i sięgnął po kielich z winem. Po jego brodzie pociekła czerwona strużka. Agravar podał mu chusteczkę. Leon wziął ją, podziękował i, zaprzątnięty swoimi myślami, a właściwie rozlubowany w nich, położył czystą na blacie stołu.

- Bo jakież właściwie jest powołanie kobiet? Istnieją po to, by przysparzać czci i bogactwa swoim małżonkom i panom...

Agravar uniósł rękę i zawołał patrząc na drugi koniec stołu:

- Lady Veronica!

Ta jakby czekała na wezwanie. Po chwili była już przy wikingu i przybyszu w sutannie.

- Pozwól, ojcze, że przedstawię ci świekrę lorda Luciena. Wierzę, że lady Veronica z równym mojemu zainteresowaniem wysłucha twoich poglądów. A teraz muszę odejść.

Wstał, lecz widząc zaskoczenie malujące się na twarzy nowej ofiary ojca Leona, zbliżył usta do jej ucha.

- Tylko nie zamorduj go, pani, bo będzie nam jeszcze potrzebny. Poza tym możesz poczynić sobie z całkowitą swobodą.

Wycofał się, szarpany wyrzutami sumienia. Jednak ów krzyk oburzenia, który po chwili doleciał do jego uszu, w pełni go zadowolił. Tak, dokonał właściwego wyboru. Tylko lady Veronica mogła uczciwie zapłacić ojcu Leonowi za dary jego umysłu.

Natomiast Leon miał wreszcie poznać kobietę z krwi i kości.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Rosamund aż podskoczyła na odgłos pukania do drzwi. Serce tłukło się jej w piersi. A więc był tu - ten łotr udający sługę bożego. Ta marionetka w ręku jej ojczyma, choć obaj byli sobie równi w niegodziwości i zdradzie. Był tu, żeby ją zabrać ze sobą!

Rozpaczliwie próbowała uwolnić się od strachu oraz zebrać myśli. Dlaczego nie

uciekle, gdy nadarzyła się okazja? Przecież miała Daveya, rzecznika zdecydowanych działań.

Wspominał coś o łodzi, dlaczego ów plan miałby się nie powieść?

Stukanie powtórzyło się. Jęknęła w bezmiernej rozpacz i zakryła usta dłonią.

Spojrzała w stronę okna, tam szukając ratunku. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że jej komnata znajduje się na drugim piętrze, wysoko nad brukiem dziedzińca.

- Rosamund, to ja, Agravar. Muszę z tobą porozmawiać. Zechciej otworzyć.

Nie namyślając się, skoczyła ku drzwiom. Chwilę zajęło jej odsunięcie zasuw.

Jednym szarpnięciem otworzyła drzwi na całą szerokość. Wszedł, i było to, jakby do ciemnicy wpadł snop światła. Odebrałaby tak zresztą wizytę każdego, byleby nie tego zwiastuna nieszczęścia.

- Gdzie Leon? - zapytała.

Agravar uśmiechnął się.

- Sprawilem, że bawi go w tej chwili lady Veronica. Rozmowa może potrwać długo i będzie pamiętna dla naszego gościa.

- Więc on wciąż jest tutaj?

- Uspokój się, proszę. Przyszedłem, żeby upewnić cię, pani, iż jesteś bezpieczna.

- Rozmawia z lady Veronicą? - Skrzywiła się z niesmakiem i podeszła do okna. - Jak mogłeś narazić ją na towarzystwo kogoś takiego? Nie zasługuje na to, by wysłuchiwać tych okropności.

- Ani ty, pani.

Słowa te do tego stopnia ją zaskoczyły, że na chwilę wstrzymała oddech.

- Co możesz o tym wiedzieć?

- Nic, Rosamund, lecz pewne rzeczy mogę sobie wyobrazić. To musiało być dla ciebie bardzo przykre i bolesne.

Przyłgnęła plecami do bocznej ściany wnęki okiennej.

- Proszę, nie próbuj mnie zrozumieć. Bezradnie rozłożył ręce.

- Obawiam się, że nigdy by mi się to nie udało.

- Czyżbym za chwilę miała usłyszeć skargę na wrodzoną przewrotność kobiet?

Czyżbyś podzielał poglądy... tamtego człowieka?

- Przestań, proszę. Jedyne, czego pragnę, to odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego odtrącasz moją pomoc.

Ruszył ku niej, a ona odsunęła się w przeciwległy kąt.

- Rosamund, gdybym to wiedział, na pewno wsparłbym cię w twoich kłopotach.

- Wsparłbyś mnie w moich kłopotach - powtórzyła z niedowierzaniem i ironią w głosie. - A niby jak to sobie wyobrażasz, wikingu? Wyzwałbyś Cyrusa na pojedynek i posiekał go swoim ogromnym mieczem? A może spotkałoby to z twojej ręki lorda Roberta?

- Z tego, co wiem, sir Robertowi nie można niczego zarzucić. To szlachetny i uczciwy człowiek.

- Ale jest mężczyzną! - wypaliła.

Zatrzymał się w pół kroku, bo wciąż próbował zbliżyć się do niej, ona zaś ciągle przed nim uciekała.

- Ja również.

Zdążyła to już zauważyć. Mężczyzna jak inni. Lecz w jakimś sensie wyjątkowy, gdyż nie przerażał jej, mimo tych swoich herkulesowych rozmiarów i wyglądu barbarzyńcy.

Mężczyzna, który mógł mieć serce.

Spuściła głowę.

- Nie rozumiesz mnie... Po tym wszystkim, co usłyszałaś... To, że współczujesz mi...

Nie zniosę tego.

- To oni powinni się wstydzić, nie ty - odparł z mocą.

- Słowami innych też można się zabrudzić, to znaczy zabrudzić sobie duszę.

- Przestań! - rzekł gniewnym głosem, po czym trzema susami dopadł do niej i chwycił za ramiona. - Przed brudem, o którym mówisz, chroni cię twoja godność. Nie pozwól, żeby ranili cię słowami. Stawiaj tamy plugastwu. W ogóle ich nie słuchaj.

- Cóż możesz wiedzieć o tym wszystkim? - powtórzyła pytanie, które raz mu już zadała. Szarpnęła się, próbując się wyrwać.

Puścił ją. Teraz jego ręce zwisały wzdłuż ciała. Sprawiał wrażenie bezbronnego i zagubionego.

- Boże, nie wiem nawet, dlaczego tu przyszedłem. Mówił te wszystkie wstrętne rzeczy i wtedy ty uciekłaś... Chyba pomyślałem, że chciałybyś z kimś porozmawiać, że nie wolno zostawiać cię samej. Nie wiem. Rzadko tak postępuję.

- Czy powinnam być ci wdzięczna za tę wizytę? - spytała łamiącym się głosem.

Wypełniała ją żal. Poczwała, że za chwilę może stracić panowanie nad sobą i wybuchnąć płaczem.

- Poproszę Luciena, żeby pozbył się go. Niech wraca tam, skąd przybył - rzekł, jakby nie słysząc jej pytania.

- To nie ma większego znaczenia, Agravarze. - Dotknęła wskazującym palcem czoła. - Bo on jest tutaj, a stąd o wiele trudniej będzie go usunąć.

Spuścił głowę, jakby na znak, że czuje się pokonany.

- Pójdę już sobie. Wybacz, że zakłóciłem ci spokój.

Po chwili znów była sama w komnacie, lecz bynajmniej nie poczuła ulgi. Było jej gorzej niż w towarzystwie wikinga. Dlaczego walczyła z nim jak z wrogiem, skoro nie miał wobec niej wrogich zamiarów? Wręcz przeciwnie, chciał jej pomóc.

Ale dlaczego Agravar chciał jej pomóc? Pytanie to zawisło w próżni. W tej chwili niezdolna była na nie odpowiedzieć. Koncentrowała się na ojcu Leonie i jego obecności. Skoro Leon był tutaj, to i Cyrus, przynajmniej duchowo. To zmieniało postać rzeczy. Gastonbury przestało być jej schronieniem.

Padła na łóżko i wybuchnęła płaczem. Pragnęła umrzeć. Śmierć była czymś lepszym od życia w ustawicznym strachu.

Niestety, śmierć nie przychodzi na zawołanie. Chyba że człowiek decyduje się popełnić ciężki i niewybaczalny grzech.

- Skoro jesteś na mnie wściekły, to prawie mam pewność, że zasłużyłem sobie na to -

rzekł Lucien do towarzyszącego mu Agravara. Dochodzili właśnie do miejsca, gdzie zwykli zaprawiać się w sztuce walki wręcz. Stał tu długi żelazny stojak z oszczepami. Lucien wziął jeden z nich i zważył w dłoni. - Jak długo rozkoszowałeś się pogawędką z ojcem Leonem?

- Zrobiłeś mi prawdziwy prezent. - Agravar zerknął w niebo, ustalając położenie słońca. - Było to niczym olśnienie.

- Olśnienie? Chcesz przez to powiedzieć, że poglądy ojca Leona warte były cierpliwego wysłuchania?

- Bynajmniej. Korzyść tkwiła w tym, że brednie, które płynęły z jego ust, w jakimś sensie wyjaśniły mi dziwne , zachowanie kuzynki twojej żony.

Lucien popatrzył na przyjaciela z nie skrywaną ciekawością.

- I czego dowiedziałeś się o tej smarkuli? Widzę, że troszczysz się o nią, a może nawet...

- Nie sądzę - przerwał mu Agravar z nutką ostrzeżenia w głosie. - Ona jest tylko kłopotem. Na szczęście niebawem odjedzie.

- Och, wyznaj to wreszcie, ty obłudniku. Interesujesz się nią od chwili, kiedy ją



zobaczyłeś. Gdybym nie był tak zaprzątnięty własnymi problemami, wcześniej bym to zauważył.

- Lucien, ty przede wszystkim jesteś wciąż zaprzątnięty sobą. Widzisz tylko koniec swojego nosa.

- Przyznaję, że brak mi owej wrażliwości, która pozwala nam odczytywać sekrety ludzkich serc. W tych kwestiach zwykłem polegać na tobie.

- Powiedziałeś to takim tonem, jakbyś był z tego dumny.

Lucien wzruszył ramionami.

- Cóż, takim ukształtowało mnie życie. Podobnie jak ty, też miałbym coś niecoś do opowiedzenia o swoim dzieciństwie. A nawet kto wie, może moja historia jest ciekawsza od twojej. - Rzucił na przyjaciela krótkie spojrzenie. - Ojca kochałem i był to człowiek wart mojej miłości. Matka zaś, jakkolwiek jędza, nigdy nie czuła do mnie odrazy, jak to miało miejsce...

- Dość. Przyszliśmy tu walczyć, a nie opowiadać sobie łzawe historie.

- W takim razie wyciągaj miecz - zgodził się Lucien. Agravar przyjął pozycję. W ostrzu jego miecza odbijało się słońce.

Lucien bez trudu odparował pierwszy cios.

- Zdumiewasz mnie, Agravar. Zawsze chętnie opowiadałeś o swoim życiu.

Wiking ciął na odlew.

- Teraz też nie jestem temu niechętny. Tylko o co ci właściwie chodzi? Ty niegdyś zakochałeś się i wciąż masz tę swoją miłość. Mnie się to nie zdarzyło. O czym w takim razie mam mówić?

- Powiedz przynajmniej, dlaczego jesteś taki wściekły? - spytał Lucien, uchylając się przed ciosem w ostatniej chwili. Szerokie ostrze przecięło powietrze tuż przy jego uchu.

- Wcale nie jestem wściekły! - Agrawar ze zdumieniem zobaczył, że Lucien przysiadła po każdym jego ciosie, niemalże się kuli. Czyżby uderzał zbyt mocno?

Oczywiście, machał mieczem jak oszalały, jakby walczył z prawdziwym przeciwnikiem. Otrzeźwiał. Z dzikim okrzykiem wyrzucił miecz wysoko ponad głowę. Broń zatoczyła łuk w powietrzu i błyszcząc w słońcu niczym kometa, spadła na ziemię.

Ale nie oznaczało to, że zakończył rozprawę z Lucieniem. Dосkoczył do zdumionego przyjaciela.

- Martwisz się, że ukochana żona miewa te napady złości. To bardzo przykre. Boleję razem z tobą. Przyszło ci dźwigać krzyż Pański. Przynajmniej tak się zachowujesz. Mój Boże, czyżbyś był zupełnym tumanem? Radzisz mi, bym się nigdy nie zakochał, bo w ten sposób uniknę kłopotów z żoną. Czy nie domyślasz się całego bezmiaru głupoty zawartego w tych słowach? - Teraz osaczał swoją ofiarę, krążąc szybkim krokiem wokół Luciena, który wodził za nim niepewnym spojrzeniem. - Jakież to ciężkie próby przechodzisz? Do tego stopnia zasmakowałeś w swoim szczęściu, że teraz panicznie boisz się je utracić. Mało to razy byłem świadkiem scen, gdy piękna jak marzenie istota, którą wybrałeś sobie na małżonkę, patrzyła na ciebie z uwielbieniem w oczach, a dzieci, które ci urodziła, biegły do ciebie z radosnymi uśmiechami na twarzach? I ty śmiesz stawiać moją samotność wyżej życia w rodzinie! Pytam zatem - co wiesz o samotności, Lucien?

Lucien uniósł rękę na znak, że chce odpowiedzieć.

- Uspokój się, przyjacielu. Nie zapominaj, że nie jest mi obce również cierpienie. Był czas, gdy czułem się zagubiony, jak tylko może czuć się zagubiony mężczyzna...

- To raczej tobie nie dopisuje pamięć. Tak, dawno temu miałeś swoje zmartwienie, lecz miłość twojej żony i dzieci zatarły wspomnienie tamtych ponurych chwil. Stałeś się człowiekiem łagodnym, Lucien, powiedziałaby ktoś nawet, że zniewieściałym. A miałeś

niegdyś zęby i pazury wilka. Właściwie ci zazdroścę, tylko nie mów mi, że nie jest to najlepszą rzeczą, jaka mogła ci się przydarzyć. I nigdy nie rozdzieraj szat, gdy twojej żonie przydarzy się chwila smutku lub złości, bo jesteś, przyjacielu, najszczęśliwszym bękartem na tej ziemi.

Lucien raz i drugi głęboko odetchnął.

- Mylisz się, Agravar. - Próbował się uśmiechnąć. - To ty jesteś tym bękartem. Twoi rodzice nie brali ze sobą ślubu. Moich połączył kapłan świętym węzłem małżeńskim.

W jednej chwili gniew opuścił Agravara. Pokręcił głową, szczerząc zęby.

- Najlichszy dowcip, jaki słyszałem. Lucien wszakże zachował powagę.  
- Twój dom jest tutaj, przyjacielu. Potwierdziłeś to swoim wyborem. Kiedy chciałem ci dać ziemie w nagrodę za wierną służbę, zdecydowałeś się zostać tutaj, u mego boku. Jesteś tyleż moim kapitanem, co moim bratem. Toteż nie mów, że nie masz nikogo. Masz rodzinę, która darzy cię przyjaźnią i miłością.

Agravar odszedł, by podnieść miecz. Długo przypatrywał się jego ostrzu.

- To twoja rodzina - rzekł, nie odrywając oczu od brzeszczotu. - Cieszę się, że zaliczam się do jej członków. Być może jednak po raz pierwszy w życiu chciałbym mieć coś własnego.

Lucien podszedł doń i powiedział cichym głosem:

- Przykro mi, że obdarzyłeś tę dziewczynę uczuciem. Albowiem nie możesz jej mieć.

Pewnych rzeczy po prostu nie można zmienić.

Agravar wsunął miecz do pochwy..

- Wiem o tym.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedziała Veronica, biorąc Rosamund pod ramię.

- Ja...

- Usiądźmy tutaj, bliżej okna.

Rosamund nie miała wyboru. Usiadły w pewnej odległości od niewiast gręplujących wełnę. Przez jakiś czas nie padło między nimi ani jedno słowo. Rosamund wbiła wzrok w kamienne tafle posadzki, Veronica przypatrywali się bladej i ściągniętej twarzy dziewczyny.

- Spójrz na mnie, dziecko - rzekła po dłuższej chwili. Rosamund tym razem również okazała posłuszeństwo.

Veronica zaliczała się do istot, które wymuszają je na innych najłagodniejszym słowem czy perswazją.

- A teraz wysłuchaj mnie. Jeśli kiedykolwiek wyczytam z twoich oczu lub postawy, że masz w pamięci te rzeczy, których ten niecny człowiek cię nauczył, nie mówiąc już o wierze w te bajdy, to przysięgam, że spiorę cię na kwaśne jabłko.

Rosamund otworzyła usta ze zdumienia. Veronica uniosła ostrzegawczo wskazujący palec.

- I nie myśl sobie, że tylko cię straszę. Jeśli okaże się to konieczne, potraktuję cię jak dziecko, byleby oczyścić twą duszę z trucizny, którą ją nasączono. Żyję już na tym świecie kilka dziesiątków lat i doświadczenie daje mi prawo wydawania sądów. Może nie będę skromna, ale zapewniam cię, że jestem dobrą znawczynią ludzkich charakterów.

Ujawszy drżące dłonie Rosamund, ciągnęła łagodniejszym tonem:

- A teraz, droga moja, słuchaj uważnie. Mężczyźni, którzy widzą w kobiecie uosobienie zła, są jak ci chromi, głusi i ślepi. Nie rozumieją naszej tajemnicy, naszej odmienności wynikającej z płci. Odbierają ją jako zagrożenie, które z kolei wywołuje w nich strach. To nie są silni, rozumni i władczy mężczyźni, tylko przerażeni chłopcy, którzy pragną podporządkować sobie i po części zniszczyć to, czego nie rozumieją i nie potrafią docenić. Są

oni godni pogardy. Krzewią zło, powołując się na święte księgi, które przeinaczają. Ale największa szkoda, jaką mogą uczynić, ma miejsce wówczas, gdy my, niewiasty, uwierzemy ich zradliwym podszeptom.

To ostatnie stwierdzenie zastanowiło Rosamund.

- Czy byłaś kiedykolwiek, pani, we władzy takiego mężczyzny?

- Ja nie, moje dziecko, lecz moja najbliższa przyjaciółka miała nieszczęście poślubić kogoś takiego. Zniszczyłby ją, gdyby w końcu nie zebrała się na odwagę i nie oparła się mu, ratując to, co było w niej jedyne i niepowtarzalne. Akurat ta historia miała szczęśliwe zakończenie, gdyż przeżyła swojego niegodziwego męża i cieszy się spokojną starością. Ale ileż kobiet umiera, choć na pozór wciąż żyją, wypełniając obowiązki żon i matek.

Ogarnięta niepokojem, Rosamund zerwała się z krzesła.

- Nie zapomnę twoich słów, pani - wyszeptała w największym podnieceniu.

Veronica pogładziła ją po ramieniu.

- Niech służą ci one za tarczę ochronną w chwilach słabości.

- Dziękuję z całego serca - powiedziała Rosamund z uczuciem i uściskała Veronicę.

Z tą chwilą poczuła się dużo lepiej. W słowach przyjaciółki zawarta była autentyczna mądrość. Im dłużej o nich myślała, tym bardziej umacniała się w przekonaniu, że Cyrus i ten łotr w szacie duchownego byli tylko pozbawionymi woli słabeuszami, których naprawdę nie ma powodu się bać.

W ciągu następnych dni Rosamund nie szukała wprawdzie towarzystwa ojca Leona, ale też nie chowała się przed nim za zamkniętymi drzwiami swojej komnaty. Widywała go wyłącznie podczas wspólnych posiłków w holu, jednak tak się szczęśliwie składało, że duchowny nie miał okazji zbliżyć się do niej i porozmawiać z nią na osobności. Zresztą nietrudno było zauważyć, że zagustował w winie, które wlewał w siebie całymi kwartami.

Niewykluczone też, że obawiał się przysiąść z powodu Veroniki, która niezmiennie zajmowała miejsce po prawej ręce Rosamund.

Każdy dzień miał swój z góry ustalony porządek. I tak, ranki Rosamund spędzała w pracowni, gdzie wespół z innymi niewiastami oddawała się różnym zajęciom, jak haftowanie, szycie, cerowanie, tkanie i przędzenie. Godziny popołudniowe upływały jej na samotnych spacerach po ogrodzie, na modlitwie lub zabawie z dziećmi. Uwielbiała zajmować się Leanną i często się śmiała z wybryków Arica. Chłopiec wykazywał skłonności do despotycznych zachowań i nic tu nie pomagały surowe napomnienia matki. Uwielbiał ojca i tylko Lucien potrafił utrzymać go w ryzach.

- Rozkazuje dużo starszym od siebie chłopcom i oni go słuchają - lamentowała

Alayna. - Młodszy zaś wpatrują się w niego niczym w cud natury, choć on w ogóle ich nie zauważa, a nawet traktuje ze wzgardliwym lekceważeniem.

- Czasem zachowuje się niczym pan na tych włościach i wtedy zadziwia swą majestatyczną postawą - dodała Veronica z lekkim uśmiechem w kącikach ust.

- Obiecałam mu - powiedziała Rosamund - że opowiem mu dzieje wypraw krzyżowych. Najpierw jednak sama musiałam je poznać.

- Ach, to tylko wzmoże jego żądzę krwi - powiedziała Alayna z nutą rozpaczony głósie.

- Może nie będzie aż tak źle. Pomyślałam to jako przypowieść z dwoma czy trzema morałami.

- Wspaniały pomysł - pochwaliła Veronica. - Dzieciom najlepiej jest wpajać zasady nie bezpośrednio, tylko stawiając im przed oczyma budujące lub godne potępienia przykłady. Alayna dała się przekonać.

- Czasami mali chłopcy mają już dość matczynych wskazówek i napomnień -

zauważyła.

- Co tyczy matek, tyczy się też babci - dodała Veronica. - Łatwo można sobie wyobrazić, jak nieznośne i nudne są babcie w oczach małych chłopców. Dlatego dziękujemy ci, Rosamund. To ładnie z twojej strony, że chcesz nam pomóc w rozwiązywaniu naszych wychowawczych problemów.

Ale Rosamund nie było lekko na sercu. Czuła, że coraz silniejsze więzy łączą ją z tą rodziną. Tym boleśnieszce będzie rozstanie, gdy nadejdzie czas wyjazdu.

Polubiła też ogród, który niezmiennie jej przypominał o tamtej wspólnej przechadzce z Agravarem. Często siadywała na ławce z książką i, owiana zapachami, rozkoszując się chłodnym cieniem, pogrążała się w lekturze.

Uwielbiała czytać książki. Zamiłowanie to wpoila w nią matka. Lord Cyrus był temu przeciwny, uważając, że księgi mogą tylko wypaczyć duszę niewiasty, jednak matka w tej jednej sprawie ośmieliła się mu przeciwstawić, za co Rosamund do końca życia miała być jej wdzięczna. Uwielbiała bowiem zanurzać się w światy ilustrowanych manuskryptów, gdzie spotykała rycerzy, świętych, królów i heroiny. Natura obdarzyła ją cudowną wyobraźnią, która w zetknięciu ze słowem pisanym stawała się prawdziwym darem, gdyż pozwalała zapomnieć o codziennych troskach i przenieść się w świat fantazji.

Pogrążając się w lekturze, czuła się wolna, wolna jak ptak, gdyż szybując ponad granicami państw mogła dolecieć już to do starożytnej Grecji, już to do Ziemi Świętej.

Bardzo ceniła sobie tę wolność.

Tego popołudnia wybrała się do ogrodu z wybranym manuskrytem i ponurym kilkuletnim chłopcem, który z pewnością wolałby hasać sobie z rówieśnikami, niż przedzierać się przez jakieś krzaki z... kobietą. Przynętą była obietnica wynagrodzenia tego wyrzeczenia wojenną opowieścią, pełną bitewnego zgiełku i świetnych zwycięstw rycerzy. Tylko to mogło

skłonić chłopca do rozstania się z drewnianym mieczem i hełmem zrobionym ze starego cynowego garnka.

- Opowiedz mi o zdobyciu Antiochii i o tym, jak to rycerze ustroili mury miasta głowami niewiernych - zażądał Aric, gdy tylko usiedli na kamiennej ławie pod jabłonią.

- Kto ci o tym powiedział? - spytała Rosamund, uświadamiając sobie z przerażeniem, że nie sprostą wymaganiom małego słuchacza.

- Dervel, jeden z paziów.

- Nic takiego nie miało miejsca. O krzyżowcach opowiem ci kiedy indziej. Dzisiaj usłyszysz inną historię.

- Czy biją się w niej?

- Tak, jest to opowieść o wojnie, w której było wiele bitew, bo trwała bardzo długo.

Aric spojrzał nieufnie. Niewiasta, która wyciągnęła go do ogrodu, raz już go zawiodła, przekładając historię o krzyżowcach na kiedy indziej. Być może więc i w tej chwili go oszukuje.

- A czy wojownicy w tej opowieści noszą zbroje i miecze?

- Na pewno walczyli mieczami, jednak ich zbroje różniły się od używanych dzisiaj. -

Otworzyła książkę, bez trudu odnajdując odpowiedni obrazek. - Polegali bardziej na swoich tarczach. W zbrojach, które my znamy, trudno byłoby się im poruszać. Zresztą przypatrz się temu obrazkowi.

Aric zerknął na wspaniałą miniaturę, malowaną purpurą złotem i błękitem.

- Wyglądają bardzo głupio - zauważył.

- Powiedziałabym, że wyglądają inaczej. To są Grecy, którzy żyli w innej części świata, gdzie jest bardzo ciepło i nigdy nie pada śnieg. Odpowiednio też do panujących tam upałów się ubierali.



- Wyglądają jak dziewczyny. O, ten nosi spódnicę. Rosamund westchnęła.

- Tak, jest to coś w rodzaju sukni. Ubiór ten nazywał się chitonem.

Aric wzruszył ramionami. Wskazał palcem na herosa w samym środku ilustracji.

- Jak on się nazywa?

- To Odyseusz. Widzisz, jaki potężny i silny?

- Podobny do Agravara. Agravar też jest potężny i silny.

- Tak, wszyscy o tym wiemy.

- A gdzie jego miecz? Co to za wojownik, który nie ma miecza?

Uniosła oczy ku niebu. Ogarniała ją rozpacz. Aric przygważdżał ją pytaniami. Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

- Zostawił go na statku.

- To bardzo głupie. Wojownik powinien mieć miecz przy sobie. Tak postępuje

Agravar, tak czyni też mój ojciec. Odyseusz musiał być wielkim głupcem.

- Wprost przeciwnie, Aric. Odyseusz był herosem. Walczył pod Troją i walnie przyczynił się do zwycięstwa Greków. A wiesz, jak to zrobił?

- Ścinając głowy wrogów i nadziewając je na ostrza dzid.

Naprawdę był żądnym krwi malcem!

- Nie! Wpadł na pewien pomysł. Skoro nie można było zdobyć miasta siłą, uznał, że można je zdobyć podstępem. Kazał zbudować wielkiego drewnianego konia, w którego wnętrzu ukryło się kilkudziesięciu greckich wojowników. Reszta wojska odstąpiła od miasta, udając, że się wycofuje. Gdy zobaczyli to Trojanie, w ich sercach zapanowała radość.

Otworzyli bramy i wciągnęli drewnianego konia w obręb murów. Zapadła noc. Mieszkańcy miasta posnęli, ufni, że wojna się skończyła. Grecy czekali na tę chwilę. Wyszli z ukrycia i wpuściwszy swoje wojsko do środka, opanowali miasto. Jak widzisz, zwycięstwo zostało tu

osiągnięte dzięki pewnemu pomysłowi. Siedliskiem pomysłów jest rozum. Trzeba być rozumnym, żeby wygrywać w życiu.

Trudno było zgadnąć, czy chłopiec wziął sobie do serca tę prawdę, w każdym razie z zainteresowaniem słuchał opowieści o dalszych przygodach Odyseusza i jego towarzyszy.

Gdy jednak Rosamund zaproponowała mu, by razem przeczytali fragment opisujący jedną z przygód, nagle zerwał się z ławki i pobiegł w stronę muru otaczającego ogród.

- Aric, wracaj! - wykrzyknęła za nim Rosamund. - Nie dokończyłam jeszcze opowieści!

Malec ani jednym gestem nie zareagował na jej okrzyk. Ze zwinnością wiewiórki wdrapał się na stos kamieni, skąd już mógł swobodnie spojrzeć ponad krawędzią kamiennego opasania.

- Chodź! - przywoływał Rosamund swym piskliwym głosem. - Widać stąd plac ćwiczeń. Możesz przekonać się, że powiedziałem prawdę. Agravar nigdy nie rozstaje się z mieczem!

Cóż miała zrobić? Rozgniewać się na dziecko i nakrzyczeć na nie? Byłaby nieszczerą i sztuczną w takim zachowaniu. Lubiła Arica i gotowa była wiele mu wybaczyć.

Odłożyła książkę i po chwili stała już przy malcu. Pobiegła wzrokiem w kierunku, w którym wskazywał jego palec.

Na placu pomiędzy kuźnią a stajniami roіło się od żołnierzy. Walczyli ze sobą parami, ćwicząc się w fechtunku, sprawdzając też jakość broni, której prędzej czy później mieli użyć w prawdziwej walce o życie. Część odpoczywała lub przemywała wodą niegroźne zadraśnięcia, których nie da się uniknąć nawet w pozorowanych zmaganiach. Z kuźni, gdzie wykuwano miecze i pancerze, dobiegało walenie młota. W pobliżu studni gryzły się dwa konie. Unoszący się kurz nieco zacierał kontury ludzi, zwierząt i przedmiotów.

A jednak nie sposób było nie dostrzec wikinga. Podobnie jak Odys na obrazku w

książce, on również przyciągał wzrok i wszystko inne czynił tłem dla siebie.

Obnażony do pasa, przechodził od jednej pary szermierzy do drugiej, udzielając rad lub samemu stając za przeciwnika. Pot lśnił na jego czole i muskularnym torsie. Ktoś musiał powiedzieć mu coś zabawnego, gdyż nagle roześmiał się serdecznie, ukazując w jednym błysku białe i równe zęby. Dzięki temu śmiechowi stał się na jedną krótką Chwilę bardziej ludzki, a mniej baśniowy i heroiczny.

Jego ciało mogłoby być ciałem gladiatora, gdyby gladiatorzy jeszcze istnieli. Długie nogi o silnych udach, wąska talia, płaski brzuch - wszystko to przypominało po trosze łodygę, na której rozkwitał kwiat klatki piersiowej i niemożliwie szerokich ramion. Pod gładką skórą grały mięśnie przy najmniejszym ruchu, kiedy zaś walczył, wyglądało to, jakby jego ciało żyło własnym życiem.

Właśnie mierzył się z jednym z żołnierzy, a swoim podwładnym. Ciął i już wydawało się, że przetnie tamtego na pół, gdy nagle jakimś cudem ostrze zboczyło i płaską powierzchnią otarło się o pośladek przeciwnika.

Dotknięcie musiało być mimo wszystko bolesne, gdyż żołnierz podskoczył chwytając się za siedzenie. Następnie zaatakował z furją.

Rosamund wydała okrzyk niepokoju.

Aric spojrzał na nią z pełnym niesmaku politowaniem.

- Oni tylko udają. Agravar drażni się z Willem. Agravar jest najlepszy i dlatego mój ojciec uczynił go dowódcą swoich wojsk. Nauczył mnie kilku sztuczek, a także dał się przejechać na swoim koniu. Czy chcesz zobaczyć jego konia?

- Nie, dziękuję - bąknęła Rosamund, śledząc z zapartym tchem dalszy przebieg walki.

Bez trudu dostrzegła, że Will jest zwinny i szybki. Agravar pod tym względem mu ustępował,

mając przy tym przewagę w sile i precyzji uderzenia. O tym, że ciosy zadawane jego ręką były wręcz piorunujące, świadczył chociażby fakt, że przy każdym parowaniu Will aż przysiadł na piętach.

- Agravarowi nikt się nie oprze. Nawet mojemu ojcu zdarza się z nim przegrywać.

Kiedy pojedynkują się i dowiaduje się o tym mama, wtedy klęka i prosi Boga, żeby się nie pozabijali.

Właśnie miecz Willa, wytrącony mu z ręki prawie niezauważalnym ruchem, poszybował w powietrzu, rozniecając słoneczne błyski. Walka była skończona, co Rosamund przyjęła okrzykiem ulgi.

- Widzisz, Agravar nie ma sobie równych. Chodź! - wykrzyknął Aric i zsunąwszy się ze stosu kamieni, pognął w kierunku ogrodowej furty.

Wiedziała już, że nie ma sensu go przywoływać, i tak bowiem jej nie posłucha. To ona musiała być posłuszna.

Przejsie na plac ćwiczeń nie zajęło jej wiele czasu. Aric już tam był i okrzykami zagrzewał żołnierzy do walki.

- Tnij go! Unik! Odrąb mu ramię!

Agravar dostrzegł nadchodzącą Rosamund i zwrócił się ku niej z uśmiechem.

Rosamund też próbowała się uśmiechnąć, lecz nagle ogarnęło ją zakłopotanie.

Will udał, że atakuje Arica.

- Staw mi czoło, ty żądny krwi mały piekielniku! Zaraz się z tobą rozprawię!

- Ale nie pokonasz Agravara! Widziałem, że robił z tobą co chciał!

Kiedy tamci walczyli na słowa, Rosamund nie mogła oderwać wzroku od strużki potu, która spływała po szyi Agravara i torując sobie drogę w brudzie jego mostka, ginęła za paskiem podtrzymującym mu na biodrach spodnie.

Z tego graniczącego z zafascynowaniem zapatrzania wyrwał ją Will, który podszedł do nich, ocierając spocone czoło połą koszuli.

- Miło powitać piękną lady - rzekł grzecznie. Rosamund chciała odpowiedzieć, lecz nie minęło jej jeszcze to dziwne odrętwienie.

- To kuzynka mojej mamy, lady Rosamund - wyjaśnił Aric, choć wyjaśnienia były tu zbędne, jako że wszyscy znali gościa lorda Luciena i lady Alayny. - Ona wszystkich się boi - ciągnął chłopiec. - Tak przynajmniej powiedział ojciec, a na to mama, żeby nie ważył się mówić takich rzeczy o jej kuzynce. Wtedy tata przeklął i poszedł sobie. Wszystko to słyszałem.

Zaległo kłopotliwe milczenie.

- Obawiam się - zauważył Will - że ta rozmowa nigdy nie miała zostać podana do publicznej wiadomości.

Agravar poruszył się. To wystarczyło, by Rosamund oprzytomniała.

- Witam, pani. To miło, że przyszłaś przypatrzeć się naszym ćwiczeniom.

- Dzień dobry - wybąkała, ogarnięta poczuciem winy, że widzi coś, czego w żadnym wypadku nie powinna była, nie miała prawa zobaczyć. Ostatecznie patrzyła na nagiego mężczyznę. No, prawie nagiego.

Szybko zaczęła się tłumaczyć:

- Byłam z chłopcem w ogrodzie, opowiadałam mu o Troi i Odyseuszu, a wtedy on zobaczył, że walczycie, i już nie mógł oderwać od was oczu, wiadomo, jaki z niego zapalony rycerz, zbiegł na dół, a ja nie mogłam zostawić go samego... Czy przeszkadzamy?

Och, jakże gorąco pragnęła utracić wzrok i pogрузić się w ciemności, byleby tylko nie widzieć tego wspaniale rzeźbionego torsu przed sobą. Pierś Agravara unosiła się i opadała przy każdym oddechu. To falowanie mięśni wręcz hipnotyzowało ją, sprawiało, że nogi się

pod nią ugiwały.

- Mieliśmy właśnie zakończyć walkę.

Will spojrzał zdumiony, lecz nie odezwał się ani słowem.

Agravar dał znać gestem, że zaraz wraca, po czym podszedł do beczki i zaczął ochlapywać się wodą. Na koniec przystąpił do wycierania ciała ręcznikiem.

Rosamund poczuła, że zasycha jej w gardle, głowa zaś robi się lekka, jakby wypełniało ją samo powietrze. Straciła świadomość tego, że może być obserwowana i że jej twarz może wyrażać coś, czego później mogłaby się wstydzić do końca życia. Wbijając wzrok w mężczyznę, który czarował ją i niewolił każdym swoim ruchem.

Jakby przez grubą opończę dotarł do niej głos Willa:

- Czy chwalisz sobie, pani, pobyt u nas?

- O, tak. Wszyscy tutaj są tacy mili dla mnie.

- Ale nie byli mili tamci bandyci, którzy ją napadli! - zawołał Aric, robiąc srogą minę.

- Agravar przybył w samą porę i wyrwał ją z ich rąk.

- Aric! - upomniał chłopca wiking, który zdążył już oblec koszulę i do nich dołączyć.

Chłopiec był zaskoczony.

- Ależ tak właśnie było. To ty ją uratowałeś. I teraz będzie mogła poślubić lorda Roberta.

Z miny Willa wynikało, że nieco pogubił się w tym wszystkim.

Dostrzegł to Agravar i poklepał go po plecach.

- Później opowiem ci wszystko ze szczegółami. Przeniósł wzrok na Rosamund. - A teraz powiedzmy „dowidzenia” tym tępym pałom...

- Hej! - zaprotestował Aric, spoglądając z żalem w miejsce, gdzie powinien był wisieć jego drewniany miecz.

- ... i wracajmy na zamek, pani.

- Chętnie - odparła Rosamund, wdzięczna Bogu, że jej głos brzmi prawie normalnie. -

Miło było cię poznać, Will.

Zmieszał się, lecz tylko na chwilę.

- Mam nadzieję, że zobaczymy się na wieczery. Kiedy odchodzili, długo odprowadzał ich wzrokiem.

Potem trzepnął chłopca dłonią po plecach, zapraszając go do wspólnej zabawy.

Agravar nie mógł opanować podniecenia. Dręczyło go jedno pytanie. Czy ona przyszła spotkać się z nim, czy też jej pojawienie się na placu było zwykłym przypadkiem?

- Arica roznosi energia - rzucił, próbując rozpocząć rozmowę.

Idąca obok Rosamund sztywno kiwnęła głową. Z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Już sam nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Bywa, że kiedy rycerz zaleca się do damy, ona zaś jest mu przychylna, często odwiedza plac ćwiczeń, by śledzić zwycięstwa swego ukochanego. Agravar zawsze uważał, że te wizyty dam to prawdziwa plaga. Wtedy obowiązki żołnierskie idą w kąt, a triumfuje rozprężenie. Rycerz zmienia się w koguta, zaczyna pysznić się i popisywać swoimi umiejętnościami, równocześnie udając obojętność, jak gdyby fakt, że wzbudza w niewieścim sercu podziw i uwielbienie, nie miał dla niego żadnego znaczenia.

Do tej pory on, Agravar, krzywił się i sierdził na tych żołnierzy, którzy idiocieli w obecności obserwujących ich dam. Teraz zaś sam doświadczał czegoś podobnego na myśl, że Rosamund pojawiła się na placu, przedtem zaś obserwowała jego walkę z Willem. Uczucie to sprowadzało się do jednej wielkiej przyjemności. Po raz pierwszy bowiem to ona poszukała jego towarzystwa i to mu zupełnie zamąciło w głowie.

Pierwsze, co przyszło mu do głowy, kiedy ją zobaczył, to że musi nałożyć koszulę. Jej obecność bowiem sprawiła, że jego do tej pory neutralna nagość zmieniła się w nagość cielesną a więc w coś wstydlwego, jeśli nie grzesznego.

Potem pomyślał, że musi natychmiast ją stamtąd zabrać. Nie życzył sobie, by wpatrywali się w nią rozgrzani walką mężczyźni. Chciał mieć ją wyłącznie dla siebie.

To radosne podniecenie szybko wszak się ulotniło. Postawa i mina Rosamund nie dawały tu żadnych złudzeń. Agravar miał u swego boku osobę chłodną i obojętną. Szła, skoncentrowana na samym ruchu, nie zaś na mężczyźnie, który kroczył obok.

- Dokąd chciałabyś pójść? - zapytał, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Nie zastanawiałam się. Właściwie jest mi to obojętne.

- A może byśmy pospacerowali trochę?

- Chętnie.

Oniemiał, niczym rażony piorunem. Ton jej głosu, mina, słowa, nic z tego nie dawało się wytłumaczyć i usprawiedliwić. Najpierw szukała go, a teraz odtrąca go z pogardą. Odgrodził się od niej gniewnym milczeniem.

Wybuchnęła:

- Wcale nie przyszłam tam dla ciebie. Po prostu pobiegłam za Arikiem. Nie chcę, żebyś wyobrażał sobie jakieś niestworzone rzeczy.

- Mocno stąpam po ziemi. - Już sam nie wiedział, czy kłamie, czy też mówi prawdę.

Ścieżka doprowadziła ich na most nad strumieniem. Rozległo się w dole echo ich kroków. Rosamund wciąż szła, jakby na drugim brzegu miała stoczyć bitwę. To nie był spacer. Raczej szarża na wroga, wroga, którego nie było widać, który jednak mógł znajdować się wszędzie.

Agravar uświadomił sobie nagle swoją bezmierną głupotę. Spojrzał na siebie niejako z



boku i zobaczył mężczyznę, bądź co bądź trzydziestokilkuletniego, zabiegającego o względy niewiasty wykazującej daleko posuniętą obojętność. Nadto niewiasty, która nawet gdyby odwzajemniała jego uczucia, nigdy nie mogłaby zostać jego żoną.

Jego uczucia? Naprawdę tak pomyślał? Czyżby darzył ją jakimś szczególnym uczuciem? Aż stanął, nie mogąc sobie poradzić z tymi wszystkimi pytaniami.

Rosamund przeszła kilka kroków, zanim zorientowała się, że idzie sama.

Odwróciła się i zapytała:

- Czy coś się stało? Czujesz się zmęczony? Nie mógł się nie roześmiać.

- Zmęczony? Nie chciałbym wyjść na samochwałę, lecz zdarzało mi się jechać konno trzy dni, a potem przez następne cztery walczyć. To nie na skutek zmęczenia stanąłem.

Zresztą mniejsza o powód. Chodźmy. Zawahała się.

- Wiesz, jest takie miejsce, dokąd chciałabym pójść. Od dawna interesuję się sztuką medyczną, a szczególnie ziołami, z których można robić lecznicze wywary. Gdybyś więc chciał pójść ze mną na błonia i do lasu, poszukałabym takich ziół i może coś z nich przyrządziła.

- Oczywiście, chodźmy.

Nie miało znaczenia, że Eurice, stara niania Alayny, znała się na leczeniu lepiej od medyków i dałaby Rosamund cały wór suszonych ziół i korzeni. Liczyło się to, że marsz mógł przemienić się w spacer.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

Poprzez leśną polanę przetoczyło się echo donośnego śmiechu Agravara. Wiking leżał na dywanie z mchów i bawił się kołysanymi lekkim wiatrem źdźbłami trawy.

Rosamund również się roześmiała, choć ciszej i jakby w sekrecie, całkiem też niezależnie od żartu, który tak rozbawił jej towarzysza.

Siedziała z podkulonymi nogami, sortując rośliny leżące na jej rozpostartej spódnicy.

Suknię miała poplamioną sokiem ziół i wiedziała, że ten dzień nie zakończy się bez sarkań

Hilde. Nie przejmowała się jednak tym ani trochę.

Wypełniało ją radosne poczucie swobody. Strach, ów nieodstępny towarzysz kilku ostatnich lat, gdzieś przepadł. Zamiast niego pojawiła się nadzieja. A wszystko to za sprawą mężczyzny, którego nie podejrzewała o to, że może się przyczynić do takiej przemiany.

Mimo swego wyglądu Agravar wcale nie był straszny.

- Tak więc został zdemaskowany - rzekł, kończąc swoją wesołą historię.

- A co zrobiła lady? - spytała i zachichotała.

- Zrzuciła łobuza do fosy i zatrzasnęła wrota!

- Wspaniale. Ja zrobiłabym to samo.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości - powiedział z uśmiechem. -

Rosamund, czasami potrafisz być okrutna.

- Ja? I kto to mówi? Twoi zmarli przodkowie załamują w tej chwili ręce, słysząc, że groźny wiking nazywa okrutną słabą dziewczynę.

- Jestem tylko w połowie wikingiem - sprecyzował. - Dlatego moja waleczność idzie w parze z mądrością. Zdaje się, że już wspomniałem o tym, wymieniając moje cnoty.

- Faktycznie, teraz sobie przypominam.

- Moja angielska połowa jest równie ważna jak skandynawska.

- Czy to twoja matka była Angielką? - spytała, zapominając na moment, że kiedyś zadała mu podobne pytanie. Było już jednak za późno, żeby je wycofać.

Odparł po chwili wahania:

- Tak, była Angielką. Natomiast mój ojciec był skandynawskim łupieżcą. Wylądował na tej ziemi i nawiedził ogniem i mieczem posiadłość mojego dziadka. Była noc i wszyscy

spali. Atak zakończył się, zanim się rozpoczął, tak przynajmniej mówiono. Ci, którzy stawiali opór, zginęli. Reszta została spędzona i powiązana niczym bydło.

Spuścił wzrok i spojrzał na swoje dłonie, zajęte zawiązywaniem i rozwiązywaniem źdźbeł trawy. Wydały mu się dłońmi innego człowieka.

Nabrał w płuca powietrza.

- Matkę pojmano i przydzielono ojcu. Nie miał dla niej żadnych względów i traktował jak brankę. Nienawidziła go. Służyła mu tylko za rozrywkę w łóżku. Podobny los spotkał inne kobiety.

Czy powinna coś powiedzieć? Tak bardzo chciała wygładzić zmarszczki na jego czole, lecz nie mogła znaleźć właściwych słów.

- Nie była ani pierwszą, ani też ostatnią jego nałożnicą Bóg jedyny wie, ilu mam braci i sióstr rozproszonych po świecie. Jestem bękartem. Pół Anglikiem, pół Duńczykiem.

Bezspornym dowodem hańby mojej matki. Pewnego dnia zwołał swoich wojów i odpłynął do Danii. Matka została, lecz nigdy już nie doszła do siebie po tych strasznych przeżyciach.

Wikingowie znani są z okrucieństwa i bezwzględności. Lepsze piekło niż niewola u nich.

Kiedy więc odpłynęli na swych obładowanych łupami okrętach, zabierając najzdrowszych i najsilniejszych, by służyli w ich kraju za zwierzęta pociągowe, matka pozostała wśród ruin, zgliszczy i grobów, a pamięć ludzka przechowała ją w swoim skarbcu jako nałożnicę Hendrona.

- Agravar... tak mi przykro.

- Rozumiem, dlaczego te właśnie słowa wypłynęły na twoje wargi. Wymawiamy je, gdy czujemy się bezsilni i nie mamy nic do zaoferowania oprócz współczucia. Ileż razy sam je wypowiadałem, w duszy lub na głos, gdy patrzyłem na moją matkę, wiedząc, kim tak naprawdę dla niej jestem. Wiedziałem, że trudno obciążać mnie winą za cokolwiek, że

przecież w niczym nie zawiniłem, a jednak przykro mi było, że istnieję i tym samym nie daję jej zapomnieć o tamtych strasznych dniach i nocach. Rozpaczliwie pragnąłem, żeby wszystko było inaczej.

Wyrwał garść trawy, chwilę potrzymał ją w zaciśniętej dłoni, a potem odrzucił.

- Wiesz, ktoś w tej chwili może cię szukać. Nikogo nie uprzedziliśmy, że wybieramy się na przechadzkę po lesie. Chyba powinniśmy wracać. Zresztą zbliża się czas wieczery.

Była mu wdzięczna, że zmienił temat. Ponura historia, którą jej opowiedział, legła na sercu ciężarem. Trudno jej było wyrazić to, co czuła, albo może bała się wyrażać cokolwiek.

Była podszyta tchórzem, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

- Jesteś głodny? - spytała, siląc się na bez troskę. Wstał i otrzepał spodnie.

- Trudno najeść się garstką jagód, które dla mnie zerwałaś. Podaj rękę, pomogę ci wstać.

Jego dłoń była szeroka, mocna, twarda i ciepła. A jednak ona, Rosamund, miała wrażenie, że dotknęła rozżarzonego węgla.

Miała nadzieję, że nie zdradziła się niczym.

- Nie należy do moich obowiązków karmienie cię, Agravarze. Dlaczego nie schwytałeś królika lub wiewiórki?

Nie spieszył się z puszczeniem jej dłoni. Przyciągnął ją bliżej do siebie. Otarła się biodrem o jego udo.

- Ponieważ chciałem pozostać z tobą - rzekł ściszym głosem.

Te proste słowa wprawiły ją w stan rozkosznego drżenia. Zdumiała się samą sobą. Nie rozumiała swoich reakcji. Wyczuwała tylko ich prawdziwe znaczenie. Ojcu Leonowi i Cyrusowi nie udało się zniszczyć jej kobiecości. Miała ciało tak skonstruowane, że lgnęło ono do ciała mężczyzny. Podlegała sile równie niezmiennej i wiecznej jak ta, która sprawiała, że

rzeczy trzymały się ziemi, jakby zakotwiczone.

Agravar zaś pomyśli, że musi czym prędzej puścić jej dłoń, i dorzucił:

- Jako że zdania, ci się w lesie różne dziwne przygody.

Pomimo tych słów, którymi po raz kolejny dał dowód swej podejrzliwości, zobaczyła w jego oczach coś, co dotyczyło tylko jej. Zarumieniła się i odwróciła głowę.

I wtedy dostrzegła coś między drzewami. Jakby ruch. Spojrzała uważniej. Tam skradał się drwal. Ten człowiek wyglądał na drwala, bo trzymał w prawym ręku siekiere, ale nie był drwalem, bo miał twarz Daveya. Jego zamiarów nie trzeba było zgadywać.

- Nie! - wykrzyknęła, zanim zdążyła cokolwiek pomyśleć.

- O co chodzi? - spytał Agravar, instynktownie napinając mięśnie. - Rosamund, co oznaczał ten krzyk?

Nie mogła pozwolić, by Davey zamordował Agravara, ale nie mogła też zdradzić swego wiernego przyjaciela i sługi.

- Uciekaj! - jęknęła, chwytając go za rękę i ciągnąc w przeciwną stronę.

Ponieważ jednak się opierał, wciąż niczego nie rozumiejąc, puściła go i uniósłszy spódnicę puściła się biegiem w kierunku kępy olszyn. Po chwili spojrzała do tyłu. Podążał za nią, niczym tur za łanią. Odetchnęła, lecz nie zwolniła biegu.

Dała nura w gęstwinię. Jej spódnica zaplątała się w paprocie. Musiała zwolnić. W końcu stanęła, gdyż zmusił ją do tego, chwytając za ramię.

- Co to za szaleństwo, Rosamund?

Przeczesła spojrzeniem las. Davey zniknął. Miała już gotową odpowiedź:

- Niedźwiedź! Wydało mi się, że widzę niedźwiedzia. Rozejrzał się wokół.

Oczywiście, zobaczył tylko drzewa i krzaki.

- Zabawne. Jesteś tego pewna?

- Byłam tego pewna, ale teraz już sama nie wiem. To mógł być cień, tak, najpewniej był to tylko cień.

Przyglądał się jej bacznie i długo, jakby chciał dotrzeć spojrzeniem do jej duszy.

Widocznie nie udało mu się to, gdyż wyjął zza cholewy długi sztylet i rzekł:

- Jestem pewien, że miałaś przywidzenie, lecz strzeżonego Pan Bóg strzeże. Chodźmy.

Gdy dochodzili do zamkowych murów, słońce już zachodziło, barwiąc na różowo bloki piaskowca. Tuż przed bramą Rosamund stanęła i spojrzawszy na Agravara, podziękowała mu ciepłym głosem.

- Za co mi dziękujesz? - spytał, nie kryjąc zaskoczenia.

- Uczyniłeś piękny gest, zabierając mnie do lasu. Wzruszył ramionami. Wydawał się rozdrażniony. Tego dnia nie zamienili już ze sobą ani słowa.

Nazajutrz Rosamund wpadła na korytarzu na ojca Leona. W jednej chwili ulotniło się radosne ożywienie, w jakim żyła od wczoraj. Stała, nie mogąc ruszyć ani ręką, ani nogą.

Jakby na przegubach i kostkach miała kajdany. Czekwała na nieuchronne.

Leon miał wypisaną stanowczość na swej pociągłej twarzy. Jego okrągłe oczka, zbyt blisko siebie osadzone, rozświetlał płomień fanatyzmu.

- Masz czelność unikać mnie. Spójrz na siebie. Cóż zrobiło się z dawnej Rosamund.

Czyż nie uczyłem cię kierować spojrzenie na czubki butów, a nie patrzeć bezwstydnie w twarz mężczyzny? Widzę, że zwyciężyła w tobie próżność. Lord Cyrus miał rację, przysyłając mnie tutaj. Mądry człowiek zawsze ma rację. Obaj znamy twoją podatną na grzech naturę. Potwierdzają się słowa lorda Cyrusa, że podobna jesteś do swojej matki, a ja dodam, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Pewnie szatan już w tobie zaszczepił myśl, by przeciwstawić się planom ojczyzna, i w ten sposób przysporzyć zmartwień najlepszemu z opiekunów.

Resztki śmiałości, jakie w niej pozostały, pozwoliły jej wykrztusić:

- To nie ja go dręcę, tylko jego własne sumienie.

- Śmiesz go oczerniać!

- Jest mordercą, a ty... ty wcale nie jesteś lepszy. Zabił moją matkę i dobrze o tym wiesz.

Uśmiech przemienił jego twarz w karnawałową maskę potwora.

- Poczynasz sobie śmiało, dziewczyno, a jest tak, bo wąż, ten piekielnik, szepcze ci do ucha. To nie lord Cyrus wysłał ją na tamten świat, tylko...

I wtedy wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Rosamund myślała nawet przez chwilę, że to przywidzenie albo rezultat pomieszania zmysłów. Ojciec Leon uniósł się w powietrze, jakby jego ciało przestało ważyć. Że jednak z jej umysłem było wszystko w porządku, świadczyły dwa fakty - zabawnie wykrzywiona twarz duchownego, która upodobniła się do szczurzego pyszczka, oraz zarys olbrzymiej sylwetki wikinga w tle.

Wciąż zawieszony co najmniej pół metra nad posadzką, ojciec Leon zaczął oddalać się i maleć. Teraz już domyślała się, a nawet była tego pewna, że to Agravar jest owym wielkim ptakiem, w którego szponach znalazł się ten sznur. A jednak rzecz nie traciła na niezwykłości. Łatwość, z jaką wiking niósł w jednym ręku dorosłego mężczyznę, nie mieściła się w zwykłym pojęciu o ludzkiej sile i ludzkich możliwościach. Fakt był wszakże faktem i Rosamund wreszcie udało się przyjść do siebie. Pobiegła za Agravarem i jego ofiarą, która, oniemiała z przerażenia, jak również przyduszona nieco zaciśniętym wokół szyi kołnierzem sutanny, nie wydała dotąd ani jednego dźwięku. Za to zaryczał osioł ojca Leona, niezadowolony, że odciąga się go od żłoba pełnego świeżego siana I tak ojciec Leon, który zapewne inaczej zaplanował sobie dzisiejszy dzień, znalazł się na oślim grzbiecie.

Oszołomiony i oburzony, chciał coś powiedzieć, zaprotestować lub przekląć sprawcę

swego pohańbienia, ten jednak przyciągnął go ku sobie i coś mu szepnął do ucha Jakże słowa padły, tego Rosamund mogła się tylko domyślać z poszarzałej twarzy ojca Leona i jego przerażonych oczu. Na pewno nie było to wyznanie miłosne.

Agravar klepnął po zadzie pocziwe zwierzę i był to początek drogi powrotnej ojca Leona do domu. Pragnął przebyć ją możliwie najszybciej, o czym świadczyło to, iż natychmiast zaczął piętami popędzać swojego wierzchowca.

Zebrało się trochę widzów, którzy pokładali się ze śmiechu. Ojciec Leon nie miał przyjaciół. Był to człowiek niezdolny do nawiązania stosunku opartego na wzajemnej sympatii i szacunku. Dlatego żegnali go sami prześmiewcy.

Rosamund cofnęła się o krok, gdy zobaczyła oblicze Agravara, który właśnie się ku niej odwrócił. Zdarzyło mu się już w kontaktach z nią być delikatnym, roześmianym, sarkastycznym, niezgrabnym, zakłopotanym, opiekuńczym, ale nigdy jeszcze nie był taki jak w tej chwili. Teraz budził w niej coś w rodzaju nabożnego lęku. W końcu też uświadomiła sobie, że to, co się stało, uczynione zostało w trosce o nią.

To bodaj jeszcze bardziej ją przeraziło. Odwróciła się i zaczęła biec. Wpadła na kogoś, przeprosiła i już gotowa była podjąć swój bieg, gdy ktoś chwycił ją za nadgarstek.

- Zaczekaj, pani! - usłyszała męski stłumiony głos.

- Davey!

- Co dzieje się z tym wikingiem? Co on właściwie zrobił? Co to wszystko oznacza? - zarzucił ją pytaniami.

Rosamund obejrzała się za siebie, lecz nie dostrzegła Agravara.

- Przyjdź do mnie w nocy przez ogrodową furtkę. Omówimy nasz plan. Miałaś rację, muszę uciekać stąd jak najszybciej. Cyrus przysłał ojca Leona... Popełniłam błąd, lekceważąc go. Cyrus nie zmieni raz podjętej decyzji. Poza tym lord Robert przybędzie tu lada dzień i



wtedy stanie się za późno na ucieczkę.

Davey zwilżył językiem wargi.

- Nareszcie. Ja już od dawna jestem gotowy. Spotkamy się tuż po zachodzie słońca.

Gdyby Agravar miał zwyczaj robienia zakładów, postawiłby wszystko, co miał, na to, że sytuacja lady Rosamund nie może się już pogorszyć.

I zakład zostałby przez niego przegrany.

Przemierzał właśnie dziedziniec, gdy dobiegł do niego jeden z jego ludzi.

- Panie - rzekł żołnierz z szacunkiem należnym dowódcy - na drodze do zamku

zauważono grupę jeźdźców i wozy. Barwy wskazują, że przybywają z Berendsfore. To zapewne lord Robert zjawia się wreszcie po swoją narzeczoną.

Agravar oderwał wzrok od podkomendnego i spojrzął gdzieś w przestrzeń z takim napięciem, jakby coś widział. Ale gdy żołnierz poszedł za jego wzrokiem, zobaczył tylko bezchmurne niebo.

- Panie? Kapitan zamrugał.

- Za chwilę będę przy bramie.

Minął kwadrans i kawalkada była już na zwodzonym moście nad fosą. Orszak znalazł się na dziedzińcu, przejechawszy przez sklepioną bramę.

Agravar skupił całą uwagę na jeźdźcu dosiadającym rumaka wielkiej wartości i odzianym w kosztowne szaty.

Nie był młody. Mógł mieć około czterdziestu pięciu lat. Nosił się godnie i mimo wieku siedział w siodle wyprężony niczym struna.

Agravar znał tego człowieka z ustnych przekazów. Mówiono o nim tylko dobrze. W swoim czasie był rycerzem, który nie miał sobie równych. Gdy osiadł na swojej ziemi, natychmiast skończyły się tam waśnie i zatargi. Inni baronowie szanowali go i cenili jego

dypłomatyczne zdolności. Dlatego często występował w ich imieniu przed zgryźliwym księciem Janem.

Żadnej pannie nie trzeba lepszego męża, pomyślał z goryczą Agravar, po czym przywoławszy jednego z żołnierzy, rzekł:

- Biegnij do lady Rosamund i przekaz, że przybył jej narzeczony.

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

Lucien powitał czcigodnego gościa i powiódł go do holu. Tam przedstawił mu dowódcę swego wojska Agravara Hendronsona.

Agravar nie lubił swojego nazwiska. Zgodnie bowiem z duńskim zwyczajem, w nazwisku zawarta była informacja, czym jest się synem. Agravar nie czuł się synem Hendrona, tylko jego bękartem. Dlatego zwykł zadowalać się samym tylko imieniem. Ostatecznie niewielu żyło Agrawarów z domieszką krwi duńskiej na angielskiej ziemi. Poza tym znany był jako Agravar Wiking lub Agravar z Gastonbury.

Robert powitał go niskim pochyleniem głowy, Ta oznaka głębokiego szacunku zaskoczyła Agravara. Stał naprzeciwko niego potężny baron, a nie zdarzało się, by wszechwładni baronowie traktowali zwykłych żołnierzy jak równych sobie.

- Twoja sława, panie, dotarta już do najdalszych zakątków Anglii - rzekł Robert, po czym przeniósłszy wzrok na Luciena, dodał: - Podobnie jak twoja, szlachetny lordzie. Czuję się zaszczycony, że mogłem przekroczyć próg twego domu. A że jest to dom gościnny, świadczy to, że od wielu tygodni przebywa w nim moja narzeczona. Trudno mi wyrazić wdzięczność za to wszystko, co ty, panie, i twoi najbliżsi dla niej uczyniliście. Nie kryję też, że spieszno mi ją zobaczyć, jako że wielki był mój niepokój po otrzymaniu wieści, że została uprowadzona, później zaś cudem wyrwana z rąk złoczyńców.

Lucien zapewnił barona, że jego narzeczona czuje się dobrze i że niebawem się zjawi

w towarzystwie jego żony oraz świekry.

Robert kiwnął głową, po czym przeszedł na inny temat. Przyznał, że bardzo podoba mu się Gastonbury, o którym wiele słyszał. Między innymi krążą wieści, iż zamek ten Lucien odebrał siłą poprzedniemu właścicielowi. Wdzięczny byłby za potwierdzenie bądź zaprzeczenie prawdziwości tej historii.

Agravar zdumiał się, kiedy Lucien, zazwyczaj tak powściągliwy w zaspokajaniu czyjejs ciekawości, rozgadał się.

- Byłem jeszcze młokosem, kiedy mój ojciec zamordowany został przez Edgara du Berg, lorda Gastonbury. Mnie spotkałby identyczny los, gdyby nie chciwość złoczyńców, których na mnie nasłał. Zamiast pozbawić mnie życia, co mieli nakazane, sprzedali mnie w niewolę, Edgarowi zaś powiedzieli, że nie żyję. Ja tymczasem jęczałem w niewoli u ojca Agravara w Danii. Z pewnością krótki i żaloszny byłby mój żywot, gdyby nie Agravar, który przybył tam w związku z pewną sprawą. Prędko zaprzyjaźniliśmy się i niebawem Agravar pomógł mi w ucieczce. Dodam, że udało się nam zagarnąć i wywieźć cały skarb bezlitosnego wikinga.

Agravar pomyślał, że właściwie nie można było piękniej opowiedzieć bardzo brzydkiej historii. Brzydką bowiem jest historia, w której zdarza się ojcobójstwo.

- Przysięgłem na miecz i święty obrazek, że Edgar zapłaci za swoje winy - ciągnął Lucien. - Wróciwszy do Anglii, zebrałem wojsko i ruszyłem na niego. Zwyciężyć go nie było trudno. Wprędce stałem się panem jego posiadłości.

- Dotarło do mych uszu, że także mężem jego narzeczonej.

Lucien wydał się nieco zakłopotany.

- Było to korzystne dla mnie z politycznych względów.

Robert uśmiechnął się. Uśmiech uczynił go mniej dostojnym, a tym samym

młodszy.

- Ośmielę się przypuścić, że zadziały tu nie same tylko polityczne względy. Dobra żona jest darem niebios i mniej ważne są powody, dla których stajemy na ślubnym kobiercu.

- Zgoda, mój panie.

- To nas doprowadziło do punktu wyjścia naszej rozmowy. Nie miałem jeszcze przyjemności poznać mojej narzeczonej. Niecierpliwie więc czekam tej chwili.

- Więc jeszcze nie widziałeś, panie, lady Rosamund? - spytał Agravar, zaintrygowany.

Rzecz nie była rzadka ani osobliwa, mimo wszystko mogła stanowić powód zachowania Rosamund.

- Ustalenia zapadły wyłącznie między mną a lordem Cyrusem z Hallscroft.

To mogło tłumaczyć, dlaczego Rosamund była kłębkim nerwów. Niewykluczone, że bała się lorda Roberta, uważając go za przyjaciela ojczyma. Agravar wiedział, że Rosamund gardzi Cyrusem.

- Czy dobrze znasz, panie, ojczyma swojej narzeczonej?

Widać było, że Robert zaskoczony jest tym pytaniem. Zabrzmiało bowiem niczym oskarżenie.

- Przelotna znajomość - odparł ciągle tym samym uprzejmym tonem. - Spotkałem go na dworze. Rozglądał się za jakąś dobrą partią dla swojej pasierbicy, ja zaś szukałem kandydatki na żonę. W rezultacie doszło do zawarcia umowy korzystnej dla obu stron.

Agravar zauważył, że Lucien jakoś dziwnie mu się przygląda. W pierwszej chwili zląkł się, że może zdradził się swoimi pytaniami, w końcu jednak doszedł do wniosku, że przyjaciel i tak go zna jak nikt inny. Oczywiście, małżeństwa zawierano dla obopólnej korzyści. To był interes i rzadko coś ponadto.

Lucien uznał, że pora zabrać głos. Uczynił to, przy okazji zdradzając, że jest baczny

obserwatorem.

- Moja żona i świekra bardzo polubiły lady Rosamund. Agravar wie, że niełatwo będzie się im rozstać z osobą tak ujmującą i ze wszech miar godną przyjaźni. Stąd niejako podwójnie czuje się odpowiedzialny za naszego gościa.

Weszły niewiasty. Alayną, mimo swej zaawansowanej ciąży, miło zaskoczyła wszystkich wdzięcznym i zgrabnym ukłonem. Lucien podszedł do niej i objął ją ramieniem. Spojrzała na niego ciepło i życzliwie. Dziś była dawną Alayną, uwielbiającą swojego męża i garnącą się do niego. Agravar odwrócił wzrok. Czasami czuł ból, patrząc na ich miłość.

Z kolei lord Robert przywitał się z lady Veronicą. Starsza pani zdążyła już zlustrować spojrzeniem gościa, nawet się z tym nie kryjąc. W przeszłości zdarzało się jej być lwicą, gdy szło o dobro jej córki, teraz zaś miała przybraną córkę i zamierzała bronić jej z takim samym zapałem i determinacją.

Wszystko wskazywało na to, że wysoko oceniła narzeczonego Rosamund.

- Pozwól, szlachetny panie, że przedstawię ci moją kuzynkę, Rosamund Clavier.

Rosamund pobladła niczym chusta, a jej miodowobrazowe oczy były nieruchome i pozbawione wyrazu. Zbliżyła się sztywnym krokiem i wykonała przepisowy ukłon. Nagle zachwiała się, jakby zrobiło się jej słabo.

Agravar uczynił ruch w jej stronę, lecz zaraz się zreflektował.

On tutaj nie miał żadnej roli do odegrania.

Robert wyciągnął ręce. Spojrzała na nie, nie wiedząc, jak się ma zachować. Dopiero po chwili zrozumiała, że dotknięcie dłoni narzeczonego należy do form grzeczności. Postąpiła zgodnie z obyczajem.

- Jak to dobrze, że wreszcie się spotykamy, droga lady Rosamund - rzekł Robert niemal aksamitnym głosem. - Widzę, że ci, którzy chwalili twą urodę, nie mijali się z prawdą.

Agrawar zacisnął zęby. Czuł, jakby coś upragnionego wymykało mu się z rąk.

Alayna zaprosiła wszystkich do stołu.

- Ufam, że mamy wspólnych znajomych - rzekła Veronica, gdy zajęli miejsca. -

Niegdyś wraz z mężem przyjaźniliśmy się z lordem Garonem i jego małżonką.

Robert wydawał się zachwycony.

- Garonem z Lockenland? Skąd znasz, pani, tego starego kutwę?

- On i mój mąż służyli temu samemu suzerenowi. W rozmowach z nami lord Garon wspominał czasem o tobie, panie.

- Tylko błagam, pani, nie wyrabiaj sobie sądu o mnie na podstawie jego słów. -

Śmiech lorda Roberta miał miłe brzmienie.

W oczach starej damy pojawiły się iskierki wesołości.

- Ależ byłby to sąd bardzo pochlebny. Mówił o tobie, panie, z niezmienną życzliwością. O ile pamiętam, wspomniał też coś o waszych przygodach podczas jednej z wypraw krzyżowych.

- Raczej o naszych niepowodzeniach i klęskach. Co z Garonem? Widziałaś go, pani, ostatnio?

- Od czasu do czasu bywam w Londynie. Przypadek zdarzył, że ostatnio spotkałam go na dworze.

- Chwileczkę! - wykrzyknął Robert z wyrazem oszołomienia na twarzy. - Czy dobrze zapamiętałem? Jesteś, pani, Veronicą z Avenford?

- To właśnie ja - odparta, nie kryjąc rozbawienia.

- Garon podczas jednego z naszych spotkań wspomniał mi o tobie. Nazwał cię...

- Małym szeryfem - dokończyła Veronica z lekkim przekąsem.

Robert plasnął dłonią o blat stołu.

- Dokładnie tak!

Veronica opadła na oparcie krzesła.

- Garon był zawsze niepoprawny. - Przeniosła wzrok na córkę. - Twój ojciec lubił go i zawsze wyrażał się o nim jak najlepiej, lecz w moich oczach pozostał człowiekiem wątpliwym pod względem moralnym.

- Czy to dlatego, mamo, zawsze mówisz o nim z tak żywym uczuciem i nigdy nie zapominasz spotkać się z nim w Londynie, gdy przypadkiem tam jesteś? - spytała Alayna z nie skrywaną ironią.

Veronica puściła słowa córki mimo uszu. W rozmowie z Robertem jakby ubywało jej lat. Młodniała z każdą chwilą. Prędko dogadali się, że mają wielu innych wspólnych przyjaciół i znajomych.

Rosamund milczała. Wyglądała na zagubioną. Była wdzięczna losowi, że nikt się nią nie zajmuje.

Myliła się. Agravar o niej nie zapomniał. Było mu jej żal. Równocześnie czuł własną bezsilność. Nic dla niej nie mógł uczynić. Właściwie był tu zbędny. To była rodzina, on zaś nie należał do jej kręgu.

Wstał, skłonił się i wymruczał jakieś usprawiedliwienie. Nikt nie zauważył jego odejścia. Nikt, z wyjątkiem Rosamund. Na moment ich spojrzenia się skrzyżowały.

Powrócił do wartowni.

- Rosamund, dziecko, dlaczego dzisiaj byłaś taka milcząca? - spytała Veronica, wchodząc do komnaty młodej przyjaciółki.

Hilde układała właśnie włosy swej pani. Dzieło jej pulchnych rąk mogło się podobać.

Włosy tworzyły nad czołem Rosamund coś w rodzaju mitry, której nie pozwalał się rozsypać oplątujący ją niczym powój sznur drobnych pereł.

Zawsze skora do udzielania rad, Hilde i tym razem nie zwlekała z zabranieniem głosu:

- Powinnaś, moja piękna, zawsze pokazywać się od jak najlepszej strony. Lord Robert

to przystojny mężczyzna i wielki pan. Przebył taki kawał drogi, by zabrać cię do twego

nowego domu. Znaczy się, że ma dobre serce. Będzie dbał o ciebie, ptaszyno, skoro już to

robi. Jesteś już jego i inni mogą ci tego tylko pozazdrościć. Och, gdybym to ja miała takiego

chłopa! - Spojrzała na Veronicę i uśmiechem wyraziła swój zachwyt.

- Lady Rosamund bardzo dobrze to rozumie - powiedziała stara dama.

Hilde zamachała trzymaną w dłoni szczotką.

- Może i rozumie, tyle że przypomina przestraszoną ptaszynę. Skromność i

wstydlivość to dobre cechy charakteru, mężczyźni cenią je sobie. W niczym jednak nie na-

leży przesadzać. Zbyt dużą wstydlivość łatwo pomylić z brakiem ogłady. Szczerze! Siedziała

tam jak ten kołek, i nawet nie kiwnęła palcem, by wydać się pociągającą swemu przyszłemu

mężowi.

Odsunawszy na bok gadatliwą służącą, Veronica zbliżyła się do Rosamund. Ujęła jej

dłoń.

- Czy to prawda, moje dziecko? Twoje postępowanie wynika z nieśmiałości?

- Myślę, że tak. - Zarumieniła się. - Wydał mi się tak... imponujący.

Hilde aż klasnęła w dłonie.

- Ależ oczywiście! Chłop jak marzenie! I jak bogato odziany! I te jego włosy z

odrobiną siwizny, która tylko dodaje mu wytworności. Ach!

- Hilde, może już dość tych zachwytów - upomniała ją Veronica. - Idź teraz do kuchni

i przynieś swej pani coś do zjedzenia. Nie zapomnij też o słodkim winie, najlepszym środku

na wzmocnienie sił.

Ten drobny podstęp nie zwiódł Hilde, nie mogła wszakże wykazać nieposłuszeństwa.



Nawet by nie śmiała. Odważywszy się więc tylko sapać na znak, że do naiwnych nie należy, ruszyła do kuchni.

- Teraz możemy porozmawiać bez świadków - rzekła Veronica, gdy zostały same.

Rosamund blado się uśmiechnęła.

- Hilde bywa czasami nieznośna, lecz jej oddanie nie ma sobie równych.

- Nikt nie zarzuca jej braku lojalności. Przejdźmy jednak do ważniejszej sprawy.

Rosamund, wyczuwam w tobie wielki niepokój. Czy to z powodu lorda Roberta? Boisz się go?

- Nie - odparła Rosamund możliwie najszybciej.

- Drogie dziecko, najpierw zajrzyj w głąb swej duszy, a potem dopiero odpowiedz.

Wiem, że czymś strasznym może wydawać się małżeństwo z mężczyzną, którego dotąd nie widziało się na oczy, lecz masz szczęście, gdyż lord Robert jest zacnym człowiekiem.

Lepszego męża sama nie mogłabyś sobie wybrać. Jest majątny i mimo wieku wciąż urodziwy i pełen sił. Zdązysz urodzić mu jeszcze całą gromadkę dzieci. - Rosamund zbladła, by zaraz

oblać się rumieńcem. - Ależ ze mnie głupia starucha. Czy tym właśnie się dręczysz - myślą o małżeńskim łożu?

Rosamund podskoczyła na krześle.

- Ależ nie, pani. Mój ojczym nakazał swemu spowiednikowi objaśnić mnie co do moich obowiązków żony.

Victoria litościwie pokiwała głową.

- Należałoby rzec, zaciemnić w tobie świadomość tych obowiązków. Bez wątpienia ta nędzna kreatura już zadbała, by małżeństwo wydało ci się nieskończoną męką.

Mina Rosamund przekonała Veronicę, że jej podejrzenia były słuszne. Pieszczotliwie pogładziła młodą niewiastę po głowie.

- Robert będzie dla ciebie dobrym mężem. To prawda, że musisz być mu powolna i że pierwsze przeżycie będzie dla ciebie szokiem. Wiem, że poruszamy tu wstydlive sprawy, ale musisz wiedzieć, że z czasem w tych cielesnych doświadczeniach możesz odnaleźć również przyjemność. Źródłem jej jest czułość oraz głębia uczuć, co, mam nadzieję, stanie się twoim i twojego męża udziałem.

Rosamund kiwnęła głową i przygryzła dolną wargę. Nic z tego, co powiedziała Veronica, nie pokrywało się ze słowami ojca Leona. Według niego stosunek cielesny był dowodem zepsucia ludzkiej natury, najstraszliwszą deprawacją. Żony były powolne swym mężom, bo, po pierwsze, nie miały wyboru, po drugie zaś skażone były złem odziedziczonym po pramatce Ewie. Jedyłą reakcją szlachetnej niewiasty powinno być poczucie upokorzenia i wstrętu. Gdzież więc tu miejsce na przyjemność?

Wtedy przypomniał się jej Agravar. Wyobraziła sobie, że leży z nim i czuje jego prącie między swymi udami, bo tak to ma być, jak dowiedziała się z ust ojca Leona.

Ciałem jej wstrząsnął dreszcz. Wyobraźnia nadal działała. Agravar obejmował ją, ona też próbowała, ale był jak ten tysiącletni dąb, którego pnia nie sposób otoczyć ramionami. Ogromny, ona zaś bardzo mała i właściwie bezbronna. I rzeczywiście nie mogła obronić się przed tą falą gorąca, która ją nagle zalała. Doznanie to było na tyle przyjemne, że się zmieszała. Kiedy ojciec Leon perorował jej o grzechach cielesnych, nie wyobrażała sobie, że popełniając je, można czuć się w ten sposób.

Tak, nie była już tą dziewczyną, która kilka tygodni temu opuściła Hallscroft. Stała się zupełnie kim innym.

Ale twarz, którą widziała w lustrze, była ta sama Wysokie czoło, prosty nos, duże oczy, taki a nie inny wykrój ust, to wszystko znała bardzo dobrze. Zewnętrznie nie zmieniła się. Zmiana dotyczyła tylko duszy, charakteru, wewnętrznego nastawienia.

Co ją spowodowało? A może k t o ją spowodował? Czują, że wpływu Agravara nie można pominąć.

Veronica znów pogładziła ją po włosach.

- Wyglądasz jak zagubiona owieczka. Brak ci pewności siebie i trzeba temu zaradzić.

Na razie masz zjeść to, bo przyniesie ci Hilde. Niby drobnostka, a rzecz bardzo ważna. Od razu poczujesz się silniejsza.

Rosamund obdarzyła swą dobrodziejkę bladym uśmiechem.

Veronica spoglądała na nią surowo, niczym zatroskana matka.

- I chcę widzieć wieczorem przy stole dziewczynę pogodną i tryskającą energią.

Rosamund obiecała, że postara się jej nie zawieść.

- W takim razie do zobaczenia przy wieczerzy.

W drzwiach Veronica minęła wchodzącą służącą. Widoczne na tacy potrawy wyglądały apetycznie, lecz Rosamund wcale nie czuła głodu.

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

Rosamund szczerze chciała dotrzymać słowa i zachowywać się przy stole z

wdziękiem i swobodą, kiedy jednak lord Robert poświęcał jej uwagę i grzecznie o coś za-

pytywał, była w stanie udzielić mu jedynie wymuszonych i nieskładnych odpowiedzi. Nie

wiedziała nawet, czy mają one jakikolwiek sens. Był na tyle uprzejmy, że nie próbował tego

dociekać, jakkolwiek jego zdumienie było widoczne. W końcu dał jej spokój, powodowany,

jak się domyślała, tyleż litością, co przykrym rozczarowaniem.

Równie zawiedziona wydawała się lady Veronica, której tak bardzo zależało na tym,

by ona, Rosamund, zaprezentowała się swemu przyszłemu mężowi od jak najlepszej strony.

Kiedy stało się jasne, że nie doczeka się tego, zagarnęła lorda Roberta wyłącznie dla siebie,

bawiąc go żywą rozmową. W ten sposób Rosamund, pozostawiona sobie samej, miała okazję

przemyśleć błędy, które spowodowały jej kompromitację.

Trudno jednak było się skupić, skoro czuła na sobie spojrzenie niebieskich oczu

Agravara. Widział zbyt dużo, czasem zaś miała wrażenie, że nic nie uchodzi jego uwagi.

Przypomniała sobie ostatnią rozmowę z Veronicą. Osaczyły ją najróżniejsze pytania i wątpliwości.

Jak by to było, gdyby należała do Agravara?

Usiłowała nie rozpatrywać tej kuszącej perspektywy. Nic należy pragnąć rzeczy niemożliwych. Nauczył ją tego Cyrus. Był mistrzem w tłumieniu w niej wszelkich nadziei i tęsknot, które mogłyby zaowocować buntem.

Nie patrzyła już na Agravara, po prostu zabroniła sobie tego, wiedziała jednak, że on tam jest i że nie spuszcza z niej oka. Zaczęła rozglądać się po sali i twarzach. Nagle czyjaś twarz przykuła jej uwagę. Przy jednym ze stołów siedział Davey.

Za najbliższych towarzyszy miał swobodnie i hałaśliwie zachowujących się żołnierzy.

Wciąż nosił przebranie mnicha. Jego pokryta kropelkami potu tonsura lśniła w świetle pochodni niczym cynowa misa. Wstał, gdy tylko zauważył, że go dostrzegła. Najwidoczniej zjawił się tu tylko po to, by przyciągnąć jej uwagę i coś jej zakomunikować. Nieznacznie wskazał w stronę wiodącego do kuchni korytarza. Tam też skierował swe kroki.

Rosamund spuściła głowę, czując, że rumieniec zalewa jej twarz.

Czy ktoś był świadkiem tej tajemnej rozmowy na odległość pomiędzy nią a Daveyem?

Spojrzała spod rzęs w kierunku Agravara. Akurat zajęty był rozmową z siedzącym obok niego młodym rycerzem. Czy wobec tego mogła czuć się bezpieczna? Jakże obce wydawało się jej słowo „bezpieczna”.

Wstała, lecz nie ruszała się z miejsca. W końcu zwróciło to uwagę lorda Roberta.

- Rosamund, czy coś się stało?

- Za twoim pozwoleniem, panie. Czy mogę się oddalić?

Zapadła cisza. Znalazła się w centrum zaciekawionych spojrzeń. Lord Robert odchrząknął.

- Oczywiście, Rosamund. Zresztą nie musisz prosić mnie o pozwolenie.

- Wybacz, mój panie. Po raz drugi nie sprawię ci kłopotu.

Idąc między stołami, zauważyła kątem oka posępną minę Agravara.

Czuła, że uczyniła coś niestosownego. Czy obraziła ich wszystkich tą nieoczekiwaną decyzją? Na pewno wprowadziła lorda Roberta w zakłopotanie.

Czego w tej sytuacji może odeń oczekiwać?

Okrążywszy kolumnę, wyszła na korytarz. Czyjaś ręka wysunęła się z prawej strony i wciągnęła ją w strefę cienia.

- Gdzież się podziewałaś, pani? - spytał Davey zadyszczanym szeptem. - Już dawno minęła godzina wyznaczona na nasze spotkanie. Pozwolę sobie przypomnieć, że miało ono nastąpić o zachodzie słońca.

Skradali się pogrążonym w mroku korytarzem. Rosamund obejrzała się, chcąc się upewnić, że nikt ich nie śledzi. Nikt za nimi nie szedł. Nie było bezpośredniego zagrożenia, więc odważyła się powiedzieć:

- Po pierwsze, okoliczności nie zawsze sprzyjają zamiarom i tak było w moim przypadku. Po drugie, mimo że wiele dla mnie uczyniłeś i czuję się twoją dłużniczką, wciąż jestem twoją panią, co oznacza, że nie zamierzam się stosować do twoich poleceń, Davey.

- A może inaczej traktujesz, pani, polecenia tego twojego wikinga?

- Co? Co on ma z tym wspólnego? I na pewno nie jest moim wikingiem, o ile w ogóle te rzeczy mogą cię dotyczyć.

- Załóżmy, że mogą. Byłem tam w lesie, więc widziałem, jak spacerowałaś sobie z

nim, śmiejąc się tak słodko dźwięcznie, że aż wzbudzało to zazdrość ptaków. Ja tymczasem zachodziłem w głowę, jak dać ci wolność, której tak bardzo pragniesz. Lecz to nie ze mną, tylko z tamtym spędzałaś czas na żartach i przyjemnościach, Rosamund! Nie wierzyła własnym uszom.

- Davey, co się z tobą dzieje? Nie masz prawa zwracać się do mnie w ten sposób.

Zobaczyła zrozumienie w jego oczach. Zaczynał zdawać sobie sprawę z niestosowności swego zachowania. Zwiesił głowę, wbijając wzrok w zaścielającą posadzkę wonne sitowie.

- Racz mi darować, pani, niektóre moje słowa. Nie było i nie jest mi lekko. Od dawna żyję w strasliwym napięciu, nasłuchując każdego szmeru. Moje życie przemieniło się w czekanie. Czekam i widzę, że każdego dnia stajesz się, pani, coraz bardziej zadowolona ze swego tu pobytu, jakby zapominając, że tym sposobem zmierzasz prosto ku kłęsce. Tak też doczekałaś się przybycia lorda Roberta. Skończył się dla ciebie czas względnego spokoju. - Uniósł głowę i spojrzał na nią płonącymi oczyma. - Uważasz, że obroni cię ten wiking? Że on zapewni ci opiekę?

- Ani mi to w głowie!

Daveyem targnął gniew.

- Nie może nic dla ciebie uczynić. Może sobie głową sięgać nieba, a w ramionach mieć siłę dziesięciu mężczyzn, a mimo to nie pomoże ci, Rosamund. Służy Lucienowi, a żaden z nich nie wykroczy przeciwko prawu. Tylko ja mogę zapewnić ci wolność. Czy tego nie widzisz? On jest twoim wrogiem. Jedyne przyjaciel stoi przy tobie, pani.

- Och, przestań mnie pouczać, jakbym była małą dziewczynką - rzekła stanowczo, lecz wewnątrz cała drżała. - Wiem dobrze, że nie mogę liczyć na Agravara, pomimo całej jego uprzejmości. Nawet nie zwróciłabym się doń z taką prośbą. Może litować się nade mną, lecz

służy Lucienowi. - Uświadomiła sobie w tej chwili, że właściwie nic nie wie o mężu Alayny.

- Lucien zaś będzie trzymał się tego, co rycerz o jego sławie uważa za słuszne i honorowe.

Najbardziej boję się właśnie Luciena, tych jego grymasów i ponurych spojrzeń. W stosunkach z Alayną potrafi być delikatny, mnie jednak od początku nie darzył sympatią. I nie wierzę, by kiedykolwiek współczuł mi z racji mego trudnego położenia. - Westchnęła i dodała: - Liczę na ciebie, Davey.

W Daveya jakby wstąpił nowy duch. Od razu przeszedł do rzeczy i zapoznał ją z planem ucieczki.

- Będę czekał na ciebie, pani, przy bocznej furcie - rzekł na koniec, podając jej sporych rozmiarów sakiewkę, którą wyjął zza pazuchy.

Rosamund kiwnęła głową. Plan był dobry, spodobał się jej. Trzeba było podjąć pewne ryzyko, lecz przy odrobinie szczęścia ucieczka powinna się udać.

A jednak nie była do końca przekonana, czy należy wdać się w tę kolejną awanturę.

Zalała ją fala smutku. Miała opuścić to miejsce, gdzie doświadczyła tylu drobnych radości w towarzystwie osób, które przyjęły ją tu z otwartymi ramionami i sprawiły, że czuła się bliska ich sercu.

A jednak był w tym rozumowaniu pewien błąd. Szczęście które odnalazła tutaj, i tak musiałaby zostawić za sobą, wyjeżdżając z lordem Robertem do Berendsfore. W ten sposób uciekając z Daveyem, nie traciła niczego, czego i tak nie musiałaby się wyrzec.

To prawda, odnalazła tu prawdziwy dom. Dom ten zamieszkały był przez przyjaciół.

Agravar zaliczał się do nich. W jakimś sensie z nim najtrudniej będzie się jej rozstać. To on bowiem obudził w zastrachanym dziewczęciu kobietę. To on spoglądał na nią z ogniem i czułością. Do końca nie rozumiała tych znaków duszy, lecz jej ciało nie pozostawało obojętne na te spojrzenia. Lubiła, gdy Agravar zbliżał się do niej. Pragnęła jego bliskości.

Pragnęła go, jak nikogo dotąd w swym życiu.

Nie chciała stąd odjeżdżać. Myśl ta poraziła ją nagle niczym piorun.

Zarazem jednak odjechać musiała.

Ktoś nadchodził. Rosamund ukryła sakiewkę w fałdach sukni. Davey rozplątał się w mroku korytarza.

- Rosamund? Co tu robisz? - usłyszała głos Agravara. oczywiście, to mógł być tylko on. Od dawna wszak był jej cieniem.

Wyglądał na zmartwionego, a pionowa zmarszczka między jego brwiami wydawała się wyjątkowo głęboka.

Drgnęła jej ręka, zapagnęła wygładzić mu czoło, usta rozchyliły się pod naporem słów niosących pociechę. Rzecz jasna, zabrakło jej śmiałości, poza tym wiedziała, że żadna będzie to pociecha, jeśli poskapi mu prawdy. Całej zaś nie mogła mu powiedzieć.

Patrzyła więc w milczeniu, myśląc o sakiewce schowanej w fałdach sukni.

- Dlaczego się ukrywasz?

Co by się stało, gdyby powiedziała mu: „Pomóż mi, Agravarze, bo muszę stąd uciec”?

Natychmiast odepchnęła od siebie tę głupią myśl. Mogła polegać tylko na Daveyu.

Agravar nie zrozumiałby motywów, jakimi się kierowała. Uznałby, że jest wietrzną, intrygantką.

- Pobłądziłam. Te zamkowe korytarze ciągle są dla mnie labiryntem.

Przez chwilę spoglądał na nią podejrzliwie, po czym rozejrzał się wokół, próbując spojrzeniem przebić mrok. Przechylił głowę na bok, nasłuchując. Żaden dźwięk nie zdradził jej kłamstwa. Davey okazał się szybki i zwinny.

Przez chwilę widziała twarz Agravara z profilu. Wysokie czoło, wydatny nos, nieco ścięty podbródek. Pszeniczne włosy opadały mu niżej ramion.



- Wydawało mi się, że słyszę czyjeś głosy - rzekł.

- To ja. Śpiewałam, żeby mniej się bać w tej ciemności.

Uśmiechnął się z powątpiewaniem. To był cały komentarz do jej słów. Powiedziała:

- Muszę wracać do siebie.

- A ja muszę z tobą porozmawiać. Chciałbym otrzymać odpowiedzi na pewne pytania, które kłębią mi się pod czaszką. - Skrzyżował ręce na swym masywnym torsie.

- Zaczniemy od tego, dlaczego traktujesz sir Roberta, jakby był twoim oprawcą, nie zaś przyszłym mężem?

- To nieprawda. Lord Robert to porządny człowiek - powiedziała, jakby recytowała formułkę z katechizmu.

- Trudno mi się z tym nie zgodzić. Tym bardziej mnie zastanawia, dlaczego widzisz w nim dybiącego na twoją duszę piekielnego demona.

- Jesteś śmieszny - rzekła drżącym głosem.

- Ja? Dlatego że próbuję znaleźć klucz do twego osobliwego zachowania?

- Z niczego nie muszę ci się tłumaczyć.

- Może to i racja. Nie liczę się. Jestem tu tylko sługą. Słudze więc pozostaje

powiadomić sir Roberta, że z jego narzeczoną nie wszystko jest w porządku. Jemu będziesz musiała się wytłumaczyć ze swego zachowania.

- Nie! - Wyciągnęła rękę jakby w obronnym geście.

- Błagam, nie rób tego!

Agravar wydawał się rozbawiony.

- Wydawałoby się, że powinnaś być wdzięczna losowi, bo nastreczył ci takiego męża

Trudno mi bowiem wyobrazić sobie, byś tęskniła za powrotem do Hallscroft.

Wzdrygnęła się.

- Nie wiesz niczego o mojej przeszłości.

- Poznałem duchownego, który jest tej przeszłości nieodłączną częścią. Sądząc po tej części, twoje życie było nieprzerwanym pasmem udręki. Przypominam też, zmienna damo, że to ja twoją przeszłość w osobie pewnego durnia i chama posadziłem na osła i wysłałem w drogę powrotną do krainy opętanych i nieszczęsnych.

Przypomnienie tamtej sceny sprawiło, że wbrew wszystkiemu kąciki ust Rosamund uniosły się w uśmiechu.

- Zasłużył sobie na to. Zachował się niegrzecznie wobec ciebie i matki Alayny.

- Tylko że ja przegnałem drania ze względu na jego zachowanie wobec ciebie, Rosamund - rzekł miękki głosem.

- Nie prosiłam cię o to.

- O nic nie prosisz, my jednak błagamy o przyzwolenie na wyświadczenie ci jakiejś przysługi. Musiałaś już to zauważyć. Lady Veronica, Alayna, ja, a nawet biedny Lucien - czynimy wszystko, byś czuła się bezpieczna i zadowolona. Chodzimy wokół ciebie na paluszkach, uprzedzamy twoje życzenia, pragniemy we wszystkim ci dogodzić. Podczas pobytu na zamku tego opętańca wszyscy byli po twojej stronie - mężczyźni, kobiety i dzieci, bo każdy wiedział, że jest to twój zły duch. - Wyszczrzył zęby. - Widziałaś, jak podskakiwał, gdy biedne oślisko ruszyło truchtem? I te jego nogi! Wlokły się po ziemi, żłobiąc bruzdy.

Zachichotała.

- Tak, był to bez wątpienia niegodny odwrót. - Jakże łatwo w jego obecności zapominała o sobie i swoich problemach.

Zbliżył się o krok. Teraz miała tuż nad sobą jego niebieskie oczy.

- Mało brakowało, abym go zabił - rzekł chropawym głosem. - Po raz pierwszy w życiu chciałem zabić człowieka poza polem bitwy. - Dotknął opuszkami palców jej policzka.

- To straszne, że karmiono cię dotąd takimi kłamstwami. Zło i dobro pomieszały się w twoim umyśle i dlatego bardzo trudno ci znaleźć właściwą drogę.

Miała wrażenie, że Agravar poi ją jakimiś środkami odurzającymi. A przecież było to tylko dotknięcie i kilkanaście cicho wypowiedzianych słów.

- Rosamund...

Pogłaskał ją. Wstrzymała oddech. Złękła się, że ją pocałuje. Pragnęła jego ust, pragnęła przywrzeć ciałem do jego ciała, zapłakać w jego ramionach, lecz po czymś takim ucieczka stałaby się niemożliwa.

Musiała coś powiedzieć, cokolwiek, byleby tylko wyrwać się z tego stanu hipnozy.

- Lord Robert być może oczekuje mojego powrotu. Znalazła chyba właściwe słowa, gdyż oderwał dłoń od jej policzka.

- Wątpię - rzucił ostrym, nieprzyjemnym głosem. Odzyskała już panowanie nad sobą.

- A jednak nie powinnam narażać się na jego gniew. Przez chwilę wydawało się, że chce coś powiedzieć, lecz tylko zacisnął usta. Ledwie trzymała się na nogach, zebrawszy jednak resztki sił, ruszyła w głąb korytarza.

Po kilku krokach zatrzymała się i odwróciła głowę. Pomyślała o tym, co mogło się wydarzyć, lecz z jakichś przyczyn nie wydarzyło się. Pomyślała o pocałowaniu go. Ta drobna rzecz nie zmieni biegu wydarzeń. Jutro będzie zupełnie gdzie indziej i pozostaną tylko wspomnienia.

Sięgnęła myślami dalej i zobaczyła siebie w ramionach Agravara. To była jej ostatnia noc, ostatnia tutaj lub ostatnia w ogóle w jej życiu. Jutro może już nie żyć. Czy będzie to miało jakieś znaczenie, że nie umrze dziewicą?

- Idź już - rzekł rozkazującym głosem. - Wracaj do swojej komnaty. Wiem, że nie chcesz wrócić do sali. Spróbuję usprawiedliwić cię przed sir Robertem.

Stało się. To on zdecydował. Wbiegła na schody. Czekala ją śmierć i zmartwychwstanie. Nie ujrzy już Agravara Wikinga.

## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

Był jasny, pogodny poranek. Opary stały nad łąkami. Niebawem miało rozproszyć je słońce, lecz nie wynurzyło się jeszcze zza lasu, więc snuły się tuż nad ziemią niczym pokutujące duchy.

W przytulonej do muru zbrojowni Lucien, Will i Agravar oglądali i wazyli w rękach miecze.

Znów byli razem, a każdy czerpał siłę i radość z przyjaźni pozostałych dwóch. Śmiali się i przerzucali żartami, jakby od tamtych dni, gdy byli żołnierzami walczącymi o wspólną sprawę, minęła zaledwie chwila.

Agravar napawał się atmosferą koleżeństwa i dziwił się, dlaczego nie jest tak codziennie. Lucienowi jakby ubyło lat, był rozluźniony i radosny. Will swoim dowcipem i żartami sprawiał, że pokładali się ze śmiechu, kusząc los, który nie lubi, gdy komuś jest zbyt dobrze.

Drzwi otwarły się i stanęła w nich jakaś postać. Mężczyźni przestali się śmiać, wlepiając wzrok w niewiastę. Agravar od razu ją rozpoznał, choć widział ją tylko raz. Było to na zamku Willa jakiś czas temu. Lecz wtedy ona wyglądała... no cóż, całkiem inaczej. Olivia była ładną, smukłą i cichą dziewczyną. Pojawiła się wówczas w łachmanach, osnuta mgłą tajemnicy. Will obu tym rzeczom zaradził podczas ostatniego Bożego Narodzenia. W dzień Nowego Roku byli już po ślubie. Jej delikatność i takt sprawiły, że Will po serii zadrażnień i nieporozumień powrócił do dawnej przyjaźni ze swoim suzerenem. Teraz spojrzała na Willa i uśmiechnęła się. Nie weszła do środka, tylko pozostała na progu, bo tak gestem nakazał jej mążzonek. Przenosząc spojrzenie na Luciena, zniżyła się w

ukłonie.

- Proszę o pozwolenie, mój panie.

- Na Boga, Will, powiedz swojej żonie, by dała sobie spokój z tymi grzecznościami.

Czyżby zaraziła się tym od Rosamund?

Will uśmiechnął się pod nosem.

- Chodź, kochanie. Lucien pogardza formami. Powiedz, z czym przyszedłeś.

- Wybaczcie, panowie, że przeszkodziłam wam w rozmowie, lecz chodzi o lady

Rosamund. Lady Veronica przysłała mnie z prośbą by lord Lucien raczył popatrzeć się na pokoje.

Lucien parsknął gniewnie.

- To sprawa lorda Roberta. Rosamund jest teraz pod jego opieką. - Widząc jednakże nieprzyjemne zaskoczenie na twarzy Olivii, natychmiast złagodniał. - No, dobrze. Co tam znów nabroiła kuzynka mojej żony?

W odróżnieniu od Rosamund, Olivia nie obawiała się pohukiwań Luciena i jego opryskliwości. Wyjaśniła spokojnym głosem:

- Zamknęła się w swojej komnacie i nie chce nikogo wpuścić. Pukamy, a ona nie odpowiada.

Agravar poczuł, że jakaś żelazna obręcz zaciska się mu na gardle.

- Jesteś pewna, że znajduje się w środku?

- Drzwi są zamknięte od wewnątrz. - Olivia, cokolwiek zmieszana, zatrzepotała rękami. - Jeżeli nie ona sama, to kto inny mógł zasunąć rygiel?

- I nie odpowiada na wołania?

- Nie odezwała się dotąd ani słowem.

- Boże, co ta dziewczyna wyprawia? - wybuchnął Lucien. - Od początku mieliśmy z

nią same tylko kłopoty. Już zszarpała mi nerwy, ale widzę, że to jeszcze nie koniec.

- Nie możesz winić jej za to, że wtedy porwali ją bandyci - rzekł gniewnie Agravar.

Irytowały go krytyczne opinie przyjaciela.

Musiało stać się coś złego.

Nie zrażona tą drobną sprzeczką, Olivia znów zabrała głos. Tym razem zwróciła się do Agravara.

- Lady Veronica prosi, żebyś ty również przybył, panie. Obawia się, że trzeba będzie wyważyć drzwi.

Nie zastanawiając się ani chwili, Agravar puścił się biegiem. Pędził, nie oglądając się na boki i na nic nie zważając. Kogo potrącił, ten obijał się odeń jak od rozhukanego konia i padał na ziemię. Wpadł na schody, biorąc po trzy, cztery stopnie naraz. Narastał w nim strach. Musiało stać się coś złego. Wczorajsze dziwne zachowanie Rosamund mogło być zapowiedzią dzisiejszych komplikacji.

Dyszący i pobladły, stanął wreszcie przed drzwiami jej komnaty.

Najpierw próbował otworzyć drzwi znanym powszechnie sposobem, to znaczy szarpiąc nimi. Niestety, wszystko wskazywało na to, że rygiel ciasno tkwi w otworze.

- Nie ma rady, trzeba je wyważyć - orzekła Veronica. Agravar teraz dopiero ją dostrzegł. Stała na korytarzu w towarzystwie Hilde, która już zaczynała mdleć z wielkiego przejęcia.

Uniósł nad głowę obie pięści i z rozmachem spuścił je na deskę, do której przytwierdzone były zawiasy. Drzwi załomotały, lecz deska pozostała cała.

Podbiegła Hilde i uwiesiła się jego ramienia.

- Wołałam ją, sir, ale nawet nie pisnęła. Musiało stać się jakieś nieszczęście. To straszne milczenie! Gorsze niż jęk i krzyk. Słodka Rosamund, taka delikatna i wrażliwa. Och,

że też we wszystko musi się wplątać zło...

Agravar oderwał jej dłoń od swego ramienia i odwrócił się do niej plecami. Huczało mu od tych lamentów w głowie. Pragnął działać i wreszcie poznać prawdę. Badał wzrokiem drzwi, szukając w nich jakiegoś słabego punktu.

- Może wspólnie uda się nam je wyważyć - usłyszał głos Luciena.

W milczeniu kiwnął głową. Mówiąc „wspólnie”, Lucien miał na myśli również Willa, który przyszedł tu razem z nim.

Ustawili się w pewnej odległości od drzwi, zwróceniu ku nim barkami, i na komendę Agravara równocześnie zaatakowali przeszkodę.

Aż zadudniło na korytarzu. Jedna z desek pękła wzdłuż, boczna framuga odstała od muru, ale drzwi nie puściły.

- Próbujemy jeszcze raz.

Dopiero przy trzeciej próbie deska z rygłem trzasnęła i rozłupała się na tyle, by

Agravar mógł wsunąć rękę i zwolnić zasuwę. Uczynił to w pośpiechu i kilka drzazg wbiło się mu w ramię. Trysnęła krew. Hilde krzyknęła i pobladła. Ugięły się pod nią nogi, choć sądząc z wyglądu, mogłyby utrzymać sklepienie całkiem sporej budowli.

Agravar nawet nie spojrzał na rany. Otworzył jednym kopnięciem drzwi i razem z towarzyszami wpadł do środka.

Nie było tam nikogo. Nic nie wskazywało na to, by tę noc Rosamund spędziła w łóżku. Było zasłane jak za dnia. Agravar patrzył na tę pustkę nieruchomym wzrokiem i z każdą chwilą wydawała się mu ona coraz straszniejsza.

Ciszę zakłócił krzyk służącej:

- Lady Rosamund? Panienko? Gdzie jesteś? Odezwij się. Veronica i Olivia, pobladłe z przejęcia, przesuwały niespokojne spojrzenia z przedmiotu na przedmiot.

Nagle spojrzenie Olivii znieruchomiało, ona zaś sama wydała jęk pełen rozpacz.

Agravar poszedł za jej wzrokiem i zobaczył plamę krwi. Poczł wielki chłód w piersi, jakby serce przemieniło mu się w bryłę lodu.

Kałuża krwi pod oknem zdążyła już zakrzepnąć i nabrać brązowego odcienia.

Krwawe ślady widoczne też były przy kominku, na komodzie i stole, a także w kilku innych miejscach. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, aby zobaczyć szamoczącą się w potrzasku, broczącą krwią Rosamund. Wszyscy oniemieli ze zgrozy.

Pierwszy poruszył się Will, który przystąpił do badania śladów.

Lucien nakazał niewiastom opuścić komnatę. Veronica i Olivia wzięły pod ramiona lecącą z nóg Hilde.

Will podszedł do okna i wyjrzał na dziedziniec. Odwrócił się, pokręcił głową na znak, że nic szczególnego nie zobaczył, i zabrał się do przeszukiwania komnaty. Agravar w mig zrozumiał jego zamiary. Will szukał ciała.

To niemożliwe, żeby umarła, pomyślał.

W umyśle Agravara urywki zapamiętanych rozmów mieszały się ze strzępami utrwalonych w pamięci sytuacji i zdarzeń. Kręcone schody w wieży. Spacer po ogrodzie.

Miłe chwile spędzone w lesie. Ostatnia noc i spotkanie w ciemnym korytarzu.

Lucien podszedł i położył mu dłoń na ramieniu.

- Agravar, ty poznałeś ją najlepiej. Czy domyślasz się, co mogło się wydarzyć?

Will właśnie skończył przeszukiwać komnatę.

- Nic - rzekł, rozkładając ręce, co oznaczało, że nie znalazł ciała.

- Agravar - naciskał Lucien.

Wiking otworzył oczy. Musiał jak najszybciej odzyskać jasność myślenia. Najwyższy czas zacząć kojarzyć fakty i wyciągać wnioski.



Ojciec Leon. Człowiek ten budził strach w Rosamund. Na wiele było go stać. Mógł wrócić, by odpłacić się za doznane upokorzenie. Tak, tylko dlatego morderca zabrał ze sobą jej ciało. Po co mu było ono potrzebne?

Agravar potarł czoło. Rykała mu głowa od natłoku myśli.

- Krew o niczym jeszcze nie świadczy. Musimy założyć, że ona żyje.

- Zgoda.

Myśli szły fala za falą, burzyły się i pieniły. Rosamund powiedziała raz, że wie, co to zło, bo go doznała. Co chciała mu tymi słowami przekazać? I jakie zło dokonane zostało w tej komnacie tej nocy?

- Agravar, czy mnie słyszysz?

- Musimy kazać siodłać konie. - Raz i drugi głęboko odetchnął. - Jak powiedziałem, krew o niczym nie świadczy, skoro nie ma tu ciała. Nawet jeżeli została zabita, morderca nie mógł odjechać daleko.

Luciena nie przekonało to rozumowanie.

- Moim zdaniem powinniśmy najpierw przeszukać zamek.

- Nie - sprzeciwił się Agravar. - Zwlekając z wyruszeniem w drogę, marnujemy tylko bezcenny czas.

Will zauważył, że plamy krwi są już zrudziałe. Świadczyłyby to o tym, że cokolwiek się tu dokonało, dokonało się wiele godzin temu.

Agravar spiorunował go wzrokiem.

- Tym bardziej musimy się pospieszyć.

Decyzja została podjęta. Każdy ruszył do siebie przygotować się do wyprawy.

Świat poza murami zamku wydawał się nierzeczywisty. Niesamowicie, krzykliwie wręcz błękitne niebo drwiło z przygasłej zieloności pól, lasów i łąk.

Agravara dręczyło poczucie duchowego odrętwienia. Próbował wyrwać się z tego stanu i odzyskać jasność umysłu, lecz jego myśli krążyły bez końca wokół jednej sprawy. Co zrobi, jeśli ją straci?

Poczuwał się do winy. Był dowódcą straży. Do jego obowiązków należało dbać o bezpieczeństwo zamku i jego mieszkańców. Rosamund powinien był otoczyć szczególnie troskliwą opieką, gdyż wyczuwał w niej jakąś tajemnicę, jakiś wewnętrzny dramat, który sprawiał, że zamykała się przed nim i w ogóle wydawała się nieodgadniona. Uczyniłby mądrze, będąc bardziej natrętny i nieufny. Gdyby poznał prawdę, zdołałby zapobiec każdemu nieszczęściu.

Pomiędzy Lucieniem a Willem jechał lord Robert, który dołączył do grapy pościgowej z pewnym opóźnieniem. Jego twarz miała barwę popiołu, w sposobie trzymania ramion wyczuwało się napięcie. Jego ludzie odróżniali się od zbrojnych Luciena barwami, jednakże obie grupy zmieszały się ze sobą. W sumie kawalkada liczyła ponad dwudziestu jeźdźców.

Wjechali w las i wtedy Agravar przypomniał sobie, że dwa razy w tym lesie

Rosamund została porwana i dwa razy ocalona. Dwie próby podjął bandyta i każda z nich skończyła się niepowodzeniem.

Agravar zauważył, że jego rozumowanie nabiera precyzji i jasności.

Jechali w milczeniu, wypatrując na drodze śladów kopyt końskich i wsłuchując się w odgłosy lasu.

Dwa porwania. Dlaczego tym razem nie miałyby być trzecie? Kto wie, co kryje się za tym wszystkim. Wersja porwania wydawała się o tyle bardziej prawdopodobna od innych, że już coś takiego niedawno temu przydarzyło się Rosamund.

Pamiętał, że wtedy porywacz wraz ze swoją ofiarą kierował się w stronę rzeki. Miał na głowie śmieszny czerwony kapelusz. Poza tym w jednym punkcie postąpił nietypowo. Nie

skrępował swojej ofiary, pozostawiając jej całkowitą swobodę ruchów.

Dlaczego do tej pory on, Agravar, nie zastanowił się nad tym faktem? Owszem, ten trop mógł prowadzić donikąd. Przerazona słaba niewiasta uczyni wszystko, co złoczyńca jej rozkaże. Po co zakładać pęta istocie sparaliżowanej strachem?

A jednak... Pewne ryzyko zawsze istnieje. Bywają niewiasty dzielniejsze od mężczyzn. Rosamund nie miała zajęczego serca. Jej strach nie wynikał z braku odwagi, tylko z jakichś straszliwych doświadczeń, o których wołała milczeć, czyniąc z nich sekret swej zbolącej duszy.

Jakiż mógł to być sekret?

W jakim celu wymknęła się do wieży tamtego wieczoru? Co robiła wczoraj w ciemnym korytarzu?

Mężczyzna w czerwonym kapeluszu.

Dlaczego porywacz zadowolił się samą osobą i nie ruszył kosztowności? Planował zażądać okupu czy też powodowała nim zazdrość, uraza, nienawiść...?

Agravar ściągnął wodze.

- Lucien - zawołał - przychodzą mi do głowy różne głupie pomysły.

Podjechawszy, Lucien złożył obie dłonie na łęku siodła.

- Mianowicie?

Agravar zląkł się, że okaże się śmieszny.

- To trudno wyjaśnić wprost.

- Mimo wszystko mów. Twoja intuicja rzadko kiedy cię zawodzi.

Człowiek w czerwonym kapeluszu kierował się w stronę rzeki. Rzeka ta, przepływając przez ziemie Willa, wpadała dalej do morza. Morze było najlepszą drogą ucieczki. Na morzu nie pozostawiało się śladów. Drogą morską można było dotrzeć wszędzie.

- Pozwól, że odłączę się od was i pojedę wzdłuż rzeki. Nikogo nie biorę ze sobą, gdyż wszyscy są potrzebni do przeszukiwania lasu. Mam pewne podejrzenia i muszę sprawdzić ich słuszność. Równie dobrze mogą okazać się błędne i nieuzasadnione.

- Paru ludzi mógłbyś jednak wziąć.

- Nie. Jeżeli potwierdzą się moje przypuszczenia, dam sobie radę sam. Jeżeli się nie potwierdzą, to tym bardziej zbędna mi pomoc.

Lucien przez chwilę zastanawiał się nad słowami przyjaciela. W końcu mruknął:

- Powodzenia, wikingu.

Agravar spiął konia i skoczył w lewo między prastare buki i dęby.

Rosamund chodziła tam i z powrotem nad brzegiem rzeki.

Davey kulił się nad niewielkim ogniskiem, rozgrzewając skostniałe dłonie i od czasu do czasu wybuchając cichym śmiechem.

- Ślady krwi musiały zupełnie zamieszać im w głowach - rzekł triumfalnym tonem. - Z pewnością rzucili się przeszukiwać zamek, od piwnic po strych. A kiedy poszukiwania nie dadzą rezultatu, usiądą i zaczną się głowić, rozpatrywać różne wersje, a każda zaprowadzi ich donikąd.

- Ale dlaczego zamknęliśmy drzwi? - spytała, rozcierając ramiona, gdyż panował dotkliwy chłód. - Czy nie wyda im się to nader podejrzane?

- Oczywiście, Rosamund. - Od kilku godzin zwracał się do niej po imieniu, co nie przypadło jej do gustu. - Szło o to, by zaczęli gubić się w domysłach i mnożyć pytania, na które trudno im będzie znaleźć jedną sensowną odpowiedź.

- A jeśli znajdą drabinę? Wtedy już łatwo będzie się im domyślić prawdy.

- Bynajmniej. Wszystkie zamki mają przytwierdzone do ścian drabiny. To na wypadek pożaru. Dlatego na drabinę, z której skorzystaliśmy, nie zwrócą najmniejszej uwagi.

Spojrzała na rzekę.

- Oby ta łódź przyłynęła jak najszybciej. Być tak blisko wolności, a wciąż obawiać się, że się jej nie zakosztuje, to sytuacja najgorsza z możliwych.

- Zapewniam cię, że nie złapią nas, gdyż w ogóle nie wpadną na pomysł szukania nas w lesie. Dlatego uspokój się. Ach, o czymś zapomniałem ci powiedzieć. Chodzi o łódź.

Przyplynie dopiero jutro rano. Uznałem, że tak będzie bezpieczniej.

- Jutro rano? Więc mamy spędzić tę noc tutaj, tak blisko Gastonbury?

- Rosamund, nie ma powodów do obaw. Przewoźnik został szczerze opłacony i pojawi się tu wraz z łodzią o świcie. Ta niewielka zwłoka na niczym nie zaważy.

Rosamund nie była o tym przekonana. W ogóle wszystko to przestawało się jej podobać. Wystarczyło jedno rozczarowanie, drobna komplikacja na drodze ku wymarzonej wolności, by nie czuła niczego prócz żalu i wyrzutów sumienia.

Znów odezwał się Davey:

- Moglibyśmy jechać w dół rzeki na spotkanie łodzi, lecz pędziliśmy do tej pory na złamanie karku i nasze konie muszą odpocząć.

- Mimo wszystko pewniej bym się czuła, mając nad głową trzepoczący żagiel.

Dlaczego nie umówiłeś przewoźnika na dzisiaj?

- Przesunąłem spotkanie, żeby mieć zapas czasu na wypadek jakichś

nieprzewidzianych trudności. Zresztą stało się. Nie ma najmniejszego sensu dalej drążyć tej kwestii. Pomyślałem o wszystkich ewentualnościach i zapewniam cię, że możesz czuć się bezpieczna. Chodź i usiądź przy ognisku. Ogrzej się. Mamy początek jesieni, która zaczyna się chłodnymi wieczorami i porankami. - Rzucił jej uśmiech zwycięzcy. - Niebawem znajdziemy się w kraju, gdzie nie ma tak surowych zim jak tutaj.

Faktycznie było jej zimno, ale nie był to chłód, na który mógłby pomóc ogień. Znów

zaczęła chodzić tam i z powrotem.

- Nie byłabym tego taka pewna, Davey.

- Rosamund, wątpisz we mnie i sprawia mi to przykrość - rzekł głosem, w którym, o dziwo, brzmiała pretensja. Rosamund nie przywykła do strofowań tych, których zadaniem było jej służyć.

- Nie widzę powodu, dla którego mamy tracić tu czas i narażać się na tym większe niebezpieczeństwo.

Jednak częściowo go rozumiała. Był przeświadczony, że wymyślił doskonały plan.

Wyprowadziwszy przeciwnika w pole, mógł teraz kpić sobie z niego i nie przejmować się, co przyniesie następna chwila.

Rosamund przypomniała sobie starą bajkę o żółwiu i zającu. W pierwszej chwili chciała mu ją nawet opowiedzieć, pojęła jednak, że tylko go tym rozdrażni.

- Rosamund, przestań tak chodzić i wreszcie usiądź przy mnie! - rzekł głosem zdradzającym irytację i niecierpliwość.

Zmartwiała. Jak śmiał się odzywać do niej w ten sposób! Uświadomiła sobie w jednym błysku, że obdarzając go zaufaniem, popełniła straszliwy błąd. Zniknął wierny i oddany Davey. Na jego miejscu pojawił się arogancki i despotyczny mężczyzna.

Doleciał ich uszu tętent konia.

Davey poderwał się na równe nogi.

- Ktoś nadjeżdża - syknął, jakby to była jej wina. Jakby znała imię zbliżającego się jeźdźca.

Ale ona wiedziała dokładnie tyle samo co on, czyli nic.

Chociaż nie. Czowała, że na tym dudniącym kopytami wierzchowcu nadjeżdża wiking, tak, tylko on mógł odnaleźć jej ślad. Tylko on mógł pozostać w wierze, że nie umarła.

- To chyba samotny jeździec - rzekł Davey. - A zatem z pewnością nie pościg.

Rosamund, zostań tu. Sprawdzę, co się dzieje.

Zniknął wśród drzew, a Rosamund została sama. W pierwszej chwili złękła się, że ją porzucił na pastwę losu, lecz zaraz jej uwagę przyciągnął jakiś trzask i szelest.

Z gąszczu na polankę, niczym zjawa, wyjechał pełnym galopem Agravar Wiking.

Ściągnął wodze koniowi i zgrabnym skokiem znalazł się na ziemi. Szedł niespiesznie, a nawet jakby z pewnym ociąganiem. Towarzyszył temu cichy brzęk ostróg i podzwanie miecza u boku.

Patrzyła nań i narastało w niej wzruszenie. Pierzchły obawy i niepokoje. Nie spodziewała się go już zobaczyć, a oto miała go przed sobą. Znalazł ją, bo los sprzeciwiał się ich rozstaniu.

Ruszyła. Nogi same ją niosły. Coś ją ciągnęło ku niemu i nie zamierzała się temu przeciwstawiać.

Zobaczyła jego oczy - błyszczącą niebieskość. Lecz w tym na pozór pogodnym błękanie czaiła się jakaś dzikość. Być może ta sama, która i ją wypełniła i nie dawała się poskromić.

## **ROZDZIAŁ SZESNASTY**

Rzuciła mu się w ramiona, a on w pierwszej chwili się zdumiał.

Oczekiwał wszystkiego. Że doskoczy doń i będzie z niego szydziła, a nawet go przeklinała. Lub każe mu wracać tam, skąd przybył. Nie spodziewał się tylko, że z wyrazem radości i upojenia na twarzy powita go, jakby na niego czekała.

Boże, żyła, i to było najważniejsze.

Przywarta do niego całym ciałem, tak iż czuł jej piersi, brzuch i uda, każdą wypukłość i wklęsłość. Zamknął ją w zaborczym uścisku. Pragnął jej tak bardzo, że cały drżał i dygotał.

Zanurzył palce w jej włosy, odsłonił szyję i musnął ją wargami. Poczł jej zapach i ciepł. Doznanie było tak odurzające, że zakręciło mu się w głowie. Musiał kilka razy głęboo odetchnąć, by opuściło go to zamroczenie.

Odchyliła się do tyłu i zerknęła zaciekawionym wzrokiem. Jej dłoń powędrowała ku jego twarzy. Długo gładziła policzki, czoło i brodę mężczyzny, którego odkryła dla siebie dopiero przed chwilą. Łzy błysnęły jej w oczach.

- Wybacz mi - szepnęła, po czym pocałowała go.

Jej usta były miękkie i wilgotne. Zaskoczył go ich dotyk, więc w pierwszej chwili cofnął głowę, zaraz jednak poddał się pragnieniu, które ona, piękna Rosamund, wciąż w nim podsycala. Rozchylił językiem jej zęby i wślizgnął się w słodką głębię. Rosamund zadrżała, nie wiedziala, można tak całować. Było to bardzo przyjemne, dawało poczucie ściślejszego zespolenia z drugą osobą, niejako obecności w niej.

Ta część umysłu, która odpowiedzialna była za myślenie, wysłała mu ostrzeżenie.

Cała ta sytuacja była nader dziwna i przede wszystkim należało ją wyjaśnić. Wiele pytań czekało na jasne odpowiedzi. Było mu jednak zbyt dobrze, by miał teraz niszczyć urok chwili brutalnymi pytaniami. Nie mógł żądać więcej. Rosamund żyła i tuliła się do niego. Była wreszcie jego, choćby tylko na parę chwil.

Ich usta się rozłączyły. Patrzyła na niego spod przymkniętych powiek, sycąc wzrok każdym szczegółem jego twarzy.

Nie pojął, dlaczego nagle jej oczy się rozszerzyły, ona zaś sama cofnęła się o krok.

- Rosamund - wyszeptał i wyciągnął ku niej rękę.

Pomyślał, że uświadomiła sobie grzeszność swego zachowania. Była obiecana innemu mężczyźnie, którego właśnie zdradzała. Postępek był naganny i musiał poruszyć jej sumienie.

Potem zrobiła coś, czego już w ogóle nie zrozumiał. Wyciągnęła przed siebie obie



ręce i zakrzyknęła straszonym głosem:

- Nie!

Cios spadł na jego głowę w momencie, gdy właśnie zaczęło opuszczać go zdumienie, ustępując przed instynktem działania w samoobronie. Poczł ból, a potem jakby rozczarowanie i żal. Stracił przytomność.

- Czy musiałeś uderzyć tak mocno? - Rosamund załamała ręce i upadła na kolana przy leżącym nieruchomo Agravarze.

- Oczywiście, że musiałem. To prawdziwy niedźwiedź, a z niedźwiedziem nie ma się co patyczkować. - Davey okrążył powalonego mężczyznę, trzymając gruby konar w pogotowiu, na wypadek gdyby pierwszy cios okazał się mimo wszystko zbyt słaby.

Rosamund przewróciła Agravara na plecy i odgarnęła mu włosy z twarzy. Był blady ową bladością śmierci. Palcami poszukała rany. Znalazła ją na tyle głowy, gdzie już zdążył wyskoczyć sporych rozmiarów guz. Kiedy cofnęła rękę, zobaczyła, że dłoń ma całą we krwi.

- O mój Boże!

- Nie histeryzuj - warknął Davey. - Nie zabiłem go. Jest tylko nieprzytomny.

Niebawem odzyska świadomość. Przy moim siodle znajdziesz powróż, przynieś go. Musimy go związać, zanim się ocknie.

Zmierzyła go spojrzeniem, w którym uraza mieszała się z wątpliwościami i gorzkim zawodem. Na Daveyu nie zrobiło to wrażenia.

- Idź albo jeszcze dzisiaj zobaczysz swego narzeczonego, lorda Roberta. Z pewnością nie wybaczy ci tak łatwo, że od niego uciekłaś.

Zupełnie zaschło jej w ustach. Davey ciągnął:

- Załóżmy jednak, że wybłagasz u niego przebaczenie. Pozostają jeszcze ja. Będiesz musiała żyć ze świadomością, iż pozwoliłaś mężowi powiesić swego wiernego sługę.

Poderwała się na nogi i poszła wypełnić jego polecenie.

- Przestań płakać - upomniął ją Davey, kiedy wróciła z konopnym sznurem. - Lepiej pomóż mi. Jest ciężki jak skała.

Ze związaniem nóg w kostkach poradzili sobie bez większego trudu. Ramiona stawiały im opór. Davey musiał użyć wszystkich sił, by wykręcić je do tyłu. Gdy wreszcie uporał się z tym, Rosamund w pośpiechu okręciła sznurem złączone nadgarstki. Ze zrobieniem węzła szło jej niesporo, lecz w końcu jakoś udało się jej przepleść i zacisnąć oba końce sznura. Davey ani na chwilę nie mógł puścić rąk Agravara, gdyż rozchodziły się siłą samego ciężaru.

- A teraz pomóż mi zawlec go w zarośla - rzekł Davey, gdy skończyli z nakładaniem pęt.

Rosamund działała w całkowitym oszołomieniu. Słyszała słowa, pojmowała ich znaczenie i odpowiednio na nie reagowała. Tak i tym razem wcisnęła dłoń pod pachę Agravara, a gdy Davey uczynił to samo, tyle że z drugiej strony, spróbowała razem z nim unieść i przesunąć ciężar. Bez rezultatu. Podjęli jeszcze kilka prób i każda zakończyła się podobnie.

W związku z tym Davey uznał, że łatwiej będzie im chwycić go za nogi. I faktycznie, tym razem ruszyli ciało z miejsca, tyle że głowa Agravara ciągnęła się po ziemi. Rosamund krajało się serce. Czowała się zdrajczynią. Nie dość, że nie opatrzyła rannego, lecz jeszcze przyczyniała się do tego, że jego krwawiąca głowa obijała się o kamienie i wystające korzenie. Co będzie, jeśli Agravar nie odzyska przytomności?

Davey przystanął i rozejrzał się.

- Przywiążemy go do tego drzewa - zdecydował, wskazując brodą na najbliższą rosnącą rosochatą sosnę.

- Nie - sprzeciwiła się Rosamund. - Będzie wówczas całkowicie bezbronny.

Davey gwałtownie odwrócił się w jej stronę.

- Więc może wolisz wrzucić go do rzeki? Połowiczność działań jest gorsza od ich zaniechania.

Miała już dość tego rozporządzania swoją osobą. Miarka się przebrała.

- Nie zostawimy go dzikim bestiom na pożarcie. Gdzież twoje człowieczeństwo, Davey? Nigdy nie zamierzałam cieszyć się wolnością za cenę pokrzywdzenia innych.

- W takim razie co z nim zrobimy? Zabierzemy go ze sobą? - spytał sarkastycznie. -

Domyślam się, że bardzo by ci to odpowiadało.

- Mówisz bzdury. Daj mi się zastanowić. - Wytarła zroszone potem czoło. - Chyba już wiem. Jadąc tu, mijaliśmy ruiny jakiegoś opactwa. Zawieziemy go tam i w ten sposób zapewnimy mu jakieś schronienie.

- Śmieszny pomysł. W ten sposób musielibyśmy zawrócić, my zaś oddalamy się od Gastonbury.

Wsparta się pod boki i uniosła buntowniczo brodę.

- Nie ruszę się z tego miejsca, jeśli mamy go tutaj zostawić. Przypominam, że jestem twoją panią, Davey, i skoro zmuszasz mnie do wydawania rozkazów, będę to czyniła. Albo zapewnimy mu bezpieczeństwo, albo zostaniemy tu razem z nim.

- Rosamund, stracimy mnóstwo czasu.

- Dziwne. Na chwilę przed jego przybyciem zapewniałaś mnie, że czasu mamy pod dostatkiem i że wcale nie musimy się śpieszyć.

- W gruncie rzeczy tak, ale uwzględniając to opóźnienie...

- Opóźnienie nadrobimy. Tymczasem zawracamy do ruin. To już postanowione. Nie zostawię go na pastwę losu.

Twarz Daveya wykrzywiła się w brzydkim grymasie.

- Ten wiking, widzę, rozpałił cię do czerwoności, skoro puszczasz się na takie ryzyko.

Odparła lodowatym tonem:

- Zabraniam ci mówić do mnie w ten sposób. A teraz do roboty. Musimy go wrzucić na konia. Nie będzie to łatwe, jednak we dwójkę, myślę, jakoś sobie poradzimy.

Tłumiąc wściekłość, posępny niczym noc, Davey pochylił się nad Agravarem.

Najpierw było doznanie fizycznego bólu. Bolały go wszystkie mięśnie. Ból był również w środku i rozsadzał mu głowę.

Potem poczuł to dotknięcie. Pieszczotliwe i kojące. Czyjaś dłoń spoczywała na jego czole.

Z wysiłkiem otworzył oczy. Zobaczył zatarte kontury czyjejś twarzy, która jednak stopniowo nabierała wyrazistości. Rozpoznał Rosamund. Na jej drżących wargach błąkał się uśmiech, lecz brązowe oczy pozostawały smutne.

- Co się stało? Gdzie jesteśmy? - spytał, marszcząc brwi.

Jej spojrzenie umknęło w bok. Po uśmiechu nie pozostało śladu.

- Zostałeś uderzony.

- Przez kogo? - Próbował wstać, lecz ból buchnął oślepiającym płomieniem, tak iż omal na powrót nie zapadł w nicość. Następnie uświadomił sobie, że ma skrępowane ręce i nogi.

- Leż spokojnie, Agravarze - rzekła prosiącym tonem.

Rozejrzał się wokół. Byli w kościele, częściowo zrujnowanym i pozbawionym szyb w oknach. Tu i ówdzie piętrzył się gruz lub wielkie ciosane kamienne bloki. W szparach i pęknięciach posadzki rosła trawa. Jeden z filarów przypominał złamany kostur żebraka. Pod żebrowanym stropem trzepotał się jakiś ptak.

- Co to za miejsce? - spytał. - Rosamund, rozwiąż mnie. Dlaczego zwlekasz?

- Nie mogę. Proszę, uspokój się. Nie pozwolę cię skrzywdzić.

Wróciła mu pamięć ostatnich wydarzeń.

- Całowałaś mnie! A potem ktoś z tyłu walnął mnie po łbie.

- To było straszne. Wstrzymał oddech.

- Pocałunek?

- Nie! To, co zrobił mój człowiek.

- Aha! Ten błazen w czerwonym kapeluszu. Od początku byłaś z nim w zмовie, czyż nie tak?

- Ma na imię Davey.

- Czy jest zakonnikiem? Zdaje się, że zanim straciłem przytomność, widziałem nad sobą człowieka z tonsurą.

- Ostatnio udawał zakonnika.

- Rozumiem. Od pewnego czasu pałętał się jakiś braciszek po zamku. Czy to z nim się spotykałaś? Ze swoim kochankiem?

- Jest tylko moim sługą! - rzekła z mocą.

Poczuł ogromną ulgę. Wiedział już, że mylił się co do Rosamund, ale nie chciał, by okazała się kobietą niegodną szacunku i miłości.

- Chyba czas, żebyś mi wyjaśniła pewne sprawy. Gładziła i pieściła go niczym matka i kochanka w jednej osobie. Była w tym słodczy, troska i czułość. Poczuł podniecenie.

- Davey pomaga mi w ucieczce.

- Dlaczego i dokąd uciekasz?

- Opuszczam Anglię. Skłania mnie do tego moja sytuacja.

Uniosła wzrok ku niebu, jakby stamtąd oczekując pomocy i wsparcia. Bardzo trudno było jej przejść do konkretów. Przed nikim jeszcze nie odsłaniała swej zbolalej duszy.

- Znienawidzisz mnie, jeśli powiem ci o sobie wszystko.

Opadł na ziemię, kładąc głowę na czymś, co służyło mu za poduszkę, a co było kupką z liści, trawy i ziół. Ta troskliwość Rosamund ujęła go i wzruszyła.

- Opowiadaj - rzekł ze ściśniętym gardłem. - Zaspokój wreszcie moją ciekawość.

Długo milczała, nim otworzyła usta.

- Nie chcę wychodzić za Roberta. To już wiesz.

- Ale nie znam powodów tej niechęci.

- Wiem, że to szlachetny i dobry człowiek. A mimo to nie wyobrażam go sobie jako mojego męża. Nie chcę należeć do żadnego mężczyzny. Widziałam rzeczy, które zrodziły we mnie urazę i strach. Moja matka...

Urwała, a jej ciałem wstrząsnął bezgłośny szloch. Powoli uspokajała się.

- Pozwól, że zacznę od początku. Kiedy skończę, na pewno lepiej będziesz mnie rozumiał. Matka wyszła za Cyrusa z Hallscroft, gdy miałam trzy lata. Mój ojciec zginął w jednej ze zbrojnych utarczek na granicy z Walią. Matka wróciła ze mną do domu swoich rodziców. Gdy minął okres żałoby, dziadek nakazał matce poślubić Cyrusa. Niewiele o nim wiedział, ale nawet gdyby było inaczej, i tak nie miałyby to większego znaczenia. W rok po ślubie matka uciekła od męża. Wyznała swojemu ojcu, jaką gehenną jest dla niej to małżeństwo. Wysłuchawszy jej, kazał zaprzęgać konie i osobiście odstawił ją do Hallscroft. Na pożegnanie rzekł, że miejsce żony jest u boku męża.

Agravar nie spuszczał wzroku z Rosamund. Chciał ulżyć jej i nawet znalazł odpowiednie słowa, jednak w ostatniej chwili zrezygnował z nich. Lepiej było pozwolić jej mówić.

- Poznałeś ojca Leona. W Hallscroft był on jeszcze najmniejszym utrapieniem. Tyle że sącył mi do ucha jad swoich nauk. Był moim wychowawcą i wszystko, co mówił, zyskiwało

aprobatę Cyrusa. Celem ich było przerobić mnie na inną istotę.

Agravar zazgrzytał zębami. Zapłacił za to potwornym bólem, który mało nie rozłupał mu czaszki.

- Rosamund, rozwiąż mnie. Drgnęła. Był pewien, że tego chce.

- Nie mogę.

- Nie zrobię ci krzywdy, przysięgam. - Pragnął ją objąć i przytulić do serca. -

Wystarczy, że rozwiążesz mi ręce. Proszę.

Przeżyła chwilę wahania, zanim zdecydowanie pokręciła głową.

Znów opadł na poduszkę z liści i pachnących ziół. Dobrze. Mów dalej.

Pogrążyła się w milczeniu. Już zaczynał myśleć, że swoją prośbą zmącił bezpowrotnie nastrój wyznania, gdy wreszcie usłyszał jej głos.

- Jak powiedziałam, ojciec Leon nie był najgorszy. Najgorsze było to, co musiała przeżywać moja matka. Wszystko to rozgrywało się na moich oczach. Moja matka była torturowana, tak, torturowana. Z okrucieństwem Cyrusa nic nie mogło się równać. Była więźniem w swoim własnym domu. Psy myśliwskie Cyrusa cieszyły się większą niezależnością niż ona. Ojczym kontrolował każdy jej krok. Nie mogła wyjść do ogrodu bez jego pozwolenia. Czasem mijały tygodnie, nim wybłagała taką zgodę, której udzielał niczym największego dobrodziejstwa, do tego stopnia fałsz przeżarł mu duszę. Wciąż była na jego rozkazy, wciąż w pogotowiu. Wołał, a ona musiała natychmiast odpowiadać, żądał i rzecz musiała być zrobiona bezzwłocznie. Nie tolerował najmniejszego spóźnienia, karał najmniejszą niedoskonałość.

Z trudem przełknęła ślinę. Wciąż patrzyła gdzieś w przestrzeń.

- Zaszła w ciążę. Pewnego wieczoru siedzieliśmy przy kolacji. Ze względu na swój stan często musiała chodzić za potrzebą. Najgrzeczniejszymi słowy poprosiła go o po-

zwolenie. Był wtedy w wyjątkowo złym nastroju. Odmówił, zmuszając ją tym samym do pozostania. Cierpiała katusze, aż wreszcie wybuchnęła płaczem. Wpadł w furję, skrzyczał ją, po czym zajął się rozmową z ojcem Leonem. Minęła godzina i moja biedna matka po rozpaczliwej walce poddała się naturze. Nie można wyobrazić sobie większego upokorzenia. A jej mąż? Jej mąż wtedy po raz pierwszy przy świadkach uderzył ją.

Broda Rosamund drżała, a powieki zatrzepotały. Jednak i tym razem w jej wzniesionych ku łukom sklepienia oczach nie pojawiły się łzy.

- Zabił ją wkrótce potem. Często zadawałam sobie pytanie, czy czasami moja matka w końcu nie zbuntowała się. Czy nie zachowała się w sposób, który on uznał za prowokacyjny, i stracił nad sobą kontrolę.

- Dobry Boże, Rosamund, to po prostu koszmar. Czy ktoś wiedział lub domyślał się, że Cyrus jest mordercą?

- Zepchnął ją z murów obronnych, gdzie czasem zażywała przechadzki i oddychała świeżym powietrzem. Spacerunki te były jak balsam na jej rany. Tam na murach spokój ogarniał jej udręczone serce, a spojrzenie biegło ku gwiazdom. Dobrze, że ostatnie chwile życia spędziła pod rozgwieżdżonym niebem.

- Och, Rosamund, tak mi przykro. - Napiął mięśnie, usiłując uwolnić się z pęt. Miał poczucie, że nieco poluźnił więzy na nadgarstkach. Wprędce jednak opuściły go siły i musiał zaprzestać dalszych prób.

Wytarła łzę spływającą jej po policzku.

- Jak widzisz, nie mogę wyjść za mąż. Nie mogę złączyć się z mężczyzną, który zgotuje mi los podobny do losu mojej matki.

- Chyba nie muszę cię przekonywać, że nie wszyscy mężczyźni są podobni do Cyrusa?



- A skąd to można wiedzieć? Kto patrzył z zewnątrz na naszą rodzinę, ten nie domyślał się prawdy. Cyrus był prawdziwym sztukmistrzem, człowiekiem chytrym i przebiegłym. Gdy moja matka pokazywała się gościom posiniaczona, zawsze miał jakieś wytłumaczenie. Jego ludzie uwielbiali go. Owszem, wiedzieli, że ich pan ucieka się czasem do fizycznego karania swojej małżonki, lecz w ich pojęciu było to przywilejem mężów, którym los zesłał uparte bądź niechlujne towarzyszek życia.

Spuściła wzrok na swoje kurczowo splecione dłonie. Agravar skorzystał z chwili przerwy i rzekł:

- Jestem pewien, że w Hallscroft żyli też dobrzy ludzie. Ludzie, którzy mogliby służyć pomocą, gdyby poznali prawdę. Po prostu nie mogę uwierzyć, by wszyscy mieszkańcy byli zepsuci bądź ślepi na to, co się tam działo.

Parsknęła niczym kotka.

- O tak, żyli na zamku również szlachetni i mądry ludzie. Tyle że ich cała mądrość i szlachetność zawierała się w tym, że spuszczaali głowy, gdy moja matka pojawiała się w holu, kulejąc lub z sińcem na twarzy. A gdy nie pojawiała się wcale, bo akurat jej pani małżonek zmasakrował ją, nikt z tych mądrych i szlachetnych nie zainteresował się jej nieobecnością.

To po prostu nie była ich sprawa. Tak, Agravarze, nie spotkałam w Hallscroft ani jednej osoby, do której bym mogła ufnie wyciągnąć ręce.

- A jednak ten Davey ci pomógł. Kto to jest?

- Syn drobnego dzierżawcy rolnego. Mimo niskiego stanu, zdobył ostrogi rycerskie.

Był przyjacielem mojego brata, Harolda, który zmarł, gdy miałam dziesięć lat. Często chowałam się w spiżarni, a oni odnajdywali mnie tam, po czym bawiliśmy się wspólnie. Po śmierci Harolda pozostał moim przyjacielem, zawsze gotowym nieść mi pomoc. Gdy zamykano mnie w moim pokoju na długie godziny, a czasem nawet dni, bym przemyślała

jakaś lekcję ojca Leona, wtedy Davey przemyślał mi z biblioteki różne manuskrypty, gdyż wiedział, że lubię czytać. Kilka razy skłamał, by tylko uchronić mnie przed karą. Był mi podporą i tarczą. Gdyby Cyrus dowiedział się o naszej przyjaźni, strach myśleć, co wtedy by nas spotkało.

Agravar poczuł, iż jakaś zimna dłoń zaciska się na jego szyi.

- Czy Cyrus podniósł na ciebie rękę?

- Nie, jeśli nie liczyć zwykłych klapsów, jakie daje się dzieciom - odparła, czując, że mija czarna melancholia, która dotąd zaciemniała jej duszę. - Jego obsesją była moja matka. Traktował ją jak swoją własność. Ja się nie liczyłam. Niekiedy miałam wrażenie, że nawet o mnie nie pamięta. Przypomnił sobie o swojej pasierbicy dopiero wtedy, gdy zapragnął sojuszu z lordem Robertem. Ja swoją osobą miałam spoić ten sojusz. - Mięła koszulę Agravara, zupełnie nie będąc tego świadoma - We snach bardzo często zabijałam swojego ojczyzna. Szkoda, że nie stało się tak w rzeczywistości.

- Nie stało się, bo wcale tego nie chciałaś.

- Skąd możesz o tym wiedzieć?

- Och, Rosamund, czy nie czujesz tego wzajemnego przyciągania, jakie istnieje między nami? Mamy pokrewne charaktery i dusze. Nie znając się, właściwie znamy się od lat. Jesteśmy ulepieni z jednej gliny. Rozumiemy siebie nawzajem, a czasem nawet potrafimy czytać w swoich myślach.

Spochmurniała, co widać było przede wszystkim w jej oczach.

- Jak możesz mówić takie niestworzone rzeczy. Nie można czytać w myślach drugiej osoby. Ludzie są nieprzenikalni dla siebie. Dlatego nie oczekuję od innych ani zrozumienia, ani też pocieszenia.

- A jednak coś takiego otrzymasz ode mnie. Nie będzie to litość, którą gardzisz.

Będzie to właśnie pełne zrozumienie. Wiem, co przyniata ci serce, gdyż niegdyś i ja przeżywałem coś podobnego.

- Więc powinieneś wiedzieć, dlaczego muszę stąd wyjechać. Jeżeli grzechem jest zerwanie zaręczyn, chętnie za ten grzech odpowiem przed Bogiem. Nie pragnę żadnego mężczyzny.

- Pragniesz mnie, Rosamund - rzekł w nagłym olśnieniu.

Nisko opuściła głowę i wybuchnęła płaczem. Nagle poderwała się i uciekła.

Nie odbiegła daleko. Stała przy kolumnie, z czołem wspartym o zimny kamień.

Pragnął jej, lecz nawet nie miał siły jej prosić, by wróciła do niego. Ogarniała go wielka słabość.

- Obawiam się - rzekł głosem tak cichym, że trudno było mu mieć nadzieję, iż słowa te dotrą do jej uszu - że będę musiał zasnąć. Nie wiem też, co mnie bardziej osłabiło, twój pocałunek czy też ów zdradziecki cios w głowę.

Powiedziawszy to, osunął się w ciemność.

## **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

Jego słowa głęboko zapadły jej w świadomość i rozpętały burzę myśli.

„Pragniesz mnie”.

O tak, pragnęła go, ale czy mogło wyniknąć z tego jakieś dobro?

Westchnęła i wyjrzała przez wyłom w murze. Gdzie podziewał się Davey? Powinien już dawno wrócić. Gdy uparła się, że zostanie przy rannym, dopóki nie odzyska świadomości, Davey wskoczył na konia i pojechał na miejsce spotkania z przewoźnikiem, by uprzedzić o nieprzewidzianej zwłoce i umówić się na późniejszy termin. Słońce przetoczyło się już na zachodnią stronę, a jego wciąż nie było. Chyba nie przydarzyło mu się jakieś nieszczęście. Czasem rzucała okiem na śpiącego Agravara. Zadbala już o to, by nie było mu zimno,

okrywając i otulając go derką. Być może nawet wcale jej nie chodziło o ochronę przed chłodem, gdyż dzień był słoneczny i ciepły, tylko o pewien dowód troski. Po prostu nie mogła już patrzeć na leżącego na ziemi Agravara, który wyglądał, jakby odwrócił się od niego cały świat.

Był wyjątkowo urodziwym mężczyzną. A we śnie jeszcze piękniejszym, gdyż wtedy rysy jego twarzy wygładzały się, a ciało przestawało porażać swą siłą. Nie mogła patrzeć na niego bez bólu.

Najlepiej więc było nie mieć go przed oczyma. Usiadła na popękkanym progu świątyni i zaczęła wyglądać Daveya.

Obudziwszy się, stwierdził, że znajduje się w tym samym miejscu i że jego sytuacja nie uległa zmianie. Wciąż był skrępowany i bezsilny. Kiedy spał, okryto go derką, od której biła woń siana zmieszana z ostrym zapachem końskiego potu. Było mu pod tym okryciem niemożliwie gorąco.

Ponad nim wznosił się nagi kamienny szkielet świątyni. Tu i ówdzie poprzez wyłomy, pęknięcia i otwory okienne prześwitywało błękitne niebo.

Był sam, lecz rozejrzawszy się, dostrzegł Rosamund siedzącą u wejścia do kościoła.

Przywołał ją, a ona podeszła z kubkiem wody.

- Masz, pij - powiedziała.

Woda była zimna i smaczna. Od razu poczuł się lepiej. Głowa wciąż bolała, nie na tyle jednak, by nie mógł jasno myśleć. Bardziej już dolegały zdrętwiałe członki. Sznur wpijał się w ciało i nie pozwalał na najmniejszy ruch.

- Gdzie ten twój człowiek? - zapytał. - Jak długo spałem?

- Tylko kilka godzin. Davey pojechał w dół rzeki. Mieliśmy się tam spotkać z pewnym człowiekiem, który... - Nagle przerwała, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie jest

mądrą rzeczą zapoznawać go z planem ucieczki.

Jego śmiech pozbawiony był wesołości.

- Pragnąłem jedynie zaspokoić ciekawość, bo jak widzisz, przeszkodzić wam w niczym nie mogę.

- Wolę przeceniać, niż nie doceniać sił i możliwości Agravara Wikinga - odparła lekkim tonem.

- Przypisujesz mi moc, której nie posiadam, zapewniam cię - rzekł i pomyślał, że nigdy nie należy poddawać się bez walki. Przed zaśnięciem poluźnił nieco więzy na nadgarstkach, teraz ponowił próbę. Sznur, rzecz jasna, nie został zerwany, na tyle się jednak rozciągnął, że Agravar mógł zmienić położenie dłoni i sięgnąć palcami do supła.

- Wciąż boli cię głowa? - spytała Rosamund, zanurzając mu palce we włosy i obmacując nimi obrzeżenie rany.

Było to bardzo przyjemne, ten jej dotyk, i dla niego gotów był narażać się na dalsze rany i skaleczenia.

- Jakoś się z tego wyliżę - odparł, po czym przypomniał sobie, że nie wie o niej jeszcze wielu rzeczy. - Dokąd zamierzasz wyjechać, Rosamund? - Widząc 'jej wahanie, roześmiał się. - Nie obawiaj się, nie pojedę za tobą. Nie zapominaj o moim położeniu. Nie jest ono godne zazdrości.

- Opuszczam Anglię.

- To już mi powiedziałaś. - Namacał supeł i ustalił pozycję obu końców sznura. Teraz liczyła się precyzja i cierpliwość. Nie mógł też zdradzić najmniejszym ruchem ciała lub wyrazem twarzy, że knuje coś przeciw tym, którzy go związali. - Jedziesz na północ? Na południe?

- Na kontynent, na drugą stronę kanału - odparła, po czym zacisnęła usta.

- Nie musisz tego robić.

- Nie muszę? - Spojrzała nań jak na pomyłonego. - Jakie inne wyjście proponujesz?

- Masz przyjaciół, którzy ci pomogą.

- Ludzie ci zapewne uważają się za dobrych i prawych, ale gdy nadejdzie czas próby, nie zabraknie im pretekstów, by poskąpić drugiemu miłości chrześcijańskiej.

- Sądzisz, że lady Veronica to ten typ człowieka?

Cios był celny. Rosamund wstrzymała oddech i zmarszczyła brwi. Widać było, że nie ma ochoty ciągnąć tego tematu.

Agravar był jednak uparty.

- A co z Alayną? Znam ją dostatecznie długo, by zapewnić cię, że nie jest to osoba małoduszna. Stać ją na wielkie poświęcenie. Ludzie, o których mówimy, nigdy cię nie zdradzą Rosamund. Wróc do nich i powierz się ich opiece.

- A co oni mogą dla mnie zrobić? W moim małżeństwie z sir Robertem nie ma nic naganego. Wszystko mieści się w granicach prawa i panującego obyczaju. Cyrus może czynić ze mną co tylko zechce. Sądzisz, że da się wrzucić i zwróci mi wolność? Zapewniam cię, że jest - to równie nieprawdopodobne jak to, żeby nagle ptaki przestały fruwać. - Wbiła wzrok w Agravara. - Któż może wymusić na nim zmianę decyzji?

- Nie zawahałbym się walczyć o ciebie.

- Nie, Agravarze - odparła ściszym głosem - sama muszę walczyć o siebie, o swoją wolność i niezależność. Wyjadę stąd i zamieszkać w miejscu, gdzie już nikt mnie nie skrzywdzi.

- I jak to sobie wyobrażasz, skoro weźmiesz ze sobą swego największego wroga - niepokój, który jest w tobie? - spytał wyzywająco.

- Mówisz bzdury - odparowała, lecz wydawała się zmieszana i cokolwiek zbita z

tropu.

- Naprawdę? Otóż zdarza się, Rosamund, że nie potrafimy oderwać się od bolesnej przeszłości, nawet jeżeli nie ma już naszych prześladowców.

Patrzyła nań w zamyśleniu. Na zewnątrz rozległy się czyjeś kroki, lecz Rosamund nie usłyszała ich. Agravar całkowicie absorbował jej uwagę.

- Uwolnij mnie, proszę. Pozwól sobie pomóc. Na pewno uda nam się wspólnie coś wymyślić. Davey to jeszcze chłopiec.

- Pomożesz mi w ucieczce, Agravarze? - spytała, przywiązana do marzenia, z którym żyła przez ostatnie kilka lat. - Obiecasz mi to?

- Ucieczka nie jest żadnym rozwiązaniem. Ale, powtarzam, gotów jestem wywalczyć dla ciebie lepszą przyszłość.

- Prawo jest przeciwko nam. Czy nie widzisz, że mój plan jest jedynym rozsądnym rozwiązaniem?

Wpadające z ukosa światło kończącego się dnia oblało ją złocistą poświatą rozniecając błyski w pysznych jedwabistych włosach. Im bardziej jednak jaśniała uroda, tym większa wydawała się jej samotność, tym głębszy ból.

Pojawił się Davey i energicznym krokiem podszedł do swej pani. Zbliżył usta do jej ucha i długo coś mówił. Odpowiedziała mu w ten sam sposób. Do Agravara nie dotarło ani jedno wypowiedziane przez nich słowo.

Wrócił do prób rozsupłania węzła. Jego zamiary zdradzały ruchy ramion. Pilnował się jednak, by wówczas nikt na niego nie patrzył. Znieruchomiał, bo właśnie Davey skierował nań nieprzyjazne spojrzenie.

Był jakiś posmak okrucieństwa w tym, co uczynili Agravarowi. Powalenie go i związanie, a następnie pozostawienie w ruinach, wszystko to dokonało się lub miało się

dokonać w obecności Rosamund, a zarazem przy jej wewnętrznym sprzeciwie. Wiedziała, że rana się zagoi i wiking wróci do pełni sił. Zresztą krwawienie już ustało i Agravar coraz rzadziej krzywił się z bólu. A jednak coś się w niej buntowało przeciwko takiemu postępowaniu z człowiekiem, od którego dotąd doświadczyła jedynie dobra. Tylko na zasadzie czysto rozumowego przeświadczenia zgadzała się z Daveyem.

Za kilka godzin mieli spotkać się z właścicielem łodzi, co oznaczało, że ruszyć w drogę muszą już teraz. Dalsza zwłoka groziła zaprzepaszczeniem całego planu.

Uklękła przy wikingu i rzekła:

- Gdy tylko znajdziemy się na łodzi, wyślę przez umyślnego wiadomość do Gastonbury, gdzie mają cię szukać. Musisz uzbroić się w cierpliwość. Najpóźniej jutro rano pojawi się tu lord Lucien.

Potrząsnął głową. W jego jasnych włosach pełno było trawy, paprochów i grudek ziemi. Zakrzepła krew już zaczynała się kruszyć.

- Nie powinnaś ryzykować. Lucien i tak wkrótce mnie odnajdzie.

- Jesteś ranny i potrzebujesz opieki.

- To otarcie nazywasz raną? Trzeba było mnie widzieć, gdy wracałem z różnych wypraw wojennych i zbrojnych wypadów. - Uśmiechnął się, ona zaś pomyślała, że więcej takich uśmiechów, a nie znajdzie w sobie sił na opuszczenie go.

- Wybacz mi, że doświadczasz przeze mnie wszystkich tych dolegliwości - powiedziała z najszczerzym smutkiem.

W jego oczach nie było śladu urazy.

- Niech Bóg nie poskąpi ci swoich łask, Rosamund. Rozległ się głos Daveya. Wołał swoją panią. Czas było ruszać w drogę.

- Dziękuję - rzekła.



- Za co? - spytał Agravar.

Co za pytanie! Za wszystko. Za to, co dla niej zrobił. Co jej ofiarował z siebie. Za to wreszcie, że był taki, a nie inny.

- Rosamund! Jedziemy!

- Jeszcze chwila - odparła, podnosząc głos - i nie krzycz na mnie, Davey.

Trzeba było się rozstać. Wszystko, co miało być powiedziane, zostało już powiedziane. Mogła mieć w Agravarze przyjaciela, a pozostawiała wroga, gdyż właśnie tak go potraktowała. Oderwała wzrok od jego smutnej twarzy, odwróciła się i odeszła.

Gdy zapoznała Daveya ze swoim zamysłem, młody rycerz nie krył irytacji.

- Nie wiem, po co chcesz podjąć to dodatkowe ryzyko, Rosamund.

- Żadnych sprzeciwów - powiedziała stanowczo. - Wyślę wiadomość do Gastonbury, zanim odbijemy od brzegu. To już postanowione.

Zacisnął zęby, ale nic nie powiedział. Odezwał się dopiero wtedy, gdy siedzieli już w siodłach.

- Chciałbym się jeszcze rozejrzeć, czy nie nadciąga jakiś patrol. Stąd dalej można sięgnąć wzrokiem niż w lesie.

- Czy mam tutaj na ciebie *zaczekać*?

- Nie. Dogonię cię bez trudu. Trzymaj się tylko szlaku biegnącego wzdłuż rzeki. Po lewej będziesz miała skały, a po prawej wodę. W pewnym miejscu przegrodzi ci drogę niewielki strumień. Tam na mnie zaczekaj. Oczywiście, powinienem dołączyć do ciebie dużo wcześniej.

Kiwnęła głową i ruszyła. Gnębiły ją wyrzuty sumienia. W pobliżu miejsca, gdzie mieli wejść na pokład łodzi, leżała wioska, wiedziała to od Daveya. Z pewnością znajdzie tam kogoś, kto za odpowiednią opłatą podejmie się zanieść wiadomość na zamek.

Obiecała i musi dotrzymać słowa.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Niewiele już brakowało do rozwiązania supła.

Dzień się kończył. Słoneczna tarcza skryła się za horyzontem, jakby ściągana w dół swoim własnym ciężarem. Od ścian i kątów świątyni zaczynały się rozpełzać cienie. Agravar nie ustawał w próbach odzyskania wolności.

Czas naglił. Z każdą chwilą Rosamund coraz bardziej oddalała się od niego. Na szczęście wiedział, że jechała w dół rzeki, gdyż sama mu to powiedziała. Znał więc drogę i kierunek, na razie jednak zbędna to była wiedza, skoro nie mógł puścić się za nimi w pogoń. Brakowało mu już cierpliwości, a właśnie cierpliwość była mu najbardziej potrzebna. Zagryzał wargi do krwi, byleby tylko nie poddać się pokusie szarpania więzów. Skutek tego byłby wyłącznie taki, że węzeł na powrót by się zacisnął. Tymczasem pozostało mu już tylko przesunąć przez obluzowaną pętlę jeden z końców sznura. Nie było to łatwe, ale też nie było niemożliwe.

Usłyszał czyjeś kroki. Natychmiast znieruchomiał, uniósł głowę i zamienił się w słuch. Szelest liści z każdą chwilą stawał się wyraźniejszy. Ktokolwiek nadchodził, nie skradał się, tylko szedł śmiało.

- Lucien? - rzucił w półmrok Agravar, lecz odpowiedziała mu cisza, zakłócana jedynie owymi niespiesznymi krokami.

- Kto tam? - spytał znowu, choć czuł, że i tym razem nic otrzyma odpowiedzi.

Z ciemności wyłonił się Davey. Na jego wargach błąkał się uśmiech. W ręku trzymał nóż, taki, jakiego się używa do sprawiania ubitej zwierzyny.

Agravar zrozumiał wszystko w jednej chwili. Musiał natychmiast oswobodzić rękę, inaczej zginie. Już nie krył się ze swoimi próbami uwolnienia się z pęt.

- Próżny wysiłek - rzekł Davey, nie podnosząc głosu.

- Moich więzów nie uda ci się rozwiązać.

Jeszcze zobaczymy, ty zadufany w sobie mały łajdaku, pomyślał Agravar, po czym spytał, chcąc zyskać na czasie:

- Czy Rosamund wie, że tu jesteś?

- Rosamund nie ma pojęcia, co jest dla niej najlepsze - padła odpowiedź.

- Nie będzie zachwycona tym dowodem nieposłuszeństwa.

- Obaj jesteście rycerzami, a więc ludźmi światowymi. Człowiek światowy wie, co powinien uczynić.

- Słyszałem, że jesteś synem drobnego dzierżawcy. Od kiedy to synowie drobnych dzierżawców ziemskich są ludźmi światowymi? - spytał, wiedząc, że drażni rycerza, który w tej chwili okrążał go niczym drapieżnik ofiarę.

- Zmąę niskiego urodzenia można zetrzeć siłą woli. Liczy się charakter i zdolności, nie zaś pochodzenie. Czyż nie mam racji?

W tej kwestii Agravar skłonny był się z nim zgodzić.

- Przyznaję, że ja również nie mogę pochwalić się dobrym urodzeniem, jeśli obaj wiemy mniej więcej, co ten termin oznacza. A zatem wybrałeś awanturnicze życie rycerza, Davey. Stałeś się rycerzem, by bronić Rosamund i jej służyć. Czy jesteś w niej zakochany?

Był jeszcze młodzieniaszkiem, gdy jednak zmrużył oczy i zacisnął usta, przybyło mu lat. Agravar pomyślał, że chyba popełnił błąd, traktując go do tej pory lekceważąco.

- Nie wiem, dlaczego moja pani darzy cię sympatią, wiem natomiast, że to może okazać się dla niej zgubne. Do mnie, jej przyjaciela i obrońcy, należy zasłonić ją tarczą przed wszystkim tym, co jej zagraża, a w czym ona nawet nie dostrzega groźby. - Powiedziawszy to jednym tchem, podniósł sztylet.

- Darujmy sobie wszystkie te bzdury o rycerskiej służbie i zasłanianiu tarczą. To nie dla Rosamund chcesz popełnić teraz morderstwo, tylko dla siebie. Twoją ręką kieruje egoizm, Davey. Pragniesz jej, ona zaś pragnie mnie.

Cios był celny. Davey rzucił się do przodu, po czym nagle zatrzymał. Nie chciał działać na zasadzie impulsu. Wszystko wszak przemyślał.

- To prawda, że jesteś cierniem w moim boku. Teraz zabieram ją do Italii lub, jeśli taka będzie jej wola, do Francji.

- Tylko że ona wcale nie chce jechać z tobą. Chce zostać tutaj, o czym dobrze wiesz. Pragnie pozostać ze mną w Anglii.

Davey wykrzywił szyderczo twarz.

- Zupełnie pomieszało ci się w głowie, wikingu. Przypominam zatem, że nie możesz jej mieć, gdyż należy do Roberta. Wy, szlachetnie urodzeni głupcy, traktujecie zaręczyny, jakby to był już ślub. Wynika z tego, że Rosamund nigdy nie będzie twoja.

Spokojnie, tylko spokojnie, upominał siebie Agravar.

- Jeżeli taka właśnie jest prawda, a chyba udało ci się trafić w sedno, to Rosamund również nie może być twoja, mój przyjacielu.

Davey wydał dziki okrzyk i znów podniósł dłoń ze sztyletem. Agravar czekał, przesuwając rozstrzygnięcie na ostatnią chwilę. Pragnął mieć Daveya oszalałego z wściekłości, działającego pod wpływem emocji. I takim właśnie widział go w tej chwili - z płonącymi oczyma i obnażonymi zębami. Istny wilk w skoku.

Ostrze spadło na Agravara lotem błyskawicy, nie na tyle jednak szybko, by nie mógł zdążyć przekręcić się na ziemi, jak to niejednokrotnie już robił w ćwiczebnych potyczkach z Lucieniem. Cios, który miał go pozbawić życia, chybił celu. Jednak ze względu na skrępowane ręce i nogi Agravar wykazał się pewną powolnością. Ostrze zanurzyło się w jego

boku aż po rękojeść.

Davey patrzył rozszerzonymi oczyma na krew tryskającą z rany, przerażony tym, co zrobił. Agravar jednak wiedział, że młodzian wprędce odzyska panowanie nad sobą i dokończy dzieła.

Nie zwlekał ani sekundy. Ostrze, przebiwszy mięsień, wystawało z ciała połową swej długości. Starając się nie myśleć o bólu, jaki to może sprawić, zbliżył do wyostrzonej stali opatane sznurem nadgarstki i z całych sił pociągnął.

Był wolny.

Wyrzucił do przodu ręce, dosięgając głowy Daveya. Tamten wystrzelił w górę niczym wyrzucony z katapuły.

Agravar ujął za rękojeść sztyletu i szarpnął, pozwalając sobie przy tym na straszny ryk dla zagłuszenia i poniekąd zmniejszenia bólu. Pozostały do przecięcia więzy na kostkach.

Już dotykał ostrzem sznura, gdy nagle otrzymał potwornie silne kopnięcie w podbródek. Padł na wznak, a Davey rzucił się na niego, próbując odebrać mu broń. Agravar, chociaż ogłuszony, skierował ostrze ku górze, tak iż wbiło się ono w ramię niedoszłego mordercy. Davey odskoczył i spojrzał na Agravara z takim wyrzutem, jakby nigdy mu nie przyszło do głowy, że ten może go zranić.

Agravar dźwignął się do pozycji siedzącej, a w jego oczach płonęła groźba. Davey cofał się i widać było, że ogarnia go coraz większy strach. Agravar mógł czytać w jego myślach. Miał przeciwko sobie uzbrojonego i prawie uwolnionego z pęt potężnego wojownika, sam zaś był bezbronny.

Wniosek sam się narzucał. Davey rzucił się do ucieczki. Po chwili Agravar stał już na nogach.

Ziemia zakołysała się pod nim. Zatoczył się. Przeklął i przycisnął dłonią ranę w boku.

Zdołał zrobić zaledwie kilka kroków, gdy doświadczył ponownego zawrotu głowy. Tym razem padł na kolana.

Niemożliwe. Ostrze przebiło tylko mięsień, skąd więc ta wielka słabość, która go opanowała?

Rozdarł koszulę i spojrzał na ranę. Obficie broczyła krwią. Być może coś w środku zostało uszkodzone. Próbował przypomnieć sobie rozmieszczenie wewnętrznych organów człowieka i okazało się to zadaniem ponad jego siły. Myśli rozpiechły się, a głowa stała się tak lekka, jakby wypełniało ją samo powietrze.

Opadł na plecy i tak już pozostał. Zanim stracił przytomność, pomyślał o derce, którą był przedtem przykryty. Nagle bowiem ogarnął go przeraźliwy chłód.

Rosamund od dziecka marzyła o wolności. Taką wolność bujającego w przestworzach ptaka miała dać jej ucieczka na kontynent. Ani pomyślała, że może temu towarzyszyć smutek.

Wtedy nie wyobrażała sobie też mężczyzny takiego jak Agravar.

Lepiej o tym nie myśleć.

- Niebawem powinni tu być - powiedział Davey. Powrócił z rozpoznania terenu z krótką wiadomością, że nie zauważył niczego podejrzanego. Dziwne wszak było to, iż na powiedzeniu tego poprzestał, choć należał do ludzi rozmownych i lubił się przechwalać swoimi czynami.

- Jestem głodna. Czy mógłbyś mi przynieść coś do zjedzenia?

Potrząsnął głową. Wyglądał blado i jakoś mizernie.

- Sądziłem, że o tej porze będziemy już na łodzi. Nie pomyślałem o zabraniu zapasów.

- Nie szkodzi. Zaczekam. To nie potrwa długo.

Zapadła cisza. Żadne z nich nie miało ochoty na rozmowę. Davey wstał i zbliżył się do brzegu. Rosamund nie spuszczała z niego wzroku.

- Niebawem zrobi się zupełnie ciemno. Myślisz, że mimo to przyplyną? - spytała.

- Jeżeli nie uda się im dzisiaj, to na pewno będą tu jutro rano. Wszystko zależy od tego, czy płynąc w górę rzeki, natknęli się na jakieś patrole. Im i nam zależy na dyskrecji.

- Może powinniśmy przygotować się do spędzenia tu nocy - powiedziała.

Davey przez chwilę się zastanawiał, zanim kiwnął głową.

- Na szczęście mamy derki, w które możemy się owinać.

Nie powiedziała mu, że okryła swoją Agravara. Podeszła do wielkiego świerku i usiadła na mchu porastającym jego wystające z ziemi korzenie.

Przypomniała sobie tamten dzień, gdy wybrała się wraz z Agravarem do lasu, gdzie też przysiedli na mchu, a rozmawiając, co chwila wybuchali śmiechem. Donośny śmiech wikinga dotychczas brzmiał jej w uszach.

Zamknęła oczy w nadziei, że zaśnie.

Zapadła ciemność i sen rzeczywiście nadszedł. W nocy męczyły ją koszmary. Budziła się i spoglądała w górę, kojąc udręczoną duszę widokiem rozgwieżdżonego nieba, O świcie była już na nogach. Fale pluskały o kamienisty brzeg, lecz łodzi wciąż nie było widać.

Ujrzała żagiel godzinę później.

Podbiegła do śpiącego wciąż towarzysza i chwyciwszy go za ramię, potrząsnęła nim.

- Davey, nadpływa nasza łódź. Wstawaj.

Poruszył się, ale ociągał się z wstawaniem. Staął, by rzucić okiem na łódź. Nagle uświadomiła sobie, że jej prawa dłoń jest lepka. Spojrzała i zobaczyła krew.

Skąd krew na jej palcach? Odwróciła się ku Daveyowi. Usiadł na ziemi i przecierał oczy. W pewnej chwili skrzywił się i spojrzał na swoje prawe ramię. Rękaw kubraka nasiąknięty miał krwią.

- Davey, jesteś ranny? - przypadła do przyjaciela. - Co się stało?

Zdrętwiała. Wyczytała wszystko z jego twarzy, na której poczucie winy mieszało się ze wstydem.

- Przydarzyło mi się to podczas jazdy - rzekł bez śladu przekonania w głosie. -

Zawadziłem ramieniem o suchą nadłamana gałąź. - Odrzucił derkę i wstał.

- Gdzie jest swój sztylet? - spytała słabym głosem. Miał go za pasem, gdy opuszczali Gastonbury.

Musiałem go zgubić - odparł, nie upewniwszy się nawet, że nie ma sztyletu.

- Co ty zrobiłeś, Davey? - Jej głos rwał się pod wpływem przerażenia i bólu. - O Boże, powiedz mi prawdę, zabiłeś go?

- A ja cię nic nie obchodzę? Zobacz tylko, co on mi zrobił.

Zabiłeś go! Boże, ukarż mnie! - Rzuciła się do koni. Pobiegł za nią.

- Zrobiłem to dla ciebie. Prawie już się uwolnił z więzów. Pojechałby za tobą i zatrzymał cię, Rosamund.

- Nie wymawiaj mojego imienia! - krzyknęła histerycznie. - Jestem twoją panią!

Zwracaj się do mnie, jak na sługę przystało! A teraz zejdz mi z drogi! Precz! Nie dotykaj mnie! Chwył przy pysku klacz, której chciała dosiąść.

- Dokąd chcesz jechać? Łódź za chwilę przybije do brzegu. Uspokój się i przemyśl wszystko od początku.

- Jadę do niego.

- Nie, Rosamund, nigdzie nie pojedziesz. - Narastał w nim gniew. - Rzuciłem dla ciebie wszystko, całą swoją przyszłość podporządkowałem twojemu marzeniu, a ty tak mi się odwdzięczasz? Przysięgam, jeśli tam wrócisz, nie będziesz już mogła liczyć na moją pomoc.

Spojrzała nań z wysokości końskiego grzbietu.

- Zatrzymaj łódź. Jeśli zastanę go martwego, wrócę w ciągu kilku godzin. Jeśli



natomiast Agravar jest tylko ranny, zrobię wszystko, by przeżył. Staraj się jak najdłużej przytrzymać łódź.

Chciał coś powiedzieć, lecz ona ścisnęła już konia piętami i popędziła leśnym duktem.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY**

Śmiech Agravara odbił się kilkakrotnym echem od ścian dawnej świątyni i ścichł porwany wpadającym tu wiatrem. Nie było w nim śladu wesołości, a jednak ponawiał się w krótkich odstępach do momentu, gdy Agravar uświadomił sobie ze zgrozą, że płacze.

Czuł się dziwnie. Jego umysł pracował prawie normalnie, jednak ciała jakby nie było.

Nie dochodziły z niego rudne sygnały, żadnego bólu, zimna czy ciepła. A jednak wiedział, że ma gorączkę, bo głowa zachowywała się niczym rzucona na wodę tykwa. Stracił mnóstwo krwi, a rana zaczynała się paskudzić. Nie wróżyło to najlepiej.

Pomyślał o Rosamund. Były dwie młode niewiasty o tym imieniu. Od dawna to wyczuwał. Jedna szła ku niemu, bo był jej miły, druga się oddalała, bo lękała się go, tak jak lękała się wszystkiego. Ta druga zostawiła go na pewną śmierć. Bo oto nadchodził jego kres.

Znów zakipiał w nim śmiech, wstrząsając całym ciałem. Był wczesny poranek i po kątach kłębiły się cienie, przybierając już to zwierzęce, już to ludzkie kształty. Agravar balansował na pograniczu jawy i snu. Czasem miał wrażenie, że płynie, a czasem, że leci w przepaść. Mimo całej swej ogromnej siły, nie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą. Jego członki zdawały się blokami kamienia.

- To ty, matko? - spytał, widząc sunącą ku niemu niewieścią postać. Nie zareagowała. Kroczyła dumnie z wysoko uniesioną głową, niczym jakaś królowa. Przeszła obok, nawet nie rzuciwszy okiem. W grancie rzeczy rad był z tego. Bał się nienawiści w jej oczach. Od kiedy pamiętał, zawsze ją dostrzegał, gdy kierowała na niego swoje spojrzenie.

Wszystko było nieostre i rozproszone. Zacisnął powieki, przyzywając sen. I ten

nadleciał pod postacią sowy, polującej na biedną polną mysz. Ptak porwał go w swe szpony i rzucił do domu ojca. Przy długim stole siedzieli mężczyźni, chłopcy potężne, brodate, o dzikich spojrzeniach. Pili, śpiewając sprośne pieśni. Wrócili właśnie z udanej wyprawy i świętowali swój szczęśliwy powrót. Był tam również Lucien, cierpiący wszystkie poniżenia związane z losem niewolnika. Jego pan, a ojciec Agravara, znany był ze swego okrucieństwa. Agravar uniósł do ust kufel z piwem i wtedy napotkał wzrok Luciena. Oczy tamtego mówiły, że nadeszła sposobna chwila. Dzisiejszej nocy Hendron ma zakończyć swój zbójcki żywot.

Podeszli razem, uzbrojeni w sztylety i gotowi na wszystko. Hendron był już ślepowy.

Od nadmiaru spożytych trunków miał czerwony bulwiasty nos. Jego masywny, wypukły tors spryskany był wymiocinami.

- Ojcze - rzekł Agravar.

Hendron spojrzał swymi zamglonymi, strasznymi oczami. Siedziała przy nim niewiasta. Jej obfite piersi wylewały się z ciasnego gorsetu. Patrzyła na swego pana niczym wierny pies. Powodowana chciwością, udatnie odgrywała rolę nałożnicy. Pan nagradzał jej starania. Ostatnio podarował jej wielki rubin, który czerwienił się w przełęczu jej biustu.

Lucien chwycił kobietę za włosy i odciągnął na bok. Agravar rzucił się od tyłu na wikinga, opasując mu szyję ramieniem i dusząc. Hendronowi oczy wylazły z orbit. Wtedy doskoczył Lucien i przyłożył ostrze sztyletu do jego piersi w okolicy serca.

Umilkły pijackie śpiewy. W nagłej ciszy dał się słyszeć głos Luciena:

- Zwróć mi wolność.

Hendron spojrzał na sztylet, następnie na Luciena, na koniec zaś na Agravara.

- Każę was obydwóch obedrzeć żywcem ze skóry. Będziecie jeszcze żyli, a już wasze wnętrzności będą żarły psy. Będziecie błagali o śmierć.

Nikt się nie ruszył. Ludzie Hendrona patrzyli z zaciekawieniem, lecz żaden się nie wtrącił.

Agravar puścił ojca. Nagle zapragnął wytrzeć skalane ręce. Zresztą czuł się cały zbrukany i splugawiony. - Uwolnij mnie, a będziesz żył - powtórzył Lucien.

- Nie doczekasz się tego, parszywy psie. Pozostaje ci więc mnie zabić. Ale nie zrobisz tego, bo brak ci odwagi. Wy, Anglicy, nie macie ikry. Brak wam kłów i pazurów. Jesteście jak te prosiaki, skazane na pożarcie przez wilka. To ja jestem tym wilkiem.

Lucien nagle zmienił zamiar. Miał przebić wikingowi serce, rozplątał mu gardło.

Cięcie było tak silne, że stal zazgrzytała, ocierając się o kręgi szyjne. Bluznęła krew, wręczce też utworzyła na ziemi kałużę.

Teraz dopiero Agravar wyciągnął miecz i stanął u boku przyjaciela. Mieli przeciwko sobie całą drużynę Hendrona.

Okazało się jednak, że wcale nie całą. Chwyciło za miecze jedynie kilku wojów, i to bynajmniej nie z miłości do powalonego, tylko w nadziei na objęcie po nim przywództwa i zawładnięcie jego skarbami. Zadźwięczała stal i połała się krew. Ale nie była to krew ani Luciena, ani też Agravara. Po krótkiej walce nie mieli już przeciwko sobie nikogo.

Lucien był wolny. Agravar nie mógł tego samego powiedzieć o sobie. Spętany był zbrodnią przeszłości. On był dowodem tej zbrodni. I nie miało żadnego znaczenia, że jego ojciec, sprawca całego nieszczęścia, już nie żył.

Wszystko to wydarzyło się przed wieloma laty, lecz odżyło teraz w jego pamięci w całej swej wyrazistości. Czuł zapachy, widział twarze wojów, miał przed oczyma czerwień krwi i czerwień rubinu zdobiącego pierś nałożnicy. Cokolwiek podsuwało mu te obrazy, sen lub pamięć, cofało czas, jakby wszystko wydarzyło się właśnie teraz.

Próbował wydobyć się z czeluści snu. Znów ujrzał swoją matkę dźwigającą brzemień

boleści. Ale nie, to nie mogła być jego matka, gdyż ta kobieta pochylała się nad nim, podczas gdy tamta nawet na niego nie spojrzała. Zamknął oczy i odwrócił głowę.

Na drodze, którą szedł, spotykał duchy. Najpierw to była Alayna, potem Veronica, Will, Lucien, Robert, a nawet Davey. Prosił ich, żeby mu pomogli. Wstawili się za nim u Pana Niebios.

Na koniec natknął się na Rosamund. Położył się na ziemi, ona zaś miłosiernie się nim zajęła. Gładziła mu czoło, szepcząc do ucha słowa pociechy i pokrzepienia. Czuł na twarzy jej oddech i rozpoznawał jej zapach, który zawsze kojarzył się mu z kwitnącą łąką. Doznania te były tak sugestywne, że ośmielił się otworzyć oczy.

Była przy nim. Skąpana w słonecznym świetle, wydawała się bardziej aniołem niż człowiekiem. Jej eteryczna złocistość wręcz porażała. Być może już nie żył, ale gdyby faktycznie tak było, nigdy nie odżałuje tych wszystkich straconych możliwości, jakie łączyły się z poznaniem Rosamund.

Pochyliła się i złożyła na jego czole delikatny pocałunek.

- Jestem przy tobie. Zapomnij o strapieniach. Zaopiekuję się tobą. Zaufaj mi. Nie odstąpię cię tym razem. Na pewno wyzdrowiejesz.

Roześmiał się, lecz tym razem w jego śmiechu nie było ironii i żalu. Objęła go i złożyła głowę na jego piersi. Po raz pierwszy w życiu Agravar poczuł się szczęśliwy.

Jeśli to również był sen, to nie chciał się obudzić.

Najbardziej przejęła się gorączką. Mniej więcej wiedziała, jak pomóc rannemu, i natychmiast przystąpiła do działania. Przede wszystkim ściągnęła zeń nasiąkniętą krwią wierzchnie odzienie i obmyła całe ciało zmoczonym w strumieniu kawałkiem materiału, który oderwała od swej spódnicy. Agravara chwyciły dreszcze, okryła go więc derką, którą znalazła w miejscu, gdzie się z nim wczoraj rozstała.

Otworzył oczy. Błyszczały gorączką.

- Wybacz, proszę - rzekł słabym głosem.

- Agravar, nic nie mów.

- Matko, tak mi przykro.

Niewątpliwie majaczył. Przytuliła się do niego, pragnąc złagodzić lęki, które go dręczyły. Zapadł w niespokojny i przerywany sen. Wykorzystała ten czas, by przyjrzeć się jego ranom. Przetarcia i skaleczenia na nadgarstkach nie były poważne. Dużo gorzej wyglądała rana w boku. Była zaogniona i zaczynała już ropieć. Należało ją otworzyć, a wypuściwszy ropę i zepsutą krew, przypalić.

Gdyby mogła jakoś wsadzić go na konia, wróciłaby razem z nim do Gastonbury, nawet jeśli miałyby to przekreślić jej plany na nowe życie. Ale takiego sposobu nie było i musiała działać tu i teraz, biorąc na siebie pełną odpowiedzialność. Gorączka rosła. Agravar umrze, jeśli ona, Rosamund, natychmiast nie zlikwiduje źródła zakażenia organizmu.

Narzędzie miała. Był nim sztylet Daveya znaleziony przy Agravarze. Brakowało jej tylko ognia, niezbędnego do rozgrzania stali. Zaczęła się krzątać, zbierając na kupkę suche liście i trawy. Z boku zgromadziła grubsze kawałki drewna, którymi zamierzała podtrzymać ogień. Dwie gładkie skalne bryłki miały zastąpić jej krzemień.

Po kilku nieudanych próbach susz wreszcie zaczął się dymić. Słaby płomyk pełgał po obrzeżu liścia. Dmuchiła i płomyk jął się rozprzestrzeniać. Dorzuciła drewek.

Z nożem w dłoni podeszła do Agravara. Kilka głębokich oddechów i jej ręka przestała się trząść. Przyłożyła ostrze do ropiejącej rany.

- Wybacz mi - szepnęła i dokonała cięcia.

Ryknął, i mógł to być ryk niedźwiedzia. Poderwał się do pozycji siedzącej i wlepił oczy w swoją dręczycielkę. Teraz dopiero Rosamund uprzytomniła sobie, że powinna była na

powrót związać mu rękę. W stanie skrajnego oszołomienia mógł zabić ją całkiem poza swoją świadomością, w instynktownej obronie.

Gwałtowny ruch Agravara, połączony z napięciem mięśni, pomógł tylko otworzyć się zaskorupiałej ranie. Pocięła ropa, potem ropa zmieszana z krwią, a na koniec już czysta krew. Połowę zadania Rosamund miała już za sobą. Poza tym Agravar niejako ułatwił jej pracę, gdyż omdlał i, zlany potem, osunął się na ziemię.

Z kolei należało przemyć ranę, co może nie było czynnością trudną, lecz okazało się bardzo czasochłonne, gdyż nie mając żadnego naczynia, musiała wielokrotnie biegać do strumienia, by wypłukać, a następnie nasączyć wodą szmatę.

Oceniwszy, że rana jest już dostatecznie czysta, sięgnęła po nóż. Rozżarzone do białości ostrze wyglądało wręcz niesamowicie, niczym z baśni o wiedźmach i czarownikach. Przed przyłożeniem go do rany wydała cichy okrzyk, przerażona tym, co robi. Poczula swąd palonego ciała i znów usłyszała nabrzmiąły bólem jęk Agravara. Tym razem jednak nie próbował się bronić, jakby jakimś cudem wiedział, że wszystko to dzieje się dla jego dobra, Szlochając, Rosamund odliczyła do pięciu, po czym cofnęła rękę z nożem. Wybrała akurat taki czas przypalania, lecz mogła równie dobrze krótszy lub dłuższy. Po prostu tak podszeptała jej intuicja.

Jednakże w tej samej chwili wyczerpała się jej odporność. Poderwała się i odbiegła kilka kroków, by zwymiotować. Torsje nie chciały ustąpić. Kiedy już zwróciła wszystko, podeszła, osłabła, do Agravara. Opatrzyła ranę i przewięzała ją. Na koniec złożyła głowę na jego obnażonym torsie i rozpłakała się.

Zauważyła, że gorączka spada.

Teraz dopiero poczuła głód. Nie jadła od dwóch dni, a torsje całkowicie opróżniły jej żołądek. Głód był tak dojmujący, że nie namyślając się wiele, pobiegła w las. Potrafiła

rozpoznawać grzyby, leśne owoce i zioła. Wiedziała, które gatunki grzybów można jeść na surowo, a które wymagają gotowania bądź smażenia. Szczęście jej dopisywało. Tuż na skraju znalazła dostateczną ilość pożywienia nie dla jednej, ale dla kilku osób. Tyle że nie było to pożywienie smaczne.

Pomyślała o Agravarze. On też powinien coś zjeść, inaczej zupełnie opadnie z sił. Ale o ile ona mogła zadowolić się surowymi grzybami, korzonkami i bulwami, o tyle jemu potrzebny był rosół na mięsie. Tymczasem nie miała naczyń, nie wiedziała też, jak mogłaby, nie mając żadnego doświadczenia i odpowiedniej broni, upolować jakieś zwierzę. Chwyliła ją złość na własną bezsilność. Musiała coś wymyślić, a do głowy przychodziła jej tylko pomoc innych.

Wróciła do Agravara i dotknęła dłonią jego czoła. Było zdecydowanie chłodniejsze, co oznaczało, że gorączka spada albo już nawet minęła.

- Tylko nie obudź się, gdy mnie tu nie będzie - szepnęła.

Spał dalej, a jego pierś unosiła się i opadała rytmicznie. Pożegnała go pełna nadziei, że wszystko pewnie dobrze się skończy.

Wróciła po kilku godzinach z naczyniami, krzemieniem, solonym mięsem i suszonymi jabłkami - wszystko to owinięte w grubą derkę. Agravar wciąż spał i była pewna, że jest to ozdrowieńczy sen. Napełniła garnek wodą ze strumienia i postawiła go na zbudowanym z kamieni palenisku. Rozpaliwszy pod garnkiem, wrzuciła do wody kawał tłustej wołowiny. Nie gotowała dotychczas rosółu, ani zresztą żadnych innych zup, miała jednak pewną ogólną wiedzę o przyrządzaniu potraw.

Teraz pozostawało tylko czekać, aż wołowina się ugotuje. Podeszła do Agravara.

Zauważyła, że ma spierzchnięte wargi. Jak mogła nie pomyśleć, że gorączka wymaga podawania dużej ilości płynów. Zakrztusił się i zaczął kasłać, gdy wlała mu w usta trochę

wody. Potem już wszystko poszło gładko. Pił chciwie, ona zaś wodę zastąpiła sprytnie złocistym bulionem, nie zapominając też o mięsie, które drobiła i podawała mu w niewielkich porcjach. W sumie była dumna z tego, czego dokonała, doświadczanie na sobie prawdy powiedzenia, że jakiegokolwiek działanie lepsze jest od bezczynności.

Zapadał zmrok. Tego dnia nic już więcej nie mogła zrobić. Usiadła więc przy Agravarze i nie szczędząc mu pieśczośliwych słów, gładziła go po twarzy i włosach. Wątpiła, aby te oznaki bliskości i troski docierały do jego świadomości, a jednak nie przestawała, aż poczuła zmęczenie.

Legła na posłaniu z liści i traw obok Agravara. Pomyślała o mieszkańcach chaty, którą splądrowała. Wyobraziła sobie, jak wracają z pola do domu i zauważają ślady rabunku. Są bardziej zdumieni niż zagniewani, gdyż wiele cennych rzeczy pozostało, a to, co zabrał złodziej, nie przedstawiało sobą większej wartości. Nawet cieszą się, że złodziejowi nie starczyło wyobraźni.

Uśmiechnęła się do swych myśli. Wszystko było na jak najlepszej drodze. Wdychała zapach Agravara i morzył ją sen. Zasnęłaby, radosna i pełna ufności, gdyby nagle nie sparaliżował jej obezwładniający strach. Co dalej?

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY**

Słyszeć było płacz kobiety.

Agravar otworzył oczy i spojrzał w niebo. Poranek. Wokół wznosiły się ku górze nagie kamienne ściany, związane u szczytu żebrowanym sklepieniem. Co to było za miejsce? Niewieści płacz dobiegał gdzieś z boku. Matka? Bardzo często płakała. Zakrywała twarz dłońmi i pogrążała nie w rozpacz. Nigdy z nim nie rozmawiała. Nigdy nie dotykała go. Czyż więc ta ręka leżąca na jego piersi, ta głowa spoczywająca na jego ramieniu mogły należeć do jego matki?



Sięgnął i namacał włosy. Puszyste i jedwabiste. Po chwili przekonał się, że mają kolor starego złota.

- Rosamund - szepnął.

Zwróciła ku niemu twarz i uśmiechnęła się.

- Agravar. Dzięki Bogu.

Nie mógł uwierzyć. To na pewno była ona, a jednak wydawało się to nieprawdopodobne. Dotknął jej, by nabrać ostatecznej pewności, i ponownie wyszeptał jej imię. Przypomniawszy sobie tamten pocałunek i pomyślał, że to może wciąż trwać chwila ich zespolenia. Dotknął ustami jej ust, ona zaś westchnęła i przyzwalająco rozchyliła wargi. Przygarnął ją bliżej do siebie, spragniony jej miękkiego, wiotkiego i ciepłego ciała, i wtedy to poczuł. Ostry ból w boku, który promieniował aż na udo. Zlekceważył go.

Doświadczał w życiu gorszych katuszy. Zresztą ból zaraz przeszedł.

Przesunął dłonią wzdłuż jej kręgosłupa na obły wznórek biodra. Cofnęła usta, wygodnie układając głowę w zgięciu jego ramienia.

- Z pewnością śnię - rzekł nieco zachrypniętym głosem.

Czarownie się uśmiechnęła.

- To nie jest sen. Sny nigdy nie są tak cudowne. Przynajmniej moje.

- To prawda. Obudziłem się zatem i widzę cię. Nie jesteś zjawą, tylko Rosamund z krwi i kości. Nie spodziewałem się znów mieć cię przy sobie.

- Dzięki Bogu, czujesz się lepiej. Czy wiesz, że pękłoby mi serce, gdyby coś ci się przydarzyło?

- A nie lepiej byłoby się mnie pozbyć?

- Nigdy - powiedziała namiętnie, całując go. - Kocham cię, ty potworze. - Musnęła

wargami jego zarośnięte policzki. - Dałeś ty mi się we znaki. Śledziłeś mnie, deptałeś mi po

piętach, zadawałeś kłopotliwe pytania, aż zapragnęłam wrzucić cię do wrzącego oleju albo kazać rozerwać koźmi.

Cofnął głowę, by przypatrzeć się jej z pewnego dystansu. Na jego twarzy malowało się rozbawienie.

- To najdziwniejsze wyznanie miłosne, jakie kiedykolwiek słyszałem.

- Ale prawdziwe.

- Chętnie w to wierzę. Prześladowałem cię i gnębiłem, bo zawładnęłaś moim sercem już wtedy, gdy zamierzyłaś się na mnie moim złamanym mieczem. Od tej chwili nie mogłem przestać myśleć o tobie, i jeśli na kogoś tu rzucono czary, to właśnie na mnie.

- Na ciebie? Wykluczone.

- A jednak musisz uwierzyć. Żyłem jak ogłupiały, jakby podano mi wywar z makowin.

Nie udawaj, że nie wiedziałaś.

- Przysięgam, że nie domyślałam się niczego! Teraz pieścił palcami jej szyję, na co ona odpowiadała rozkosznym przymknięciem oczu.

- Zawsze byłaś paskudną kłamczucha.

- Godny z ciebie rycerz. Najpierw mnie całujesz, a potem znieważasz.

- W ten sposób wyrównuję rachunki. Najpierw mnie całowałaś, a potem grzmotnęłaś w głowę.

- To nie ja!

- Ty czy twój człowiek, na jedno wychodzi. A skoro o nim mowa... Gdzież się podziwia nasz nieskazitelny Davey?

- Pozostał w lesie nad rzeką. Agravar spowaźniał.

- A co z łodzią i w ogóle przeprawą na kontynent?

- Musiałam tu wrócić. To, co zrobił Davey, to wyłącznie moja wina. Gdybyś zginął,

oszałałabym, tak przynajmniej sądzę.

- Lucien prędzej czy później pojawi się tutaj - powiedział, traktując to jako ostrzeżenie. - Kiedy przeczeszą las i sprawdzą okoliczne wioski, będą musieli tędy wracać.

Dziwne, że jeszcze ich nie ma. Trudno mi zgadnąć, co mogło ich zatrzymać. Lucien na pewno się niepokoi, że dotychczas do nich nie dołączyłem.

- Mało mnie obchodzi lord Gastonbury, jak również lord Berendsfore. Jedyny mężczyzna, który zaprzęta moje myśli bez reszty, leży w tej chwili ze mną.

- Nie sądziłem, że usłyszę takie słowa z ust jakiegokolwiek niewiasty, a już najmniej z ust złotowłosowej Rosamund. Chociaż, nie przeczę, marzyłem o czymś takim. - Delikatnie ugryzł ją w ucho.

- Zatem kochasz mnie?

- Czyż właśnie tego nie mówię?

- Może coś takiego dajesz mi do zrozumienia, tylko że ja nie jestem domyślna. -

Przeszedł ją rozkoszny dreszcz, gdy zaczął językiem pieścić jej ucho.

- Kocham cię, Rosamund - rzekł, i była jakaś dzika pasja w jego głosie. - Kocham cię całym sercem, do szaleństwa.

Radość biła z jej oczu i twarzy.

- Och, Agravar, nigdy jeszcze nie słyszałam tak pięknych słów. - Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego. Zwarli się w długim i namiętym pocałunku. A gdy zabrakło im tchu, pieścili siebie dłońmi i wargami.

Jej najczulszym, najbardziej wrażliwym miejscem okazała się szyja tuż pod uchem.

Gdy dotarł tam językiem, wstrząsnęła się, wpiła palce w jego ramiona i z głębokim westchnieniem popadła w stan bliski omdleniu. Ocucił ją dalszymi pieszczotami i pocałunkami. Śmiała się, próbując nie być mu dłużną i też dać coś z siebie.

- Jestem twoja, Agravar - szeptała z rumieńcami na policzkach, głosem tak słodkim że śpiewała w nim dusza.

- Należę do ciebie cała i bez reszty. Nie pojmuję tego, ale tak właśnie jest. Gdzieś w głębi serca wiem, że stanowisz część mojej osoby. I nie od dzisiaj czy od wczoraj, tylko od zawsze, jakbym nie znając cię, już była z tobą związana. Z tobą i tylko z tobą.

Całowała go, raz delikatnie, potem z żarem, i znów z wielką czułością, która po chwili zmieniała się w namiętność, przeplatając tym samym porywy serca z porywami zmysłów.

Nagle spojrzała nań i była w jej oczach wielka niepewność.

- Czy nie zachowuję się jak obłąkana? Osoba niezrównoważona psychicznie?

- Nie, Rosamund. Och moje ty wielkie kochanie, nawet nie zdajesz sobie sprawy, czym są dla mnie twoje słowa, - Trzymał jej twarz w dłoniach, niczym największą świętość.

Znam cię od wielu tygodni i nie było dnia, żebym nie pragnął choćby twego życzliwego spojrzenia...

- Przerwał i spuścił głowę. - Zresztą mniejsza z tym.

- Mów, proszę. Chcę wiedzieć wszystko.

- To nie jest chwila na snucie wspomnień i rozmyślenia, nie teraz, kiedy mam ciebie.

Trzymam cię w ramionach i błagam - cieszymy się tą chwilą. Zapomnijmy, że istnieje przeszłość i przyszłość. Jesteś moja, sama mi to powiedziałaś, i muszę nacieszyć się tobą.

- Tak, jestem twoja, teraz i na zawsze. - Spoglądała na niego z uroczystym wyrazem twarzy. - Nigdy nie opuścisz mojego serca, przysięgam. - A ty mojego. Będę przechowywał cię w nim niczym najdroższy skarb, bo jesteś takim skarbem. - Pocałował ją z taką namiętnością, że jęknęła w objęciach jego ramion. Pożądał jej. Drżał na całym ciele, które buntowało się przeciwko narzuconej powściągliwości. Wyobrażał sobie, że odsłania i dotyka jej piersi, że podciąga jej spódnicę i syci się miodną słodyczą jej łona. Jeżeli tego nie czynił,

to dlatego, że nie chciał okryć jej niesławą. Im bardziej płonęły mu łądzwie, tym głośniej rozkazywał woli, nad którą, jak dotąd, panował absolutnie.

- Przytul się do mnie - rzekł i położył się na plecach. Przywarła do jego boku, wzruszona i szczęśliwa. Czuł jej oddech na policzku. Skubała włosy na jego torsie.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- A czy wyglądam na chorego? - odparł pytaniem na pytanie. Wybuchnął krótkim, niespokojnym śmiechem. Jej palce sprawiały, że coraz trudniej było mu utrzymać się w ryzach.

Szturchnęła go w żartach łokciem.

- Mam na myśli twoją ranę.

Jego rana? Zupełnie o niej zapomniał. Okazuje się, że można zapomnieć o bólu.

- Prawie już mnie nie boli.

- Musisz na siebie uważać - łajała go tonem opiekunki. - Znalazłam cię w bardzo ciężkim stanie. Trochę się napracowałam, nim wyrwałam cię śmierci. Boże, wciąż drzę na wspomnienie tamtych chwil. Tak bardzo się bałam. Nie zepsuj więc mojego dzieła.

Ogarnęła go czułość.

- Lubię, jak zmywasz mi głowę. Widzisz, co ze mnie za mężczyzna Zupełnie zniewieściały.

- Bardzo w to wątpię.

Uniósł wzrok i zapatrzył się w niebo, widoczne w otworach okiennych. Było bez jednej chmurki, lazurowe. A tymczasem tu w dole dłońie Rosamund, poza wszelką jej świadomością albowiem była niewinna zarówno ciałem, jak i duchem, rozbudzały w nim pokusę zaspokojenia żądz.

Przymknął oczy, starając się skupić na czym innym. Pomyślał o nowej kolczudze,

którą niedawno kupił, i o buzdyganie, który nosił jako oznakę dowódcy. Zatęsknił też za swoim mieczem, którego tak dawno nie trzymał w dłoni.

Obraz miecza zawrócił jego myśli ku pożądaniu, które pulsowało w jego lędźwiach i narastało z każdą chwilą, z każdym oddechem Rosamund, owiewającym mu ucho, policzek i szyję, z każdym jej ruchem, którego konsekwencji nie znała i nie domyślała się.

Była dziewicą, przeczystą panną. W swej niewinności nie uświadamiała sobie, że odgrywa rolę kusicielki, przysparzając cierpienia temu, który pokusie postanowił się przeciwstawić.

Uniosła nogę, chcąc ściślej się z nim zespolić, i dotknęła kolanem jego spęczniałej żądz.

Otworzyła szeroko oczy. W jej minie było coś dziecięcego. Zdumienie i zaskoczenie dziewczynki, która w czas zapustów widzi, jak jednemu z przebierańców spada maska.

Skrzywił się i westchnął.

- Rosamund, musisz wiedzieć, że kiedy mężczyzna leży tak blisko kobiety jak ja w tej chwili, i w dodatku kocha tę kobietę, wtedy zaczynają go smagać od środka różne piekące ognie. Ostatecznie jestem tylko człowiekiem i...

- To przeze mnie tak zesztyniałaś i napuchłeś? Jej naiwna ciekawość zmieszała go.

Skinął głową.

- Bo wiesz, we mnie też dzieje się coś dziwnego. Trudno mi to wytłumaczyć, ale przypomina to miłe łaskotki, które błądzą to tu, to tam. A czasami jest to jak kąpiel w gorącej wodzie, w dodatku takiej, która faluje. I czuję, że ma to coś wspólnego z tobą.

Jego głos ledwie się zdołał przecisnąć przez zaciśnięte gardło.

- Nie powinniśmy mówić o takich rzeczach.

- Chcę wiedzieć, Agravar, dlaczego tak się dzieje, że kiedy mnie dotykasz, odczuwam

kęsknotę, rodzaj cielesnego głodu, który jednak nie ma wiele wspólnego z głodem, jakiego doświadczamy podczas postu. - Jej ściągnięte brwi zaświadczały, że szuka najtrafniejszego słowa czy też porównania i że ma ze znalezieniem ich trudności.

- Rosamund, proszę. - Delikatnie odsunął ją od siebie i usiadł. Następnie, mimo bólu, dźwignął się na nogi.

Spojrzał na nią. Wyglądała tak młodo, tak świeżo i tak niewinnie, że poczuł się osaczony jej dziewczęcą urodą.

- Mamy coś do jedzenia? - spytał niemal szorstko. - Od dawna nie miałem nic w ustach.

- Ależ... - Urwała, rezygnując z dokończenia zdania. - Owszem, coś się znajdzie. -

Wstała i przeszła obok niego z wysoko uniesioną głową. - Zaraz ci przyniosę.

Natychmiast poczuł wyrzuty sumienia, lecz udał sam przed sobą, że to nieistotne.

Zrobił pierwszy krok, potem następny. Szło mu niesporo, poza tym miał trudności z zachowaniem równowagi. O bólu wolał nie myśleć.

- Na pewno tym sposobem nie przyspieszysz gojenia się rany - powiedziała bezbarwnym głosem.

Och, Rosamund, pomyślał, a równocześnie rzekł:

- Miewało się gorsze.

- Oczywiście. - Pochyliła głowę, jakby na znak pokory wobec jego doświadczeń w tej materii. Następnie zaczęła krzątać się przy ognisku.

Dokuśtykał do niej. Jednak nie pochylił się, przyznając jej rację, że nie ma sensu przesadzać. Trudno, musi uznać siebie na jakiś czas za nie w pełni sprawnego. Kto wie, może nawet nie będzie mógł dosiąść konia o własnych siłach.

Nie martwiłby się tym, gdyby mógł kochać się z nią, ale to było niemożliwe.

Potrząsnął głową, jakby chcąc się w tym utwierdzić.

- Skąd masz to wszystko?

Wciąż wyglądała na zagniewaną. Nawet nie rzuciła nań okiem.

- Ukradłam z chaty pewnego wieśniaka.

Nie mógł przemilczeć, że zrobiło to na nim wrażenie.

- Miejmy nadzieję, że nie wpadnie na trop złodzieja i nie zjawi się tu ze swoim łukiem.

Spojrzała nań krzywo.

- Widzę, że cokolwiek zrobię, jesteś z tego niezadowolony. - Odeszła kilka kroków i stanęła z założonymi rękami, odwrócona do niego tyłem.

Była na niego wściekła, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Zasłużył sobie na jej gniew, musiał to przyznać. Ale że wszystko w niej mu się podobało, przeto zachwycony był również jej gniewem. Gniewała się, bo nie był jej obojętny, bo już był bliski i jako ten bliski sercu człowiek zranił jej uczucia, wykazał obojętność w chwili, gdy pragnęła czułości i miłości.

Poza tym coś mu mówi o, że ona czeka na gest pojednania z jego strony. Jakby dla potwierdzenia tych przypuszczeń, rzuciła mu smutne spojrzenie.

Zranił ją. Nie chcąc sprzeniewierzyć się zasadom honoru, musiał zniszczyć ów nastrój intymności, w którym jej miłość zdawała się zakwitać. Nie pojmowała, co z nim się działo, nie miała bowiem w tych sprawach żadnego doświadczenia. Jakże łatwo w tej sytuacji mógł ją wykorzystać, klóciłoby się to jednak z tym wszystkim, czemu dotychczas był wierny. W odróżnieniu od swojego ojca, nigdy nie żerował na cudzej słabości.

Westchnął i skrzyżował ramiona. Gotów był spróbować odzyskać jej łaski.

**ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY**



Podszedł do niej i ujął za rękę.

- Rosamund, jedyna moja - rzekł głosem pełnym uczucia - nie było moim zamiarem cię zasmucać.

Wzruszyła ramionami.

- Naprawdę nie ma o czym mówić. A może to ja powinnam cię przeprosić. To jasne, że brak mi... Zresztą nie wracajmy już do tej sprawy.

- O nie, najdroższa - uściśnął jej dłonie - nie zrobiłaś nic niewłaściwego. Rzecz w tym, że jako panna... niewiasta niezamężna nie wiesz o pewnych rzeczach.

- Proszę, przestań. Jeżeli nie chcesz mnie, pogodzę się z tym i nie usłyszysz z moich ust skargi. - Dzielnie wypowiedziała te słowa, lecz była bliska łez.

- Na Boga, kobieto, więc tak to sobie tłumaczysz? - Wziął ją pod brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy. - Kocham cię. Stałaś się częścią mej duszy. Możesz być pewna, że nie tylko cię pragnę, ale że to pragnienie stało się już moim opętaniem. Ale jesteś niewinna, co oznacza, że o niektórych sprawach nie masz pojęcia.

- Za to ty, przypuszczam, wiesz o nich wszystko - powiedziała, przechylając głowę, co uczyniło ją rozbrajająco dziewczęcą. - Piękne masz o mnie wyobrażenie. Mogę być sobie panną, ale to nie oznacza, że muszę równocześnie być idiotką.

Całkiem go tym zaskoczyła. Próbował się bronić.

- Nie mogłaś tego do końca przemyśleć. Działanie wywołane popędem...

- Och, przestań wreszcie!

Milczał, nie wiedząc, co ma o tym wszystkim sądzić.

- Kochamy się - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy - lecz nie jest nam przeznaczone się połączyć. Ale dzisiejszy dzień należy do nas.

Poruszyła się i jej piersi otarły się o jego tors. Przywarła do niego brzuchem i

biodrami. Czują twardość jego ud, korzyła się przed potęgą całego jego ciała.

- Rosamund, nie mam ci nic do zaofiarowania. - Uczynił ruch, jakby chciał ją odsunąć od siebie, w ostatniej jednak chwili zmienił decyzję. - Ale nie dlatego, że cię nie pragnę.

- Dlaczego chcesz chronić mnie przed czymś, przed czym nie chcę być chroniona?

Potrząsnął głową.

- Łatwo pójść za własnymi zachceniami, pomyśl jednak o konsekwencjach. Co powie twój mąż, gdy odkryje w noc poślubną, że nie jesteś dziewicą? A jeśli zajdziesz w ciążę, co przecież zawsze jest możliwe? Chcesz resztę życia przeżyć w niesławie? Urodzisz dziecko i będziesz je nienawidziła. A ja, jego ojciec, nie będę miał nawet prawa popatrzeć na nie. Już sama myśl o takiej możliwości wydaje się nie do zniesienia.

- Jakże mogłabym nie kochać twojego dziecka, części ciebie samego? Przeciwnie, Agravarze, i musisz to sobie dobrze zapamiętać, tylko twoje dziecko zdolna będę kochać i z radością tulić do łona.

Nie zamierzał tak łatwo się poddawać.

- Będziesz wytykana palcami. Przyłgnie do ciebie miano kobiety upadłej. Nie zaznasz szacunku innych. Wzgarda otoczenia, oto czego będziesz miała w nadmiarze.

- Gdy byłam dzieckiem, traktowano mnie nie lepiej od bękartą. W oczach ojca Leona byłam wcielonym złem, gdyż miałam stać się kobietą, sojuszniczką szatana Ciągłe łajano mnie i stawiano mi przed oczyma moją moralną nędzę. Grzechom moim patronowała pramatka Ewa wespół z ładacznicami Starego Testamentu. Miałam pamiętać, jaki sromotny los je spotkał. Na koniec usłyszałam, że między nimi a mną nie ma zasadniczej różnicy.

- Wyrzuć to wszystko z pamięci i już nigdy więcej nie mów o tym - rzekł wzburzony.

- Właśnie że będę mówić, ty zaś będziesz słuchał, bo jest to częśćka mojej osoby, kogoś, kogo, zdaje się, kochasz.

- Widzę, że wywołałem upiory przeszłości. Dobrze, mów, skoro ma ci to przynieść spokój.

- Tak więc cokolwiek zrobiłam, cokolwiek powiedziałam, było to złe i zasługiwało na karę. Toteż karano mnie, gdyż złu nie można dać się rozprzestrzeniać. I wiesz, co wtedy myślałam? Myślałam, że skoro nie można już uniknąć czynienia zła, jest wielką stratą nie czerpać z tego przyjemności. Można zaryzykować każdą karę, byleby tylko zdobyć dla siebie odrobinę szczęścia. Idąc za głosem serca i w konsekwencji tracąc niewinność, czynię moje dalsze życie trudne i niewesołe, ale chętnie wszystko to zniosę, bo będę miała coś własnego, coś, co warte będzie dla mnie wszystkich skarbów tego świata.

Stała przed nim i nie było w niej ani śladu bojaźni czy nieśmiałości. Bunt rozplómił ją, rozпалиł jej oczy, ubarwił rumieńcami policzki. To już nie była Rosamund, która ucieka przed światem. Była to istota, która właśnie rzuciła światu wyzwanie i gotowa jest walczyć z każdym, kto chciałby odmówić jej prawa do miłości i szczęścia.

- Nie przeraża mnie obraz, jaki nakreśliłeś - ciągnęła. - Nie boję się gniewu męża ani wrogości otoczenia. Nie boję się już niczego. Czuję się silna, i jest tak z twojego powodu.

- Ale ja nic ci nie dałem - rzekł głosem pełnym wzruszenia.

- Dałeś mi wszystko. Teraz muszę nadrobić stracony czas. Żadnego więcej ukrywania się. Żadnych lęków i wahań. Mam w tobie wsparcie i ochronę. Więcej mi niczego nie potrzeba.

Chwycił ją w ramiona i okrył pocałunkami. Ścisnął i całował tak mocno, że zabrakło jej tchu.

- Uważaj, żebyś się nie stała tyranem - ostrzegł ją w żartach. - Bo jeszcze spodoba ci się ta rola.

- Już mi się spodobała.

- Wiesz, że budzisz we mnie strach? Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Myślałam, że wikingowie nie znają tego uczucia. Uśmiechnął się, lecz zaraz odzyskał powagę. Stało się.

Z góry rozgrzeszyła go ze wszystkiego. Gdyby się teraz cofnął, okazałby się tchórzem.

Zresztą ani myślał się cofać.

- Zapewniam cię, że nie zrobię ci krzywdy.

- Wiem o tym.

- Pytam po raz ostatni... Jesteś pewna swojej decyzji, Rosamund? Bo za chwilę nie

będzie już odwrotu. - Pytał, lecz wszystko wskazywało na to, że jest już po tamtej stronie.

Oczy mu pociemniały, a powieki stały się ciężkie. Również na nabrzmiąłych ustach można było dostrzec ślad narastającej żądz.

- Chcę, żebyś mnie kochał. Chcę należeć do ciebie.

- Więc chodź, śliczna moja - rzekł i wziął ją za rękę. Podprowadził do okrytego derką legowiska z liści i traw. A gdy się osunęli, kazał jej położyć się na wznak.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI**

Uświadomiła sobie, że drży. Nie była to oznaka wahania czy też wątpliwości, tylko oczekiwania na to, co niechybnie miało nastąpić. Miał takie duże i mocne dłonie. Lewą podtrzymywał jej głowę, prawą zaś złożył na jej biodrze.

- Co mam robić? - spytała.

Zawiesił wzrok na jej wargach, rozkoszując się ich wilgotną czerwienią.

- Daj mi swe usta - odparł chrapliwie i nie czekając, aż spełni jego prośbę, sam po nie sięgnął.

Całował namiętnie, a jej podobał się ten nowy rodzaj całowania, gdy nie tylko wargi się dotykają, lecz również języki, bo dawało to poczucie większej bliskości i było źródłem

rozkosznych omroczeń. Z początku nieśmiało, potem coraz odważniej nagradzała jego starania, aż usłyszała ni to jęk, ni to głębokie westchnienie.

Jego dłoń wsunęła się w dekolt jej sukni i dotknęła jej piersi. Rosamund zaczęła dyszeć, oblana falą gorąca. Agravar znieruchomiał, nie do końca pewny, co może oznaczać jej reakcja. Nie chciała go zatrzymywać, ciekawa była wszystkiego, co miało nastąpić.

Wiedziona instynktem, przesunęła jego dłoń na sam wzgórek brodawki. Było to całkowicie nowe doświadczenie. Każda z jej piersi stała się bijącym źródłem, początkiem strumienia rozkosznych wrażeń.

Teraz pragnęła więcej, tak jak pragnie się słońca, które dotychczas jedynie przebłyskiwało zza chmur.

Tymczasem to ona dla niego stawała się tym słońcem, gdyż zaczął wyłuskiwać ją z sukni, tak iż w miarę zsuwania się materiału z ramion przybywało jej jaśniejącej nagości. Nie śpieszył się, a przy tym całował odsłonięte miejsca, już to zachwycony jakąś krągłością, już to po prostu witając niespodziankę. Ona zaś była mu powolna, gdy zaś napotykał jakąś przeszkodę czy trudność, pomagała mu, szczęśliwa, że może mu pokazać siebie i dać się mu poznać bez reszty.

- Jesteś taka piękna - tchnął w jej obnażone piersi, zwieńczone twardymi orzeszkami sutek, z których jeden Znalazł się zaraz w jego ustach.

Wygięła się kusicielsko, wplatając mu palce we włosy.

- Dotykaj mnie - jęknęła. - Chcę, żebyś mnie dotykał.

- Bezwstydna - mruknął, po czym musnął językiem różowy koniuszek jej piersi.

Przeszyła ją błyskawica, a jej światło spłynęło w dół i rozlało się po łonie i udach morzem ognia. Zapragnęła ugasić ten ogień, ale nie mogła tego zrobić sama, musiał to zrobić on.

Agrawar tymczasem oderwał się od niej, by zrzucić ubranie. Przez chwilę czuła się bardzo samotna i opuszczona. Gdyby przez cały czas nie patrzył na nią, z pewnością by się rozplakała. Płacz jednak prędko by ustał, bo czekał ją wstrząs związany z obrazem jego nagości. Wyglądał niczym bóg ze skandynawskich legend. Jego triumfująca męskość pulsowała i nadawała mu, chociaż nagiemu, znamię rycerstwa.

Był jej rycerzem. Nie mężem i nie kochankiem, tylko rycerzem w szrankach miłości. Teraz oboje byli nadzy. Nie czuła żadnego wstydu. Nie krępowała się ani swoją, ani jego nagością.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego boku tuż pod opatrunkiem.

- Czy rana wciąż ci dolega? - spytała. Z uśmiechem potrząsnął głową.

- Zapomnij o niej, tak jak ja zapomniałem. I nie odwodź mnie od pokuszenia. Ty jesteś moją pokusą. - Opadł na nią, wspierając się łokciami, które znalazły sobie miejsce w posłaniu z liści po obu stronach jej głowy.

Przestraszyła się nagle. Trwało to przez mgnienie i zaraz minęło, lecz zostawiło po sobie ekscytujące zaniepokojenie tą dużą, gorącą i niewątpliwie żywą rzeczą, którą miała teraz na swoich udach.

- Teraz otworzysz się, Rosamund, a ja wejdę w ciebie. Nie brak jej było odwagi i wiedziała o tym. Sięgnęła ręką, musnęła tarczę jego napiętego brzucha i dotknęła palcami tamtej jego części.

Musiała być wrażliwa bardziej niż otwarta rana, gdyż przymknął oczy i jęknął.

- Och, Rosamund. Ośmielona, posunęła się dalej.

- Jakie to gorące – szepnęła.

- Bo trawi mnie ogień, moja kusicielko.

- Czy przy dotknięciu boli?

Wybuchnął krótkim śmiechem.

- Nie, kochanie. Jest to mieszanina błogości i męki, ale z bólem nie ma to nic wspólnego. Chwytał i odciągnął jej rękę, delikatnie, lecz stanowczo. - Te igraszki mogą się zakończyć naszym rozczarowaniem.

- Co masz na myśli?

- To, że gdy pękają tamy, rzeka się wylewa. Niebawem zrozumiesz, co chcę przez to powiedzieć.

- Pokaż mi. Chcę to wiedzieć możliwie najprędzej. Chcę wiedzieć, co sprawia ci przyjemność.

- Co raduje mnie - rzekł i nieco uniósł biodra - powinno radować i ciebie, moja dziewczyno.

- Co ty robisz... Och!

Chwytał ustami jej pierś i zaczął ją ssać zachłannie, niemalże pożerać. To odwróciło na chwilę jej uwagę od szturmu, jaki przypuścił.

- Tylko cię dotykam - rzekł uspokajająco. - Jesteś już gotowa, aby mnie przyjąć?

Potwierdziła skinieniem głowy. Zagadka goniła zagadkę.

- Czy teraz wejdiesz we mnie? - spytała, choć w istocie chciała go o to poprosić.

- Jeszcze nie. Wciąż będę się wstrzymywał, by móc sprawić ci dodatkową przyjemność.

Już otwierała usta, by wyjaśnić i tę zagadkę, kiedy on dotknął palcem jej struny. Tak, była w niej struna światła, o której istnieniu dotychczas nie wiedziała. Poraziła ją jasność.

Całe ciało pokryło się kropelkami potu, a w centrum jej świadomości pojawiła się ta cząstka niej, którą pieścił, która zawładnęła całym jej jestestwem. Tam bowiem było źródło owej rozkosznej męki, rosnącej z każdą chwilą.

Czasem szepnął jej do ucha jakieś kochające słowo, czasem pocałował ją w szyję lub usta, ale to, co do tej pory wydawało się najważniejsze, nagle straciło na znaczeniu, gdyż najważniejsza była dłoń między jej udami i czary nią wywoływane. Musiała dać wyraz wewnętrznemu rytmowi i zaczęła poruszać biodrami. Odnalazła w sobie tęsknotę i dążenie, chociaż niejasny był przedmiot tej tęsknoty i cel dążenia.

- Tak, kochanie, poddaj się temu. Płyn tam, dokąd niosą cię fale. Płyn razem ze mną.

- Dokąd, najdroższy? - jęknęła.

- Ku ciemności, która jest światłem.

Zamknęła oczy i zobaczyła światło. Wszystko teraz w niej było - zachwyt i uniesienie, radość i rozkosz.

Szeptał słowa, których nie rozumiała. Wystarczał jednak sam dźwięk jego głosu, by zauważała harmonię między tą melodią a melodią brzmiącą w każdej cząsteczce jej ciała.

Była muszlą wypełnioną szumem ekstazy.

I znowu ją pocałował, ale tym razem zaborczo, a nawet brutalnie. Odpowiadała jej ta szorstkość, była doznaniem, na które bodaj czekała. Kiedy więc rozchylił jej uda, oplótła mu biodra nogami niczym powojem.

Wszedł w nią jednym ruchem.

Oczekiwała bólu. Ojciec Leon nie bez satysfakcji powiadomił ją o wszystkich przykrych stronach jej kobiecej konstytucji. Tyle że ten ból wcale nie był straszny. Nawet udało się jej stłumić krzyk. Agravar był w niej, a to oznaczało niewyczerpaną pocięchę.

Pieścił ją i całował, mając na myśli jedno: żeby się odprężyła.

- Teraz jesteś moja - szepnął w pewnym momencie. Wszystko, co było przykre,

zostało z tą chwilą zapomniane. Czekala na moment jedności i spójni - i oto stało się.

Nagle drgnął i zaczął się poruszać. Była klifem, a on falami przyboju. Szła fala za falą,



w coraz krótszych odstępach. Zawładnął jej ustami, wchłaniając w siebie jej ciche jęki.

Rozkwitała w środku. Otwierała się na słońce, deszcz i wiatr.

Pot błyszczał na jego czole i ramionach. Skóra lśniła niczym powleczone polichromią.

Zafascynowana tym lśnieniem, dotykała go i smakowała, badała wargami pulsujące krwią żyły na szyi, wędrowała szlakiem ścięgien, aż dotarła do rozżarzonego do czerwoności ucha.

Jego ruchy stały się gwałtowniejsze, bardziej brutalne. Nagle zeszywniał i zamarł.

Chrapliwy krzyk uleciał z jego ust. Naparł na nią z dziką burzliwością oceanu, pragnąc ją zalać, napełnić, zmiażdżyć i porwać.

A ona, zamiast się bronić, jeszcze mocniej przyłgnęła do niego, jeszcze ściślej oplotła go nogami. W ten sposób poskromiła coś, co wydawało się nieokiełznane i poza wszelką kontrolą.

Napięte mięśnie zwiotczały, nabrzmiałe żyły ukryły się pod skórą, twarde niczym powrosła ścięgna nabrały miękkości. Krótki, końcowy dreszcz i całkiem się uspokoił.

Uniósł głowę. Ujrzała nad sobą jego oczy. Wydawały się bardziej niebieskie niż zazwyczaj.

- Moja dziewczyna - powiedział z wielką prostotą. Dotknęła zlepionego potem kosmyka, który spadł mu na czoło.

- Twoja na zawsze - odparła. Złożył głowę przy jej głowie.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI**

Rosamund robiła wszystko, żeby tylko nie płakać. Zagryzała wargi, przełykała ślinę, głęboko oddychała, a łzy mimo to płynęły po jej policzkach, potęgując jej zakłopotanie.

Nie chciała, by widział je Agravar. Na pewno by nie zrozumiał. A niech to, nawet ona nie rozumiała. Opłakiwała tyle rzeczy i spraw - radość cielesnego obcowania, smutek bliskiej rozłąki, dosłownie wszystko.

Na szczęście Agravar, który jeszcze nie wrócił do pełni sił po odniesionej ranie, drzemał teraz, dając jej sposobność zebrania myśli.

Przy okazji przypatrywała się mu, dotykając miłośnie i z wielką ostrożnością to muskularnych ramion, to porośniętego włosem torsu, to znów gładkich bioder. Jego ciało, tak różne od jej kobiecego, wydawało się jej piękne. Z kolei pamiętała wszystkie jego spojrzenia i mogła uważać, że ona również podoba się Agravarowi, którego oczy niejednokrotnie zdradzały podziw, a nawet coś w rodzaju nabożnej czci.

Dziwne, bo nigdy nie myślała o sobie jako o piękności. Cyrus i ojciec Leon niejednokrotnie ostrzegali ją przed grzechem próżności, co miało ten skutek, że była jak najdalsza od zachwywania się swoją urodą. O ile w ogóle było czym się zachwycać. Spojrzała teraz na swoje nagie ciało i odnalazła je takim, jakim było od dawna. Nowością natomiast było ramię śpiącego wikinga, przerzucone przez jej piersi. Uśmiechnęła się i pocałowała je. Poruszył się we śnie.

Była smukła i kształtnie zbudowana. Miała pełne, jędrne piersi z ciemniejszymi znamionami sutek, płaski brzuch i wąskie, choć zaokrąglone biodra o lekko wystających kościach. Zawsze uważała, że jej nogi są za długie i za szczupłe. Gdy miała jedenaście, dwanaście lat, przypominała zrebaka. Potem jej łydki i uda nabrały bardziej kobiecych kształtów, ale ich długość w proporcji do reszty ciała nie uległa zmianie.

Agravarowi mimo to się podobała. Jego spojrzenia wyrażały zachwyt i uwielbienie.

Jaka to wspaniała rzecz być podziwianą i kochaną.

I gdzież tu grzech? Bóg, który kocha każdą ludzką istotę z osobna, musi przecież radować się szczęściem, jakie znajdują w miłości. Stworzył mężczyznę i kobietę jak istoty całkiem pod względem fizycznym odmiennie ukształtowane. A dlaczego? Żeby właśnie w miłosnych zmaganiach pasowały do siebie i uzupełniały się. Stosunek miłosny mieści się w

boskim planie, nie jest, jak chciał tego ojciec Leon, wymysłem szatana. Gdyby tak było, czułaby w tej chwili lęk i obrzydzenie, a nie radość, która przepelniała jej serce.

Powoli uspokajała się i nabierała otuchy. Łzy wyschły, dał o sobie znać głód.

Zapewne Agravar również obudzi się głodny, pomyślała i wyslizgnęła się spod jego ramienia.

Najpierw jednak obejrzała ranę. Goiła się pięknie.

Agravar niczego nie zepsuł, kochając się z nią. Nałożyła więc suknię i poszła zobaczyć, co zostało zjedzenia, które zdobyła kradzieżą.

- Co to ma znaczyć? - dobiegł ją z tyłu męski głos. Tak ci pilno uciekać ode mnie, gdy dostałaś to, co chciałaś? Nie powiem, by to było miłe przebudzenie.

Odwróciła się z ręką na biodrze. Z całej jej postawy biła zuchwałość.

- Nie ma mnie przy moim ukochanym, bo zgaduję jego życzenia. Gdy jedno pragnienie zostało zaspokojone, należy sądzić, że pojawią się inne. Właśnie chcę zadbać o twój pusty żołądek.

Uniósł górną połowę ciała i wsparł się na łokciu.

- A niby skąd wiesz, moja ty mądralińska, że tamto pragnienie zostało zaspokojone?

Twarz Rosamund wyrażała w tej chwili pełne zaskoczenie.

- A nie zostało?

Wyciągnął ku niej rękę, ona zaś nie zamierzała się ociągać. Uczyniła jednak tylko jeden krok, gdyż zatrzymał ją w miejscu tętent konia.

Zdrętwiała. Davey? Lucien? Nie wiedziała już, który z nich oznaczał dla niej wybawienie, który zaś potępienie.

Agravar zerwał się z legowiska. Gwałtowny ruch wywołał ból w boku, lecz on tylko syknął i skrzywił się. Należało działać, a nie roztkliwiać nad sobą.

- Rosamund, pomóż mi.

Była oszołomiona, zareagowała jednak natychmiast. Pozbierała z ziemi części jego ubrania, po czym mu je wręczyła. Zaczął od wciągania spodni, co z powodu rany wcale nie było łatwe. Uporawszy się ze spodniami, wdział kubrak i poprosił Rosamund o miecz. Podała mu ciężką broń. Jak ciężką, okazało się, gdy zamachnął się do próbnego cięcia. Nagle miecz wypadł mu z dłoni, a ręka zwisała bezwładnie. Rana goiła się, ale skutkiem upływu krwi bardzo opadł z sił.

Gdy miecz, podniesiony przez Rosamund, ponownie znalazł się w jego dłoni, Agravar stanął w rozkroku i czekał na pojawienie się przybysza.

Na widok jeźdźca, który zeskoczył z konia przed wejściem do świątyni, Rosamund wydała westchnienie ulgi.

- Davey! - wykrzyknęła, lecz kiedy chciała wybiec zza pleców Agravara, ten chwycił ją za ramię i przykazał wracać na miejsce. Jego głos był surowy, a mina groźna. W niczym już nie przypominał kochanka, z którym dzieliła rozkoszne chwile.

Davey się zbliżył. Agravar podniósł miecz. Przez dłuższą chwilę mierzyli się oczyma.

Pierwszy odezwał się Davey:

- Przybyłem po Rosamund. Nie mam wobec ciebie żadnych złych zamiarów. Chodzi tylko o to, żebyś nie czynił przeszkód. Rosamund, łódź przyplłynęła. Zgodzili się poczekać na ciebie.

- Wynoś się - rzekł Agravar.

- Pozwól jej odejść - powiedział Davey z mocą. Nie było w nim już dawnej arogancji, ale nie było też strachu. - Ona chce być wolna. Jeśli... jeśli ją kochasz, ofiaruj jej ten najcenniejszy dar - wolność. Puść ją. Przekaż ją w moje ręce, a ja zabiorę ją tam, gdzie zawsze chciała żyć.

Agravar poczuł się tak, jakby dostał pięścią w żołądek. Niedawne chwile zasnęły się

mgłą wspomnienia. Słodysz bliskości, poczucie, że stanowi się z drugą istotą nierozzerwalną jedność, miłosne porywy, wszystko to teraz okazało się ulotne i nietrwałe. Chłopak miał rację. Nie mówił nic nowego. Przypominał tylko, że człowiek musi także robić to, co jest konieczne.

Davey ruchem głowy wskazał za siebie, na ścianę lasu.

- Już cię ponownie zaczęli szukać. Lady Alaynę chwyciły bóle porodowe, więc lord Lucien musiał wrócić na zamek. Dziś jednak podjął poszukiwania i teraz przeczesuje las niedaleko stąd.

- Czy już po rozwiązaniu? I jak czują się matka i dziecko? - pytała z ożywieniem Rosamund.

- A skąd, do diaska, mogę wiedzieć? - odburknął Davey.

A więc ten kundys jak był kundysiem, tak nim pozostał. Davey rzekł:

- Chodź, pani. Nie wolno nam zwlekać, inaczej umknie nam sposobność, która już się nie powtórzy.

Agravar opuścił miecz i spojrzał na Rosamund.

- Idź - rzekł głucho. - On ma rację. Nie macie wiele czasu.

Udręka na jej twarzy opisywała całą jej mękę.

- Nie. Już nie zależy mi na tej podróży.

- Jeśli zostaniesz, będziesz oddana sir Robertowi. Tutaj nic dla ciebie nie mogę uczynić.

Zamknęła oczy, jakby opuszczeniem powiek chciała odgrodzić się od tej prawdy.

Nagle spojrzała z rozjaśnioną twarzą.

- Jedz ze mną. Proszę, Agravarze. Możemy pojechać razem.

- Wiesz, że nie mogę. Przyrzekłem sobie stać się przeciwnieństwem ojca, stawiać honor

ponad wszystko. Wyjazd z tobą byłby odstępstwem. Proszę, spróbuj mnie zrozumieć. - Z

miłością spojrział jej w oczy. - Chyba nie chcesz, żebym stał się nikim?

- Masz rację - odparła i spuściła wzrok. Jej gęste, długie rzęsy wydawały się prawie czarne na tle bladej twarzy. - Nie mam prawa prosić cię o to.

- Masz pełne prawo prosić o wszystko. Och, Rosamund, gdybym mógł, spełniłbym każdą twoją, nawet najbardziej fantastyczną prośbę.

- Nie chcę, żebyś stał się inny. - Łzy potoczyły się po jej policzkach. Zachwiała się, przytłoczona brzemieniem niewesołych myśli.

Chwycił ją i przycisnął do serca. Tylko cudem nie zmiażdżył jej w tym geście pożegnania.

- Jedź. Jeśli nadciągnie Lucien, będzie to koniec twoich marzeń.

Wybuchnęła płaczem, co ją uczyniło już całkiem bezwolną. Wziął ją zatem za rękę i podprowadził do konia, którym przyjechał Davey. Nadstawił dłoń, ona zaś stanęła na niej bosą stopą. Po chwili siedziała już za swym przyjacielem i sługą.

Ale przecież nie mógł jej puścić bosej. Rozejrzał się i znalazł jeden bucik.

- Nie mogę znaleźć drugiego - rzekł z tak głębokim żalem, jakby chodziło przynajmniej o brylantowy wisior.

- Nie szkodzi. Musimy już jechać - rzeki Davey niecierpliwie.

Agravar spiorunował go spojrzeniem.

- Dbaj o nią. Nie zawahaj się poświęcić dla niej życia, jeśli zajdzie taka konieczność.

- Będę się nią opiekował - odparł zimno Davey. Chciał zawrócić koniem, lecz Agravar chwycił za wodze.

- Pamiętaj, jeśli coś się jej stanie, znajdę cię, choćbyś się zaszył w mysiej dziurze, a z twojej skóry każę sobie szyć płaszcz podróżny.

Grdyka Daveya powędrowała ku górze, po czym spadła, jakby urwana ze sznurka.

Młodzian zawrócił i uderzeniami pięt zmusił konia do galopu. Po chwili przepadł wśród drzew.

Agravar postąpił krok do przodu z wyciągniętą ręką, jakby w ostatniej chwili zmienił decyzję. Ale było już za późno na powiadomienie o tym kogokolwiek.

Poczuł straszny głód. Zjadł wszystko, co pozostawiła Rosamund.

Czekał. Jeżeli Davey mówił prawdę, co, znając go, nie było takie pewne, Lucien powinien zjawić się lada chwila.

Młodzian tym razem nie kłamał. Z lasu dobiegły nawoływania oraz rżenie koni.

Agravar odchylił do tyłu głowę i wydał odgłos przypominający wycie wilka. Był to jego okrzyk wojenny, dobrze znany Lucienowi. O ile jednak zazwyczaj brzmiała w nim mściwość i zapal bojowy, o tyle dzisiaj przypominał bardziej skargę żalobnika.

Niebawem z lasu wynurzyła się grupa zbrojnych z Lucieniem i Robertem na czele.

Skrzypienie uprzęży, chrzęst kolczug, podzwanianie broni, wszystkie te dźwięki były słodką melodią dla uszu Agravara.

Wstał i wyszedł na spotkanie przyjaciela.

Lucien zeskoczył z konia.

- Agravar, więc ty żyjesz! - zakrzyknął z nie skrywaną radością, klepiąc towarzysza po ramieniu.

- Jak czuje się Alayna?

- Bardzo dobrze. Można by rzec, wysmienicie. - Jeszcze szerzej rozciągnął usta w uśmiechu. - I mamy kolejnego syna.

Agravar uświadomił sobie, że mija mu owo straszne napięcie, którego doświadczał od odjazdu Rosamund. Widocznie gdzieś w głębi duszy martwił się o stan żony przyjaciela, dla

której ostatnie tygodnie ciąży były bardzo trudnym okresem.

- Moje najlepsze życzenia, przyjacielu. Tamte niepokoje masz już za sobą. Teraz jesteś szczęśliwym ojcem trójki dzieci. Dzielę waszą radość.

Lucien bacznie przyglądał się Agravarowi.

- Ja również się cieszę, że jesteś cały i zdrowy. Obawiałem się... Zresztą nieważne.

Mam cię przed sobą więc tamto nie ma już żadnego znaczenia. A Rosamund? Natrafiłeś na jej ślad?

- Nie. Wpadłem w ręce bandytów. Zabrali mi konia i porzucili na pewną śmierć.

- Odnaleźliśmy twojego konia. Jest teraz w stajni przy pełnym żłobie.

Agravar kiwnął tylko głową. Lucien wszak oczekiwał czegoś więcej, jakichś oznak radości, jako że rumak był niesłychanie cenny.

- Biłeś się? Co w ogóle się stało? Widzę porwany kubrak i ranę na twym boku.

- No cóż, nie udało mi się unik. Zdarza się.

- Rana była przypalana. Agravar wzruszył ramionami.

- Wielokroć było się rannym, więc człek już wie, co robić w takich przypadkach.

Lucien kiwnął głową, cokolwiek zbity z tropu, gdyż zaczynał już mieć pewne podejrzenia.

- Zadbalesz o siebie należycie. A ja martwiłem się o ciebie, stary przyjacielu. Kiedy nie wróciłeś w wyznaczonym czasie, różne niewesołe myśli przychodziły mi do głowy.

Agravar pominął milczeniem tę uwagę. Czuł się paskudnie. Każde kłamstwo paliło go niczym przyłożone do ciała żegadło.

- Witam cię, panie - rzekł, przenosząc wzrok na lorda Roberta. - Żałuję, że nie udało mi się odnaleźć twej narzeczonej.

- Byłeś pełen jak najlepszych chęci, kapitanie - odparł lord Robert. - Możemy mieć



tylko nadzieję, że nic się jej nie stało i że wróci do nas w odpowiednim czasie. Ufność, że odzyskamy ją, może nie mieć żadnych podstaw, ale nie wolno nam upadać na duchu. Ty, panie, wszak odnalazłeś się i twoi przyjaciele, do których mam zaszczyt się zaliczać, radują się z całego serca.

- Dziękuję za te miłe słowa - odparł Agravar, po czym zwrócił się do Luciena: -

Wracajmy do Gastonbury. Postaraj mi się o jakiegoś konia.

- Gregory! - krzyknął Lucien w stronę stojących nieopodal żołnierzy. - Dasz swojego konia kapitanowi, a pojedziesz razem z Philipem.

Agravar musiał jeszcze wrócić do świątyni, by zabrać niektóre swoje rzeczy. Stał przy legowisku. Kochał się na nim z kobietą, którą miał do końca życia już tylko wspominać. Wzruszenie ścisnęło go za gardło. Dotknął derki, owego symbolu jej miłości i troskliwości. Wtedy zobaczył but.

Kobięcy bucik. Jej bucik.

- Agravar? Ruszamy.

- Jeszcze chwila! - odkrzyknął, po czym zawinął bucik w derkę, a niewielki tobolek wsunął pod pachę.

Nie było łatwo dosiąść konia, mimo że czynił to tysiące razy i mimo że ten wierzchowiec wydawał się osłem przy jego wielgachnym rumaku. Lucien, który dostrzegł, jakie mu to sprawia kłopoty, oświadczył przyjacielowi, że po powrocie do Gastonbury musi zająć się nim Eurice.

Agravar kiwnął głową i uderzył konia piętami.

Ruszyli.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY**

Minęło siedem miesięcy, a on wciąż wyczuwał jej zapach. Wystarczyło mu zamknąć

oczy i przywołać ją w myślach, by pojawiała się pod postacią wonnego obłoku.

Wspomnienia towarzyszyły mu wiernie niczym jego własny cień. Z początku zapomnienie chciał znaleźć w wytężonej pracy, lecz obojętnie jak długo był zajęty i jak bardzo zmęczony, gdy nadchodziła chwila odpoczynku, od razu słyszał jej głos i widział oczyma duszy burzę jej złocistych włosów. Nocami te wizje stawały się wyraźniejsze i bardziej zmysłowe. Wtedy mógł obserwować, jak jej precudne ciało wygina się w paroksyzmie ekstazy, a z karminowych ust ulatują jęki rozkoszy. W piątym miesiącu rozłąki postanowił zaspokoić swą żądzę, zwracając się ku innej niewieście. Jedną z trzech życzliwych mu kobiet, o imieniu Ermengarde, wydawała się najlepszym wyborem. Nie spodziewał się jakiegoś oporu z jej strony, ba, pewien był jej przyzwolenia. Stanął więc w holu i wpijał się w nią wzrokiem dobrą godzinę, nim zrozumiała przesłanie. Podeszła, uradowana i zaczerwieniona. Gdy jednak otworzyła usta, zrozumiał, że popełnił błąd i pod błahym pretekstem wybiegł na dwór. Ta noc była wyjątkowo mroźna. Mimo to tłukł się po okolicy aż do rana, na koniec postanawiając, że musi wreszcie wyleczyć się ze swojej miłości.

Potem nastął okres względnego spokoju. Wizje, owszem, pojawiały się, lecz natychmiast odpychał je od siebie, znajdując ku temu dość siły i determinacji. Dawno już zaleczywszy cielesną ranę, leczył teraz rany duszy. Wymagało to jednak ogromnej dyscypliny.

Już nie był atakowany przez wspomnienia, tylko stał się ich panem. Gdy taka była jego wola, przywoływał tamten poranek w zrujnowanej świątyni, by zbadać swą wytrzymałość. Podobnie czynią ci, którzy co jakiś czas dotykają bolącego zęba językiem. Bolało. Raz mniej, raz więcej, ale zawsze bolało.

I tak płynęły dni - jesienne, zimowe, wiosenne.

Lucien i Robert grali w szachy. W rogu komnaty lady Veronica haftowała narzutę.

Alayna leżała na podłodze obok swojego najmłodszego synka, który otrzymał imię Luke, i całowała jego pulchne łapki. Leanna zapraszała Luke'a do zabawy, machając mu przed oczyma różnymi zabawkami i świecidełkami.

Biedny Aric był markotny. Dostawszy w skórę za spowodowanie paniki w gołębniku, co skończyło się ucieczką połowy ptaków, leczył teraz zranioną dumę. Lucien kochał syna i wcale nie uważał, by kary cielesne były jedynym środkiem wychowawczym, od czasu do czasu jednak w poważniejszych sprawach lub w przypiływie złego humoru odwoływał się do nich.

Robert potarł policzek.

- Chyba mnie osaczyłeś.

- Ale twój król nie jest jeszcze zaszachowany - mruknął Lucien.

- Stanie się to za dwa, najwyżej trzy ruchy. Agravar stał przy kominku, wpatrzony w tańczące płomienie.

Robert opadł na oparcie krzesła. Rozłożywszy ręce, chciał się przeciągnąć, lecz spojrzał na niewiasty i zrezygnował. W kącikach ust starszej damy zajaśniał sekretny uśmiezek.

Robert utkwiał spojrzenie w skoczku, który wydawał się rozpaczliwie bezbronny.

- Noc jest ciepła i widna. Proponuję przerwać grę i zażyć spaceru. Czy któraś z pań chciałaby się przejść po wałach w blasku księżyca?

Veronica wbiła igłę w materiał i odłożyła narzutę.

- Prawdę mówiąc, moje oczy są już zmęczone. Światło nie jest tu najlepsze. Tak czy inaczej, znudziło mnie to zajęcie. O czym to mówiłeś, Robercie? O spacerze? Właśnie na coś takiego mam ochotę.

- Jeżeli coś się rozpoczęło, to należy przeprowadzić rzecz do końca - zauważył ponuro

Lucien.

Alayna roześmiała się, po czym podeszła do męża. Położyła swoje szczupłe, delikatne dłonie na jego ramionach.

- Zdenerwowany tym, że odwleka się chwila triumfu? Lucien, doprawdy, gdzież twoje maniery? Lord Robert jest naszym gościem i jego życzeniem jest przełożenie partii na jutro.

Lucien odchrząknął, dając tym wyraz, co sądzi o grzeczności i manierach. Jednak pieszczotliwy gest Alayny podziałał nań uspokajająco. Wzruszył ramionami i przystał na spacer.

Nagle z hukiem otworzyły się drzwi. Wpadł żołnierz. W jego spojrzeniu było coś dziwnego i niepokojącego.

- Kapitanie! Mamy podróżnych u bramy. Mówią, że są z...

Nie dokończył, gdyż właśnie nadbiegł drugi żołnierz i krzyknął od progu:

- Kapitanie! Idą!

Lucien zmieszał się i skoczył na równe nogi. Agravar położył dłoń na rękojeści miecza. Następnie przyjaciele podeszli do siebie i stanęli przodem do drzwi, dotykając się ramionami. Było to u nich instynktowne - to wspólne stawianie czoła niebezpieczeństwu.

Wszedł przybysz i Agravar poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Duch, senna mara. Niemożliwe.

Rozpoznał w nim Daveya.

Natychmiast wyobraził sobie, że Rosamund umarła. Był tego niemal pewien. Ruszył do przodu z zamiarem skręcenia karku zwiastunowi strasznej nowiny.

Musiał mieć mord wypisany na twarzy, gdyż Davey zaczął się jąkać i cofać.

- Nie! - rozległ się niewieści głos i znów świat wywrócił koziółka.

Nawet nie śmiał spojrzeć. Musiał się przesyśleć. Było to tym bardziej

prawdopodobne, iż wielokrotnie słyszał ów głos, marząc i snując wspomnienia. Właściwie nieustannie brzmiał on w jego duszy.

- Rosamund! - zakrzyknęła Veronica i pospieszyła z przywitaniem.

Agravar wiedział już, że to nie omamy. Oderwał wzrok od poblądłej z przestachu twarzy Daveya i spojrzał ku drzwiom.

Rosamund była tam.

Veronica chwyciła ją w ramiona i tuliła do piersi niczym cudem ocalałą córkę. Jednak orzechowe oczy Rosamund spoglądały ponad ramieniem starej damy wprost na Agravara. Coś dziwnego działo się z jego nogami. Jakby wrosły w posadzkę. W końcu udało mu się od niej oderwać najpierw jedną, a potem drugą stopę. Wtedy poczuł czyjąś dłoń na ramieniu.

Obejrzał się i zobaczył Luciena.

- Zatrzymaj się. Nie ty pierwszy będziesz ją witał - ostrzegł ściszym głosem przyjaciel, dodając do swych Słów serdeczny uścisk.

Rzeczywiście, jego prawa do Rosamund były żadne.

Minął go lord Robert, ale musiał zaczekać, aż Veronica nacieszy się Rosamund i wytrze z jej policzków łzy. Jego powitanie było bardzo formalne. Ujął narzeczoną za rękę i rzekł:

- Moja droga, rad jestem, że udało ci się wrócić bezpiecznie.

- Dziękuję - padło w odpowiedzi.

Podbiegła też Alayna i obie rzuciły się sobie w ramiona potwierdzając tym, jak bardzo się stęskniły. Potem przysła kolej na Arica, który wprost szalał z radości, obsypując swą starszą przyjaciółkę gorącymi pocałunkami.

Agravar dłużej już nie mógł wytrzymać. Dał krok do przodu. Lucien zacisnął dłoń na

jego ramieniu.

Było to ostrzeżenie, które jednak Agravar tym razem zlekceważył. Wyrwał ramię i podszedł do Rosamund na sztywnych nogach. Kamienny rycerz, tyle że bez zbroi.

- Witaj w domu, pani - wyrzucił z siebie jednym tchem.

Obdarzyła go promiennym uśmiechem, pełnych sekretów, które tylko on znał.

- Dziękuję, Agravarze. Czuję się szczęśliwa, że znów jestem w Gastonbury. W istocie, tęskniłam za tym miejscem jak za rodzinnym domem. Czasem myślałam, że tu właśnie jest moje domostwo.

Agravar miał ściśnięte gardło. Dostrzegł, że Robert marszczy czoło. Dom Rosamund miał być zupełnie gdzie indziej.

Veronica, jak zawsze, wykazała największą trzeźwość umysłu.

- Moja droga, jestem pewna, że każde z nas chciałoby zadać ci dziesiątki pytań.

Najpierw jednak podziękujemy Panu, że łaskawie pozwolił ci wrócić.

Złożyli dłonie, pochylili głowy i zmówili krótką modlitwę. Następnie przeszli do dużej sali na wieczerzę. Rosamund towarzyszyli Veronica i Robert. Za nimi szli Alayna, Lucien i Aric - Lukę przekazany został w ręce mamki.

Agravar spojrział na Daveya. Dostrzegł w oczach tamtego urazę.

- Prosiłem, żeby pozwolono mi dołączyć do oddziału, który miał przeczesywać las. -

Aric zamachnął się raz i drugi swoim drewnianym mieczem. - Jestem pewien, że odnalazłbym bandytów, którzy cię porwali.

Rosamund roześmiała się serdecznie. Było to jej pierwsze spontaniczne zachowanie, odkąd przekroczyła próg tego domu i zobaczyła wszystkie drogie twarze, które poławiały się w jej snach przez te siedem miesięcy.

A potem zobaczyła jego twarz.

Chwyliła chłopca i obsypała go pocałunkami. O dziwo, nie bronił się.

- Chodź - powiedziała Alayna. - Pewnie marzysz o odpoczynku.

Rosamund skwapliwie przytaknęła. Za wszelką cenę chciała uniknąć pytań, które prędzej czy później musiały paść. Bała się ich i wolała odwlec tę chwilę. Potem przypomniała sobie wyraz twarzy Agravara i utwierdziła się w przekonaniu, że dokonała właściwej decyzji.

Wróciła, bo tak należało.

Miała pewien plan. Już zaczęła wprowadzać go w życie, lecz najważniejsze rozstrzygnięcia miały dopiero nastąpić. Teraz musiała odpocząć. Marzyła o kilku godzinach snu.

Pole ćwiczeń oświetlone było dziesiątkami pochodni. Lucien podał Agravarowi miecz.

- Masz, zamachnij się nim. - W jego głosie słychać było troskę, jak rzadko kiedy. -

Dawno nie walczyłeś, a pamiętaj, że walka jest twoim żywiołem.

Agravar był jak sparaliżowany. Nie miał czucia w palcach.

Lucien prowokował go, okładając płazem miecza.

Wyrwało to Agravara z odrętwienia. Spojrzał na Luciena, który właśnie krzyczał:

- Walcz, ty niewieściuchu. Kto sprawił, że od miesiący nie rwiesz się do walki? Kto uczynił z ciebie mięczaka? Pytam, lecz znam odpowiedzi na moje pytania.

- Jak się domyśliłeś? - zapytał Agravar. Lucien uśmiechnął się ironicznie.

- Po prostu nie mogłem sobie wyobrazić, jak można samemu przytknąć do ropiejącej rany rozgrzane do białości żelazo. To przekracza ludzką odwagę i w istocie może być tematem baśni. Ona była tam z tobą.

- Wiedziałeś od początku?

Lucien ponownie zdzielił go płazem. Tym razem zabołało.

- Walcz, ty tępaku! Zapomniałeś już robić mieczem? Agravar zacisnął dłoń na rękojeści. Wróciło mu czucie w palcach. Miecz stał się przedłużeniem jego ręki. Ciął z taką siłą, że Lucien, by odparować cios, musiał przyklęknąć.

Agravar znów walczył. Lucien miał rację. Tylko w walce rycerz może się spełnić.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY**

Lady Veronica starała się postępować bardzo ostrożnie. Podczas gdy Rosamund brała kąpiel, a Hilde dawała popis radosnej hysterii, krzycząc, płacząc, śmiejąc się i chwając Pana, rzuciła mimochodem, że sir Robert zapewne zażąda wyjaśnień. Rosamund udała, że nie słyszy.

Alayna, która była bardziej bezpośrednia, usiadła obok kuzynki i przyjaciółki, kiedy ta, już wyszorowana i w nocnej koszuli, oddała swe włosy w ręce służącej, i zapytała wprost, bez ogródek. Właśnie służba wynosiła balię i z przyczyny otwartych drzwi powstał przeciąg.

Rosamund poczuła, że całe jej ciało pokrywa się gęsią skórką, i poprosiła o chustę.

Wszyscy czekali na jej odpowiedź. Kiwnęła głową. Było jej ciężko na duszy.

- Zdaję sobie sprawę, że lord Robert ma prawo wiedzieć, co się ze mną działo przez te siedem miesięcy. Wasza ciekawość również bierze się z przyjaźni, a nie ze złej woli. Rzecz jednak w tym, że wolałabym na razie o tym nie mówić. Chyba że stanie się to absolutnie konieczne.

Dał się słyszeć męski głos:

- Jeżeli to dla ciebie bolesne, pani, możemy o tym nie wspominać. - Sir Robert stał w drzwiach, by następnie zdecydować się wejść. - Proszę wybaczyć, że nachodzę cię w twojej komnacie, pani, lecz spieszyłem do lady Veroniki wypytać o twoje zdrowie i zobaczyłem otwarte drzwi.

Veronica wstała i zaczęła splatać i rozplatać dłonie. Rosamund zdziwiła się, skąd u jej



przyjaciółki, zazwyczaj spokojnej i opanowanej, nagle taka nerwowość.

- Zabiorę wam, moje panie, niewiele czasu - ciągnął sir Robert. - Wyglądasz wspaniale, Rosamund. Piękna jak zawsze.

- Dziękuję za miłe słowa.

- Chciałbym coś powiedzieć w nadziei, że zostanie to zapamiętane. Te siedem miesięcy, kiedy nie było cię z nami, bo znajdowałaś się w rękach bandytów, są w jakimś sensie bez znaczenia. Najistotniejsze jest to, że znów cię widzimy i możemy się tobą cieszyć. Zechcesz nam opowiedzieć o swej niewoli, bardzo dobrze, nie zechcesz, uszanujemy twoją wolę.

Rosamund spojrzała mu w oczy. Był taki uprzejmy i wyrozumiały. Poczowała wyrzuty sumienia. Było rzeczą podłą zdradzać i oszukiwać kogoś tak dobrego.

Milczała, tedy on ciągnął:

- Tak więc ani ja, ani nikt inny nie będziemy żądali wyjaśnień. Ma się rozumieć, kontrakt zaręczynowy, który nas sobie przeznaczył - tu rzucił krótkie spojrzenie w kąt pokoju, gdzie stała Veronica - jest nadal aktualny i obowiązuje obie strony. Moją intencją jest doprowadzić go jak najszybciej do skutku. Potem zabiorę cię do mojego domu, gdzie z dala od bolesnych wspomnień rozpoczniesz nowe życie.

Zanim Rosamund zdążyła odpowiedzieć, sir Robert odwrócił się i, wyprostowany, opuścił komnatę.

- Co za mężczyzna! Co za mężczyzna! - zawołała piskliwym głosem Hilde przewracając oczyma, co na chwilę upodobiło ją do tych nieszczęśliwców, którym zdarza się podrygiwać w tańcu świętego Wita.

Alayna dotknęła ramienia kuzynki.

- Przyznasz, że szlachetności sir Robert posiada w nadmiarze.

- Tak - zgodziła się Rosamund.

Sir Robert miał miłą powierzchowność i arystokratyczne rysy twarzy. Jego maniery i ogłada stawiały go w rzędzie najbardziej kulturalnych baronów królestwa. Poza tym było w nim coś ujmującego, co wynikało po prostu z dobroci serca. A jednak nie chciała go. Nie czuła do niego miłości.

Zachowanie lorda można było śmiało nazwać wielkodusznym. Bez wątplenia wszyscy w Gastonbury pozostawali w przeświadczeniu, że została zgwałcona przez porywaczy. Już samo podejrzenie wystarczyłoby, by zerwać zaręczyny. Przytłaczająca większość mężczyzn nie chce żenić się z niewiastą, z której ciała inni zrobili już sobie uciechę. I właściwie trudno odmówić im racji. Gdyby więc sir Robert chciał się wycofać, bynajmniej nie postawiłoby go to w niekorzystnym świetle.

W gruncie rzeczy na to liczyła - na zerwanie kontraktu. Wielkoduszność sir Roberta rozwiązała te nadzieje.

Opanowało ją przygnębienie. Nic nie miało się zmienić. Znalazła się w punkcie wyjścia.

O, nie! Musiała wreszcie zdusić te swoje skłonności do czarnowidztwa. Tak wiele się zmieniło. Była dziś bardziej niż kiedykolwiek zdecydowana wywalczyć dla siebie wolność.

Pragnęła Agravara. Rzykując wszystko, powróciła tu, by walczyć o swoją przyszłość.

Hilde coś tam paplała, wciąż rozpluwając się nad lordem Robertem. Gdy jazgot służącej milkł, Alayna wtrącała to i owo o wydarzeniach minionych kilku miesięcy. Milczała jedynie Veronica. I wydawała się jakaś smutna.

Było to bardzo dziwne.

Agravar siedział nad kuflem piwa i wpatrywał się w sęk w desce stołu. Dręczyły go dziesiątki pytań, a nie miał najmniejszej nadziei na odpowiedzi.

Na przykład dlaczego wróciła?

Upokarzała go wręcz sytuacja, która narzucała mu ostatnie miejsce w kolejce do osoby, do której miał największe prawa. Musiał siedzieć tu sam, jak gdyby Rosamund była dla niego jedynie gościem pana tego zamku. A najgorsze z tego wszystkiego było udawanie, fałsz, którym musiał nasycać każde swoje słowo.

Pociągnął łyk piwa. Skrzywił się. Było letnie i kwaśne. To uświadomiło mu, że siedzi tu już wiele godzin.

Rozejrzył się po holu. Wszędzie kręcili się służący. Rozstawiali stoły i ławy. Musiała zbliżać się pora wieczery. Czyżby strawił na rozmyślaniach cały dzień?

Szukając jakiegoś zajęcia, poszedł do stajni, lecz jego koń miał pod dostatkiem ziarna i siana. Ruszył na pole ćwiczeń. Nawet się nie zdziwił, że nie ma tam nikogo, bo ostatecznie była to pora posiłku. W pobliżu bramy dobijało targu kilku kupców i jakiś włościanin; spieszyli się, by skończyć przed opuszczeniem kraty i podniesieniem zwodzonego mostu.

Dzień był podobny do innych dni, a jednak Agravarowi wydawał się wyjątkowy. Porażał go po prostu swoją pustką.

Kiedy szedł wzdłuż przylepionych do muru domostw, przyciągnęła jego uwagę młoda niewiasta. Miała sterczące piersi i uśmiechała się zachęcająco.

Wydała mu się znajoma i po chwili uświadomił sobie, że jest jedną z tych trzech anielic, które nie szczędziły mu dowodów zainteresowania.

Przeszła, rozczarowana, że jej nie zaczepił jakimś miłym słowem.

Wszedł na mury i długo wpatrywał się w zachodzące słońce. Chowało się za ścianę lasu, a wraz z tym potęgował się chłód.

Postanowił, że nie wróci do zamku. Jeśli Rosamund pojawi się na wieczery, co nie było takie pewne, zajmie miejsce po lewej ręce sir Roberta, on zaś nie chciał widzieć jej w

towarzystwie innego mężczyzny. Pozostał więc na murach aż do zapadnięcia nocy.

Nadszedł strażnik robiący nocny obchód.

- Pieskie zimno, kapitanie - rzekł, mając nadzieję na pogawędkę.

- Tak - odparł zamyślony Agravar, nawet nie spoglądając na podkomendnego.

Ten zmieszał się, wzruszył ramionami i poszedł dalej. Agravar zszedł z murów i ruszył do swej kwatery. Był już przy drzwiach, gdy z cienia wyłoniła się jakaś postać. Nim stanęła w pełnym świetle pochodni, Agravar rozpoznał w niej jedynie niewiastę. Minęła chwila i zobaczył... Rosamund. Zmartwił.

- Co tu robisz? - spytał schrypniętym głosem. Uśmiechnęła się.

- Musiałam przyjść. - Uniosła prawą rękę.

Zobaczył, że trzyma w niej but. Rozpoznał go natychmiast. Miał drugi od pary, jedyną pamiątkę po niej. Trzymał bucik w specjalnym schowku, a to z uwagi na służących, którzy co kilka dni sprząтали mu komnatę.

- Jeden but do niczego mi nie jest potrzebny. Nabiera wartości dopiero ze swym towarzyszem.

Odzyskał wreszcie władzę w członkach. Ruszył ku niej, ona zaś nie czekała biernie, tylko podała się ku niemu. Chwycił ją w ramiona i ukrył twarz w jej włosach. Odnalazł znajomy zapach.

- Boże, nie sądziłem, że znów będę mógł tulić cię do serca. - Zebrawszy jej włosy, odchylił głowę. Zobaczył roześmianą, promieniejącą szczęściem twarz. - Kobieto, żebyś wiedziała, jak za tobą tęskniłem.

- A ja za tobą, ty paskudny wikingu. - Uśmiechała się przez łzy. Serce biło jak oszalałe. Brakowało jej tchu. - Nawiedzałeś mnie każdego dnia, stawałeś mi przed oczyma w najbardziej nieoczekiwanych momentach. Przyznaj się, że zapłaciłeś jakiejś wiedźmie, by

mnie zaczarowała. No i zrobiła to, bo wróciłam i jestem.

Roześmiał się serdecznie.

- Jeśli widziałaś wczoraj moją minę, to powinnaś wiedzieć, że w najśmielszych marzeniach nie spodziewałem się twojego powrotu.

- Nie tylko widziałam, lecz poza twoją twarzą nie dostrzegłam żadnej innej. Przez wszystkie te długie tygodnie marzyłam tylko o tym, żeby zobaczyć cię i móc pocałować.

Czekam więc, ukochany. - Przymknęła oczy i rozchyliła usta. Któż mógłby się oprzeć tak cudownemu zaproszeniu?

Jednak Agravar rozejrzał się dokoła.

- Nie tutaj, moja piękna. Mogą nas zauważyć. W mojej komnacie będzie bezpieczniej.

Weszli do środka i gdy tylko drzwi zamknęły się za nimi, złączyli się w pocałunku.

Rozłąka, będąca sama w sobie czasem marnym, przerażającym swą pustką, ma tę dobrą stronę, że wnosi pragnienie na jakieś niebotyczne wyżyny. Wtedy ponowne odnalezienie granicy wręcz z cudem i wszystko, co jest z tym związane, staje się cudowne. Takie były jego i jej wargi, zapach, cudowny dotyk dłoni. Ten pocałunek miał nie mieć końca, bo był zadośćuczynieniem za siedem miesięcy bolesnej tęsknoty. Jeśli mimo to się skończył, to tylko dlatego, że zabrakło im tchu.

- Każdej nocy śniłam, że jestem z tobą.

- A ja próbowałem przepędzić cię ze swych myśli. Cóż po kapitanie straży, który chodzi jak błędny, bo świata bożego nie widzi poza pewną piękną złotowłosą.

Agravar zapalił świecę i usiedli na łóżku, jedynym meblu, który nadawał się do siedzenia.

Rosamund jednak uznała za stosowne zastrzec:

- Tylko nie myśl sobie, że siedzenie na łóżku musi zaraz pociągnąć za sobą inne

rzeczy.

- Och, Rosamund, czyż naprawdę muszę uciekać się do jakichś nędznych podstępów, by wyrazić ci swą miłość? Przytul się do mnie.

Uczyliła to. Przyłgnęła do niego bardzo, bardzo mocno.

- To chyba pierwszy raz, gdy o coś poprosiłem, a ty spełniłaś moją prośbę.

- Na pewno nie pierwszy. Czyż w ogóle mogłabym ci czegoś odmówić?

- Wtedy prosiłem, żebyś mnie rozwiązała, a ty przecież odmówiłaś.

Ruchem ręki wyraziła sprzeciw.

- Zachodziły wtedy pewne okoliczności...

- Jakie okoliczności?

- Chciałaś przeszkodzić mi w ucieczce.

- I poczułaś się zmuszona walnąć mnie w głowę i związać niczym prosiaka. - Czule, niemalże z uwielbieniem gładził jej jedwabiste włosy.

- Ileż razy mam ci powtarzać, że ogłuszył cię Davey. Uśmiechnął się niczym do świętego obrazka.

- I tylko on nałożył mi pęta?

- Owszem, pomagałam mu. Nie zapominaj jednak, że potem wróciłam i zajęłam się tobą.

Zsunął dłoń na jej plecy. Wyczuwał pod palcami drobne kręgi.

- To była tylko chrześcijańska posługa.

- Nie wiem, czy „tylko”, dość że dzięki niej wyrównałam rachunki.

- Niech ci będzie. - Siedziała obok i torturowała go. Bo ciało jej było dla niego tym, czym dla spragnionego wędrowca kropla wody. Miał wargi zeschnięte na pergamin. - A teraz, Rosamund, wytłumacz mi jedno. Narażałaś się na wiele niebezpieczeństw, by wywalczyć dla

siebie wolność. Dlaczego więc wróciłaś?

- Musiałam. Po prostu bardzo lubiłam moje buty i znów chciałabym w nich chodzić.

- Buty, powiadasz?

- Jeden bez drugiego wart jest tyle, co garść piasku na pustyni. Bez ciebie życie tam nie miało większego sensu.

- Wróciłaś do mnie?

- Kocham Gastonbury. Kocham moją kuzynkę i jej najbliższych. Ale najbardziej kocham ciebie. Bez ciebie nigdy i nigdzie nie będę szczęśliwa.

Pochylił głowę. Poraziły go wręcz te słowa. Ukazywały one bowiem cały tragizm ich sytuacji.

- Nie sądzę, by Davey był szczęśliwy, gdy postanowiłaś wrócić.

- Zgodził się niechętnie, zastrzegł się też, że będzie to jego ostatnia dla mnie przysługa. Nie odzywał się przez całą drogę powrotną. Po dowiezieniu mnie do Gastonbury miał natychmiast wyjechać. Pewnie już to zrobił.

- A co z sir Robertem? Wiedziałaś, że będzie tutaj, zdecydowany zostać twym mężem?

Westchnęła.

- Przyznaję, że kiedy go ujrzałam, przeżyłam prawdziwy wstrząs. Wiedziałam jednak, że prędzej czy później będę musiała się z nim rozmówić. - Zawahała się, jakby nie do końca pewna słuszności tego, co zamierzała za chwilę powiedzieć. - To dobry człowiek. Myślę, że nie muszę się go obawiać. Nauczyłam się od ciebie bardzo dużo, Agravarze. Wiem już, że nie każdy mężczyzna musi być taki jak Cyrus. Porozmawiam z sir Robertem. Moja nadzieja w tym, że nie będzie mu zależało na narzeczonej, która go nie chce. Powiem mu całą prawdę. - Przechyliła głowę na ramię. - No, może niezupełnie całą.

- Chodź do mnie - rzekł szorstko i przyciągnął ją, gotów całować do skończenia świata

Poddała się mu chętnie i w rezultacie, nie wiadomo kiedy, poczuli pod plecami siennik.

To ich rozbawiło i przez chwilę pieścili się nawzajem.

- Jesteś pewna, że chcesz porozmawiać z sir Robertem?

- Winna mu jestem szczerą. Bóg, czyniąc nas wolnymi, zobowiązał nas

równocześnie do mówienia prawdy. - Zatrzepotała rzęsami, po czym spojrzała mu prosto w

oczy. - A potem będę musiała poszukać sobie męża Nie znasz przypadkiem kogoś, kto nie

stawiałby zbyt dużych wymagań?

Trzymał teraz dłonie na jej biodrach. Ale jakiegokolwiek cząstki jej ciała by teraz

dotykał, liczyła się dla niego przede wszystkim jej dusza.

Bijące miłością serce rozsadzało mu pierś.

- Rosamund, jesteś moim życiem. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? Bez

ciebie jestem nikim.

- Więc bądź sobą Agravarem Wikingiem, ze mną. Bądź moją miłością – szepnęła.

- Na zawsze.

Zawiesił wzrok na jej wargach. Nie mógł już się zatrzymać. Jego ciało płonęło.

Wślizgnęła się na niego. Świadomie lub nie, trudno było mu to rozstrzygnąć, podsycił

płonący w nim ogień. Przywarła brzuchem do jego brzucha, piersiami do jego torsu. Igrała z

nim również na inne sposoby. Osypała jego głowę deszczem swych złocistych włosów,

bawiła się uchem, wędrowała palcami po spadzistościach szczęk i brody. Wreszcie nie dawała

mu zapomnieć, że jest spragniona jego ust.

- Wróciłam do ciebie, Agravarze. Tylko do ciebie. Ujęła jego twarz w dłonie i z

miłością spojrzała mu w oczy. - Raz to już powiedziałam, a teraz powtarzam - należę do

ciebie. Ty jesteś moim początkiem i celem.



Gdyby mógł ją pochłonać, zawłaszczyć jednym zaborczym aktem, wtedy wszystko

byłoby bardziej proste. Była przecież jego. Czyż sama tego nie powiedziała?

Wysunęła się z jego ramion, zwinna niczym wiewiórka. Spojrzał, owładnięty

dziwnym uczuciem, że to nie jej ubyło, tylko odpadła jakaś część jego własnego ciała. Stała przy łóżku, zsuwając suknię z ramion. Wynurzała się zielonego aksamitu na kształt białej lilii.

Niebawem do leżącej na podłodze sukni dołączyła koszula.

Chciała wrócić do niego, gdy zatrzymał ją uniesieniem dłoni. Pragnął nasycić oczy

widokiem jej ciała. Jej kora jaśniała perłowo w świetle świecy. Brodawki sterczały dumnie.

Piersć falowała. Poniżej brzucha ciemniało łono. Wyciągnął rękę i wsunął palce pomiędzy jej uda. Dotarł do źródła rozkoszy.

- Ty nienasycona bestio - rzuciła chrapliwym głosem i klękając na łóżku, sięgnęła

ku związanym końcom sznura jego spodni. - To nieuczciwe brać, nic w zamian nie dając.

- Rządzisz się jak szara gęś.

Uśmiechnęła się pod nosem.

- Stokrotne dzięki. Ty pierwszy dałeś przykład samowoli. Rozbieraj się.

- Ani mi w głowie się sprzeciwiać.

Gdy pozbył się ostatniej części odzienia, pchnęła go i przewróciła na łóżko. Jej dłonie powędrowały ku miejscu, gdzie niegdyś jątrzyła się rana.

- Piękna blizna.

- Jedna z wielu na moim ciele. Jeśli kazałaś mi się rozebrać tylko po to, by rzucić okiem na bliznę, to będę boleśnie rozczarowany.

Zareagowała perlistym śmiechem i, wytrawna kusicielka, nakryła go swoim ciałem.

- Oto, o czym marzyłam przez te miesiące. Tak właśnie chciałam być z tobą. - Raz i drugi otarła się o niego.

Mimo zaciśniętego gardła, udało mu się powiedzieć:

- Musiałaś często o tym marzyć, skoro dokładnie wiesz, co robić, by zawrzała we mnie krew.

- A ty nigdy o mnie nie marzyłeś?

- Czasami. Kiedy ogarniała mnie nuda.

Jej mała pięść wylądowała na jego szerokim torsie.

- Pozwól mi uściślić rzecz. Właściwie wciąż się nudziłem.

Spojrzała nań badawczo.

- Więc wciąż myślałeś o mnie?

- W rzeczy samej tak było.

- Hmm.

- Dlaczego mnie nie całujesz?

- Godne ubolewania przeoczenie - przyznała ze śmiechem.

- Ani słowa więcej. - Wziął ją pod siebie i przez jakiś czas miażdżył jej usta w namiętym pocałunku.

- Tak długo czekałem - rzekł, wciągając powietrze. - Teraz będziesz moja.

Była jak otumaniona. Patrzyła nań oczyma zaszłymi mgiełką rozkoszy, tej doznawanej i tej oczekiwanej. Coś szepnęła i brzmiało to jak przyzwolenie.

Zespolili się i okazało się to jeszcze wspanialsze niż wtedy w zrujnowanym kościele.

Większe też było ich zmęczenie, gdy przyszło im się rozdzielić.

Powoli przychodził do siebie. Rosamund wtulała się w niego, on zaś znaczył pocałunkami jej wspaniałe ciało.

- Widzisz, gdy jesteśmy razem, wszystko jest takie piękne - powiedziała, wciąż dysząc.

- Za dużo mówisz.
- Będę cicha i uległa przez całe moje życie. W końcu jednak mogę z tobą rozmawiać i chcę to zrobić.
- Więc rozmawiajmy - rzekł z westchnieniem. Słowa padły dopiero po pewnej chwili:
- Tylko to chciałam powiedzieć. Był rozbawiony.
- Kocham cię.
- Możesz mi to mówić sto razy na dzień, a wciąż będzie mi za mało. Obiecuj, że nawet kiedy się zestarzejemy i doczekamy się wnuków, nadal będziesz to mówił.

Pogłodził ją po policzku.

- Rosamund, wiesz, że cię pragnę. Wziąłbym cię za żonę bez chwili wahania. Nie wolno nam jednak zapominać o sir Robercie.
- Toteż nie zapominam. Porozmawiam z nim. Sądziłam, że wycofa się z umowy, podejrzewając, że nie jestem już dziewicą. - Zachichotała. - Co zresztą jest najprawdziwszą prawdą. Tyle że sir Robert ma błędne pojęcie o sprawcy.
- Sir Robert uważałby zerwanie kontraktu za czyn niehonorowy. To rycerz, który honor stawia ponad wszystko.
- Tak, teraz to już wiem. Liczę jednak na to, że widząc moją niechęć, nie będzie zmuszał mnie do małżeństwa. Pocieszam się też myślą, że sir Robert nie darzy mnie głębszym uczuciem. Powiedział do mnie dotychczas zaledwie kilkanaście słów. Zazwyczaj przebywa w towarzystwie Luciena bądź Veroniki - widocznie woli ich ode mnie. Nie mogę też sobie wyobrazić, by dał się skusić posagiem, który jest nader skromny. W sumie nie jestem dla niego jakąś niezwykłą partią. Przemówię mu do rozsądku i, jak ufam, przekonam go.
- Kiedy planujesz z nim porozmawiać?

- Muszę wybrać odpowiedni moment. Chcę być szczerą z tobą, więc nie kryję, że trochę się boję. Nie jestem już jednak tą zastraszoną istotą, którą byłam podczas mojej pierwszej tu bytności. Teraz potrafię przezwyciężyć strach.

Pocałował ją w czoło.

- Zrób to możliwie najprędzej. Jeśli potrzebujesz mojej pomocy...

- Och, kochany, wiesz, że jesteś mi nieodzowny. Ale akurat to jedno muszę doprowadzić do końca sama.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY**

Opuściła komnatę Agravara dopiero o świcie. Nie było to zbyt rozsądne, lecz pogrążeni w rozmowie, zapomnieli o upływie czasu. Opowiadała mu o swoich podróżach, o widzianych miastach i krajobrazach, wreszcie o odmiennych obyczajach mieszkańców kontynentu. Kochali się ponownie, po czym zasnęli. Gdy się obudziła, pomyślała, że nie może rozstać się z nim bez pożegnalnego pocałunku. A ten niebawem nabrał innych treści. Teraz przemykała się długimi korytarzami zamku, czując się po trosze jak złodziejka, po trosze jak wiarołomna żona.

Na szczęście nikt jej nie zobaczył, a najbardziej lękała się wczesnie wstającej służby.

Zamknawszy za sobą drzwi swej komnaty, przede wszystkim zadbała o to, by jej łóżko wyglądało, jakby spędziła w nim noc. Była zbyt podekscytowana, by rozbierać się i próbować przespać jeszcze kilka godzin. Kiedy więc Hilde przyszła o zwykłej porze, zsstała swoją panią umytą już i ubraną, a przy tym niespokojnie chodzącą tam i z powrotem.

- Moja gołąbko, czy nie za wczesnie dziś powitałaś dzień? - spytała służąca.

- Nie mogłam spać.

- Koszmary? - Hilde mimo woli popatrzyła po co ciemniejszych kątach.

Rosamund pamiętała, że od dwóch dni występuje w roli cudem ocalałej ofiary

porwania.

- Prześladowały mnie różne myśli.

- Raczej nachodziły, panienko, bo naprawdę nie ma się czym przejmować. Wszystko jest na najlepszej drodze i musimy zacząć przygotowywać się do wyjazdu do Berendsfore. Z naszym kochanym lordem, na którego w niebie już czeka wyściełane krzesło. Szlachetny pan i co za mężczyzna! Doprawdy, jest o czym myśleć. Gdybym ja miała zostać żoną takiego rycerza, to pewnie ze szczęścia wyrosłyby mi skrzydła.

Rosamund stłumiła jęk.

- Posprzątaj, a ja tymczasem idę do pracowni. - Nie planowała tego wyjścia, po prostu musiała uciec przed Hilde, która najwyraźniej zamierzała ją zamęczyć.

W pracowni zastała tylko lady Veronicę. Uniosła oczy znad robótki i pozdrowiła ją.

- Wcześniej wstałaś - zauważyła. Rosamund wydawała się zamyślona.

- Czy Alayna już się obudziła?

- Jest z dziećmi.

Rosamund usiadła i zabrała się do gręplowania wełny.

Veronica chrząknęła. Rosamund uniosła głowę.

- Wiesz, miła moja, chciałabym z tobą porozmawiać...

Drzwi się otworzyły i weszła Alayna z córeczką. Nie kryła zaskoczenia.

- Koniec świata! Obie wstały pewnie jeszcze przed pianiem koguta!

Rosamund wciąż patrzyła na Veronicę. Matka Alayny zaledwie przypominała dziś siebie samą. Najwyraźniej czaił się w niej jakiś lęk. W niewieście, która dotychczas zadziwiała wszystkich odwagą!

Kilka godzin później Rosamund szła korytarzem. Nagle z tyłu oplotły ją czyjeś mocne ramiona, a wielka dłoń spoczęła na jej ustach, by zdusić ewentualny krzyk.

Została wciągnięta do alkowy.

- Nie radzę czynić alarmu, gdyż w ten sposób minie pocałunek - usłyszała męski głos i dłoń opadła. Odwróciła się.

- Agravar! Co tu robisz?

- Czatowałem na ciebie. Nie widzieliśmy się tylko pół dnia, a już zacząłem tęsknić.

Pocałował ją, ona zaś przy okazji mogła stwierdzić, że każdy z jego pocałunków jest inny, jakby wyrażała się w nich zawsze inna strona jego osobowości.

- Rozmawiałaś już z sir Robertem? - zapytał, cofając głowę.

- Nawet go nie widziałam.

- Mnie też nie wpadł w oczy. Co prawda, przez cały ranek zajęty byłem z Lucienem.

Zbliża się święto pasowania na rycerzy kilku młodych pachołków z ziemiańskich rodzin. -

Przesunął dłoń w dół po jej boku, talii i biodrze. - Zrób to możliwie najprędzej.

- Obiecuję, że poproszę go o rozmowę przy pierwszej okazji. - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Przestań mnie dręczyć.

- Owszem, ale pod warunkiem, że i ty przestaniesz znęcać się nade mną.

- Ja się nad tobą znęcam?

- Tak. Doprowadzasz mnie do szaleństwa samym swoim widokiem. Zżera mnie pożądanie. To straszne, do czego mnie doprowadziłaś.

- Do czego sam siebie doprowadziłeś, kochany. Próbowałem wsunąć dłoń za jej dekolt.

Odrzuciła go.

- Panie, jesteś rozpustnikiem.

Dały się słyszeć kroki. Ktoś nadchodził. To był służący, który przeszedł, nie zauważywszy ich.

Rosamund, przestraszona samą możliwością ujawnienia sekretu jej miłości, nie

chciała słyszeć o dalszych pocałunkach i pieszczotach.

- Nie chcę, by uznano mnie za kłamczuchę i obłudnicę.

- Powiedz sir Robertów, a do tego nie dojdzie.

- Powiem mu, ale musisz się zdobyć na cierpliwość. Potrzebuję trochę czasu.

Spoważniał. Wyrwało mu się z ust ciężkie westchnienie.

- Wiem, że nie powinienem cię poganiać.

- Tak, choć z drugiej strony podoba mi się ta twoja niecierpliwość.

Uśmiechnął się.

- Zmieniłaś się.

- Na gorsze czy na lepsze? - zapytała zalotnie. Patrzył z miłością.

- Jaśniałaś, a teraz wręcz porażasz.

- Znowu ktoś nadchodzi. Wkrótce się spotkamy.

- Przyjdź do mnie dziś w nocy. - Ukradł jej ostatniego całusa.

- Niczego nie obiecuję. Zaraz nas zobaczą.

- Obiecuj.

- Agravar!

- Obiecuj.

- Dobrze, przyjdę.

Puścił ją, jak się okazało, w ostatniej chwili. Bo właśnie wszedł służący, który na widok Agravara wyraźnie się ucieszył.

- Myślałem, że już cię nie odnajdę, kapitanie. Mój pan chce z tobą porozmawiać.

Czeka na ciebie w swojej komnacie. - Jego wzrok wciąż uciekał ku Rosamund, a na twarzy pojawił się domyślny uśmiezek.

- Dziękuję, kapitanie - powiedziała chłodno i nieco z wysoka. - Wezmę pod rozwagę

twoje rady. Życzę miłego dnia.

Gdy jednak Agravar wszedł do komnaty Luciena, zastał tam tylko Alaynę. Wydawała się nieco strapiona. Spytał ją o męża.

- Nie ma go tu - odparła. - Poprosiłam Luciena, żeby pozwolił mi porozmawiać z tobą na osobności. Agravarze, dotarły do nas pewne wiadomości, które dla ciebie mogą okazać się dość trudne do przyjęcia. Mówię to, żebyś zebrał całą swoją odwagę.

Agravar zacisnął zęby. Czyżby zanosilo się na rozmowę o Rosamund?

- Zapewniam cię, Alayno, że nie brak mi odwagi. Wyciągnęła ku niemu rękę ze zwojem pergaminu.

- Wiemy o tym dopiero od rana. Posłaniec przybył z Tannyhill. Przywiózł smutną wiadomość. - Westchnęła. - Twoja matka nie żyje.

Myśląc o klęskach i nieszczęściach, o których za chwilę usłyszy, zupełnie nie przygotował się na przyjęcie akurat tej wiadomości. Śmierć matki - osoby, która nie obdarzyła go przez lata ani jednym cieplejszym spojrzeniem, dla której był cierniem w sercu, od której miast miłości spodziewał się nienawiści - nie powinna być właściwie niczym wstrząsającym. A jednak coś w nim zaczęło się kruszyć i kurczyć. Wsparł się o blat stołu.

- Tak mi przykro, Agravarze - rzekła Alayna załamującym się głosem. - Nie było mi łatwo to przekazać.

- Jesteś dzielną kobietą, Alayno. Ale nie sądz, że byłem równie kochającym synem jak ty kochającą córką. - Powiedział to wbrew wzruszeniu, jakie ogarnęło go mimo wszystko na wieść o śmierci matki.

Położyła mu dłoń na ramieniu w geście pociechy.

- Rozumiem. Lucien nigdy mi nie powiedział wprost lecz na podstawie pewnych jego napomknień wyrobiłam sobie pogląd na stosunki łączące cię z matką.



Kiwnął głową i podszedł do okna. Spoglądał na błonia, niebo i las, lecz w istocie wpatrywał się w swoją przeszłość.

- Niewiele nas łączyło.

- Agravar, czasami mylimy się co do własnych uczuć. Ostatecznie twoja matka dała ci życie. Miała swoje słabości, lecz przecież jej życie było nie kończącym się pasmem smutku.

Żadne z nas nie zajrzało i już nigdy nie zajrzy do jej serca. Kto wie, czy nie było tam skrywanej miłości do syna. Być może masz rację - rzekł w zamyśleniu. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Żałoba ci przystoi jak każdemu synowi po stracie rodzica.

Odwrócił się i ująwszy jej obie dłonie, serdecznie je uścisnął.

- Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Oczy Alayny zwilgotniały.

- Chcę, żebyś wiedział, jak bardzo tu jesteś kochany. Wzruszenie chwyciło go za gardło. Z trudnością przełknął ślinę.

- Jestem szczęściarzem, że mam takich przyjaciół. - Mówił prawdę. Jednak cała prawda musiałaby obejmować też Rosamund, już nie przyjaciółkę, tylko umiłowaną.

Śmierć matki stawała się tym samym znakiem przełomu. Przeszłość została definitywnie przekreślona. Rozpoczął się nowy czas. Kobieta, która go odrzucała, zastąpiła niewiasta, która darzyła go miłością. Mógł też liczyć na Alaynę, Luciena i innych. Zaczynał się czas obfitości. Ufał, że dołączy do tych, którzy zaznali szczęścia w życiu.

- Powiadomię teraz Luciena, że może wejść. - Alayna potrząsnęła głową i roześmiała się. - Nie było dokładnie tak, jak ci powiedziałam. Nie prosiłam go o zgodę na porozmawianie z tobą na osobności, tylko po prostu wyrzuciłam go za drzwi. Strach pomyśleć, jak ten brutal zabrałby się do rzeczy. Bo, niestety, pamiętając o wszystkich zaletach Luciena, nie ma on za grosz delikatności.

Agravar wolał nie mówić Alaynie, że w przypadku Luciena pod maską pewnego rodzaju nieokrzesania kryje się człowiek rozumny, świadomy wielu spraw, a nawet przebiegły. Więc tylko uśmiechał się i ścisnął dłonie żony przyjaciela.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY**

Rosamund dotrzymała słowa i przysłała tej nocy. Wziął ją w ramiona i kochał się z nią po kres. Dopiero kiedy odpoczywali, powiedział jej o matce. Zdumiało go, że ma tyle do powiedzenia. Mówił o wszystkim, co leżało mu dotąd na sercu. Odsłonił całą swoją duszę.

Ale bo też słuchała go osoba niezwykła. Jedyna, która mogła się stać jego powierniczką.

- Zawsze widywałem ją bladą i zamyśloną. Jawiła mi się niczym duch i jako chłopiec

bałem się jej. Gdy dorosłem, patrzyłem na nią bez lęku. Chyba nawet w jakimś sensie

fascynowała mnie. Oczekiwałem na znak, że dla niej istnieję. Pragnąłem, żeby choć na mnie spojrzała.

- Jakie to smutne - rzekła Rosamund, ogarniając go opiekuńczo ramionami.

Jego śmiech zabrzmiał dziwnie i niepokojąco. Agravar wpatrywał się w sufit.

- Dała mi tylko życie, a jednak kochałem ją. Bardzo cierpiałem, że miała mnie w takiej pogardzie.

- Nie ciebie - zaprzeczyła żywo Rosamund. - Ona nawet cię nie знаła, skąd więc

mogła wiedzieć o tych pokładach dobra w twoim sercu. Widziała w tobie syna swego dręczyciela, a nie odrębną osobę, po stokroć godną miłości.

- Mówisz tak, bo mnie kochasz.

- Miłość nie stanowi usprawiedliwienia dla kłamstwa. Kocham cię, lecz nie oznacza

to, że kłamię - odparta z mocą. - Trzy razy uratowałeś mnie, a nawet cztery, jeśli doliczyć wolność od strachu. Któż inny mógłby tego dokonać?

Uśmiechnął się. Ból powoli ustępował. Z Rosamund wszystko było łatwiejsze.

Rosamund bardzo dobrze pamiętała o obietnicy danej Agravarowi. Pragnęła rozmówić się z sir Robertem, lecz nigdzie nie mogła go znaleźć. Jakby się zapadł pod ziemię. Jak na ironię, zwrócił się do Agravara przez sługę z wielce uprzejmą prośbą, by ten sprawował pieczę nad jego narzeczoną. Ufał mu, bo Agravar niejednokrotnie wyratował już Rosamund z opresji.

Tak więc owa rozmowa, obowiązek niewątpliwie nieprzyjemny, musiała się odwlec do powrotu sir Roberta, Mijały dni. Rosamund wpadła na wspaniały pomysł. Pod pretekstem swych zainteresowań ziołolecznictwem wybierała się codziennie do lasu, oczywiście w towarzystwie swego opiekuna. Tam spędzali długie godziny z dala od ludzkich oczu. Różnie upływał im czas na tych przechadzkach. Najczęściej się kochali, niesyci siebie i coraz bardziej siebie spragnieni, ale wiedli też długie rozmowy, baraszkowali niczym dzieci, obserwowali płynące po niebie obłoki. Następnie w pośpiechu zbierali zioła i leśne kwiaty, a choćby nawet i chwasty, i o zmroku przekraczali bramę zamkową. Gdyby ktoś przypatrzył się dokładniej plonom niesionym w koszyku, uznałby Rosamund za marną zielarkę.

Pewnego wieczoru, gdy już znaleźli się w obrębie murów, jeden z żołnierzy Agravara odwołał go na stronę. Rosamund szła dalej, uśmiechając się marząco do siebie na wspomnienie minionego dnia. Spojrzała do koszyka i roześmiała się w głos. Dzisiaj byli wyjątkowymi psotnikami, a przypadkowy dobór ziół i wszelkiej zieleniny mógłby stanowić dowód ich winy.

Podbiegł do niej Aric i spytał o Agravara.

- Tata chce z nim pomówić - wyjaśnił.

- Został przy strażnicy - odparła, targając chłopcu ciemne kędziory.

Aric zrównał z nią krok.

- Tylko sobie wyobraź. Lukę się dzisiaj uśmiechnął. To było wstrętne, bo przy okazji

się oślinił, ale mama była zachwycona.

- Bo twój braciszek jest zachwycający.

- Tata tego nie widział. Ale gdyby był przy tym obecny, na pewno zgodziłby się ze mną. On zawsze chwyta mnie za włosy i ciągnie, jakby chciał je wyrwać.

- Twój ojciec? - spytała, unosząc brwi.

- Nie! Ten przeklęty Luke!

Z tyłu ktoś krzyknął, by usunęli się z drogi. Zeszła na bok, pociągając za sobą Arica.

Minęła ich grupa zbrojnych.

Oznaczało to, że do zamku ktoś się zbliża i że przybyszów jest wielu. Środki ostrożności były usprawiedliwione, ponieważ zdarzały się napady na zamki licznych i dobrze uzbrojonych watah rabusiów, którzy zabijali mężczyzn, gwałcili kobiety i ulatniali się z łupem.

- Trochę za późno jak na gości - powiedziała bardziej do siebie niż do Arica.

- Straż wypatrzyła ich na południowych błoniach. Tata szukał Agravara, by właśnie o tym mu powiedzieć.

Rosamund wiedziała już, dlaczego Agravar pozostał przy bramie. A potem zobaczyła barwy przybyszów. Zieleń, purpura i złoto. Zmartwiała.

Wpuszczono ich i właśnie wjeżdżali na dziedziniec. Przeskakiwała wzrokiem po twarzach. W końcu go zobaczyła. Dosiadał wspaniałego dzianeta, którego stęp miał w sobie coś z tańca. Ubrany był z elegancją, która aż raziła w oczy. Nazywał się Cyrus z Hallscroft i właśnie przybył do Gastonbury.

Aric zaczął wzywać pomocy, gdy jego przyjaciółka osunęła się na ziemię.

Kiedy odzyskała przytomność, zorientowała się, że leży w swoim własnym łóżku. W pierwszej chwili zaskoczyło ją, że ma na sobie suknię i że to nie ranek.

Odniosła wrażenie, że prócz niej ktoś jeszcze znajduje się w komnacie. Zapewne

Alayna lub Veronica. Gdy jednak spojrzała, serce zamarło jej w piersi.

Pochylał się nad nią Cyrus.

- Tak, to ja, ty bezwstydną małą zmiłoś. Jesteśmy sami. Odesłałem innych, by nie przeszkadzali nam w rozmowie.

Poderwała się, spuszczać z łóżka nogi. Powstrzymał ją, mówiąc ostro:

- Tylko spokojnie. Nie życzę sobie żadnych fochów.

- Odejdź. Będę krzyczeć.

- W takim razie poczuje się zmuszony powiadomić innych, że jesteś histeryczką. By minął atak, niekiedy wystarczy wymierzyć policzek, czasem jednak trzeba uderzyć pięścią. -

Powiedział to tak beznamiętnym tonem, jakby mówił o zeszłorocznych zbiorach zboża.

- Nikt ci nie uwierzy.

- Mówisz tak, jakbyś miała tu swoich obrońców. Coś wiem od nich od Daveya. -

Ściągnął wargi, odsłaniając duże, pożółkłe zęby. Nie był brzydki, ale jej kojarzył się z diabłem.

- Davey powiedział mi o wszystkim - ciągnął Cyrus. - O tym, jak bardzo odpowiada ci pobyt tutaj. I o osiłku, który ponoć jest wikingiem. Tak, ty mała sekutnico, wiem wszystko o wikingu i twoich grzesznych sprawkach.

Rosamund poczuła, że się dusi.

- Nigdy nie uwierzę, że Davey mnie zdradził.

- Jest tylko chłystkiem zwiedzionym podstępami kobiety - węża. Usidliłaś go, a potem odsunęłaś od siebie.

- Proponowałam mu przyjaźń, na więcej nie mógł liczyć.

- Kłamiesz. Chciał mieć w tobie kochanicę. Nie udawaj, że nie wiedziałaś. Kobieta

jest świadoma swego wpływu na mężczyzn.

- Widziałam w Davey'ju jedynie wiernego przyjaciela mego brata.

- To mnie, swemu panu, winny był wierność i lojalność. Zamiast tego ten głupek pomógł ci w ucieczce. A potem próbował się mną posłużyć. Wykalkulował sobie, że pojedę do Gastonbury i położę kres twoim grzesznym praktykom z tym wikingiem. W ten sposób znów uzyskałby do ciebie dostęp, podczas gdy ja wykonałbym całą robotę. Uznając mnie za głupca, popełnił fatalny błąd.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała słabym głosem.

- Tylko to, że Davey nie żyje. Dlaczego pytasz, skoro znasz odpowiedź? Miałbym pozwolić żyć takiemu zdrajcy.

- Zabiłeś go... - Ukryła twarz w dłoniach.

- To twoja wina. Nic innego, tylko twoja rozpusta zawiodła go ku śmierci.

Zaląła ją rozpacz, zmieszana z obrzydzeniem.

- Zabiłeś go. Jesteś diabłem. Wytykasz innym ich grzeszność, a sam umarzony jesteś w grzechu, jak ta świnia w błocie. Zabiłeś też moją matkę.

Na jego twarzy odmalowało się zdumienie. Wydawało się szczere.

- Co za bzdury wygadujesz? Jakże inne jeszcze kłamstwa rozpowiadasz o swoim ojczymie?

- Nie potrzebuję kłamać, skoro pewnie stoję na gruncie prawdy.

- Stałaś się zuchwałą, odkąd wyszłaś spod mojej opieki. Ojciec Leon powiedział mi na ten temat sporo, a Davey też coś dorzucił. Naprawdę sądzisz, że pozwolę ci wyjść za jakiegoś bękarta bez szlachectwa i majątku? Jakąż bym miał z tego korzyść? Dziś jesteś kobietą upadłą i nie minie cię kara! Ja już postaram się o to, byś odpokutowała za zycia swoje grzechy, wśród których grzech rozpusty wydaje się największy.

Pragnęła uciec od tego szaleńca, lecz gdy zdradziła się z tym zamiarem, uniósł rękę,

która zawisła nad nią niczym karzący miecz. Zdjęta przerażeniem, opadła na łóżko.

- Leż spokojnie i słuchaj swojego pana, ty jawnogrzesznico. Dopóki nie staniesz się żoną sir Roberta, wciąż jesteś pod moją władzą. Ślub odbędzie się wkrótce. Rozmawiałem niedawno z sir Robertem. Sprawiał na mnie wrażenie człowieka, który się waha. Musiałem uciec się do nacisków, zanim się zgodził.

- Powiedział mi, że honor nakazuje mu dotrzymać umowy.

- Tak, ale w sercu był niechętny temu małżeństwu. Musiałem od nowa go przekonywać o słuszności wyboru.

Rosamund zamknęła oczy. Zmarnowała niepowtarzalną być może, okazję. Gdyby była bardziej śmiała i zdeterminowana, porozmawiałaby z sir Robertem przed przybyciem Cyrusa.

- Uświadomiłem mu - ciągnął Cyrus - iż zerwanie kontraktu przyjęte by zostało jako akt ciężkiej obrazy. Sir Robert przywiązuje do tych spraw wielką wagę. Jego nadmierne umiłowanie honoru okazało się bardzo użyteczne dla mych celów.

- Jesteś łajdakiem.

Zamachnął się i z całej siły ją spoliczkował.

- Nauczę cię, ty dziewczko. Myślisz, że jak znalazłaś gacha, który ci dogadza, to już masz prawo zwracać się do mnie w ten sposób? Możesz zapomnieć o tym swoim wikingu.

Nie licz na jego pomoc.

Piekł ją policzek i bolała szczeka Poruszyła nią, chcąc sprawdzić, czy nie jest czasami złamana. Cyrus obserwował ją nieufnie.

- Sir Robert zgodził się z tobą ożenić, ale pod warunkiem, że zgodzisz się na to małżeństwo. Powiedział, że nie odnajduje w tobie gotowości, na której mu tak zależy.

Dlatego od dzisiaj musisz okazywać mu więcej życzliwości.

- Dlaczego muszę poślubić sir Roberta? Jaki widzisz w tym interes?

- To małżeństwo przyniesie mi wiele korzyści. Twoim zadaniem jest wspierać mnie w tym przedsięwzięciu.

Poczuła przypływ odwagi. Nie była już tą samą osobą co przed rokiem.

- Nie możesz mnie zmusić. Nie chcę wyjść za sir Roberta. Powiadomię go o tym.

Uśmiechnął się od niechcienia, jakby spodziewał się tego objawu buntu.

- Jeśli będziesz zatwardziała w nieposłuszeństwie, zabiję go. - Powiedział to z tak żarliwym przekonaniem, że uwierzyła mu natychmiast.

Przejął ją zimny dreszcz.

- Dlaczego miałbyś zabijać sir Roberta?

- Roberta? Coś nie bardzo się rozumiemy, moja panno. Nie mówiłem o sir Robercie, tylko o tym twoim wikingu.

Zamarła, porażona była tym triumfującym złem, na które zdawało się nie być żadnego sposobu.

Cyrus zabił Daveya, choć Davey był tylko niezbyt rozgarniętym chłopcem. Zabił jej matkę, kiedy ta zaszła w ciążę.

Próbowała przezwyciężyć strach.

- Nie pokonasz go. A poza tym powiem o wszystkim Lucienowi. Powtórzę mu twoje groźby.

Westchnął, zasmucony zachowaniem pasierbicy.

- W ten sposób tylko powiększysz krąg śmierci, moja droga. Chyba nie chcesz, bym zobaczył w panu tego zamku mego śmiertelnego wroga. Lucien, nie zapominaj, ma trójkę dzieci.

- Dlaczego to wszystko robisz? - wykrzyknęła na granicy hysterii.



- Ponieważ taka jest moja wola. Ślub został wyznaczony na jutro rano. Dalsza zwłoka byłaby niewskazana. Zjawisz się w kaplicy i radośnie wyrecytujesz małżeńską przysięgę. Żadnych łez, bo pożałujesz.

Agravar stał oparty o filar i przypatrywał się mężczyźnie siedzącemu na honorowym miejscu przy stole w holu. Cyrus z Hallscroft miał na sobie zieloną tunikę zdobioną złotym haftem. Gęsta, kunsztownie przystrzyżona broda zasłaniała mu pół twarzy. Małe oczka wydawały się jeszcze mniejsze z powodu napuchniętych powiek.

- Przestań się tak gapić - ostrzegł go Lucien, który właśnie do niego dołączył.

- Lucien, na Boga, jak mogłeś wpuścić tu tego potwora?

- Uspokój się. Przed nikim nie zamykam bramy, jeśli gość zjawia się w pokojowych zamiarach. Nie mogę go też przepędzić, bo nie dał mi po temu powodu.

- A to, co uczynił Rosamund?

- Nie zrobił jej niczego złego pod dachem mego domu. Wiem od Alayny, że Rosamund zemdląca na jego widok, lecz nie sposób go o to winić. Trudno też uznać za grzech, że chciał czuwać przy łóżku pasierbicy, aż ta odzyska przytomność.

Słyszając ostatnie słowa, Agravar aż się zachwiał pod naporem lęku i wściekłości.

- Cóżes też najlepszego uczynił? Pozwoliłeś, by Rosamund przebywała sam na sam z tym łotrem? - Zacisnął w pięści swoje ogromne dłonie.

- Wybacz mi, lecz jeśli natychmiast się nie opanujesz każę twoim ludziom zamknąć cię na jakiś czas w lochu - zagroził mu Lucien, który zaczynał już tracić cierpliwość.

- Nie wiemy, co on jej zrobił...

- Nic na to nie poradzimy, Agravar. Chyba nie skrzywdził jej, w przeciwnym wypadku Rosamund niewątpliwie by się poskarżyła. Nie obraził też ani mnie, ani nikogo innego.

Zrozum moją sytuację, przyjacielu. Jestem tu gospodarzem. W związku z tym ciąży na mnie

określona odpowiedzialność.

Spojrzeni sobie w oczy. Agravar musiał przyznać przyjacielowi rację.

- Dobrze, lecz uprzedzam. Jeśli ten łotr zachowa się wobec Rosamund brutalnie bądź niestosownie, wtedy wyzwę go na pojedynek. Zgoda?

- Zgoda. - Lucien odetchnął z ulgą, co dowodziło jak bardzo był spięty, rozmawiając z Agravarem. - Chodźmy zatem. Wiesz, co robić.

Agravar kiwnął głową.

- Wiem bardzo dobrze - rzekł z groźbą w głosie.

Cyrus zachowywał się z uprzedzającą grzeczością. Przywitał się dwornie z Lucieniem i Agravarem, po czym powiedział kilka miłych słów o zamku i jego mieszkańcach. Nie stwarzał przy tym wrażenia kogoś, kto chce się wkraść w łaski gospodarza.

Agravar przypomniał sobie, co Rosamund powiedziała mu niegdyś o swym ojczymie.

Cyrus był człowiekiem raczej lubianym i jego najbliższe otoczenie, z wyjątkiem rodziny, uważało go za niezdolnego do popełnienia naganego czynu. Agravar musiał przyznać, że patrzył na człowieka, który doskonale opanował umiejętność ukrywania prawdziwego oblicza. Jednak bystry obserwator wyczuwał w Cyrusie wewnętrzne pęknięcie. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że to człowiek przywdziewający różne maski i zamiast ubrania noszący kostium. Słowem, aktor i zwodziciel.

Lucien również nie dał się nabrać na błyszczący pozór. Podczas wieczerzy rozmawiał z gościem z chłodną grzeczością. Podobnie Alayna, której rezerwa tym bardziej rzucała się w oczy, że była to niewiasta niezwykle otwarta i szczerą w stosunkach z innymi. U boku Alayny siedziała jej matka, chmurna i mało rozmowna. Cyrus obu niewiast niemal nie zauważał.

Rosamund nie pojawiła się. Agravar zachodził w głowę, co mogło spowodować jej

nieobecność, lecz oczywiście każde pytanie musiało pozostać bez odpowiedzi. W końcu, targany niepokojem, wstał i zaczął się żegnać.

- Kapitanie, pozwól, że wyjdziemy razem - dał się słyszeć głos Cyrusa. - Chciałbym zamienić z tobą słówko.

Agravar zdołał ukryć zaskoczenie.

- Ciekaw jestem, co skłania cię do takiego pośpiechu, panie - rzekł Cyrus, gdy znaleźli się na korytarzu. Z trudnością dotrzymywał kroku wikingowi. - A może powodem jest moja pasierbica? Czyżbyś śpieszył na umówioną schadzkę z tą małą lubieżnicą?

Agravar zatrzymał się. Powoli odwrócił się ku Cyrusowi. Tamten patrzył na niego, rozciągając wargi w uśmiechu. Poza wargami cała twarz wyrażała czujne napięcie.

- Zdumiony? Czyżby nie powiedziała ci jeszcze, jak dowiedziałem się o waszym sekrecie?

W ataku furii Agravar pchnął Cyrusa na ścianę. Chwycił go za grdykę niczym kurczę.

Tamtemu jednak udało się wykrztusić:

- Jeżeli chcesz jej śmierci, proszę, uduś mnie.

Agravar zawahał się. Tamten powiedział to ze stanowczo zbyt dużą pewnością siebie.

Należało być ostrożnym. Ostatecznie szło o życie najdroższej jego sercu istoty.

Zwolnił uścisk.

- Mów - rozkazał. Cyrasowi zabłyśły oczka.

- Musisz chyba uważać mnie za skończonego głupca skoro założyłeś, że oddałem się w twoje ręce bez odpowiedniego zabezpieczenia. Opłaciłem całą armię morderców, by wyrównali moje długi, gdyby coś mi się stało. Moja śmierć byłaby równoznaczna ze śmiercią Rosamund. A także tych, na których życiu zapewne ci zależy. Wierz mi, pomyślałem o najokrutniejszej formie zemsty.

Agravar patrzył na barona i przypominał się mu inny człowiek, jego ojciec, dla którego również okrucieństwo było istotą życia. Zarówno ten, jak i tamten nie mieli w sobie za grosz zwykłej ludzkiej przyzwoitości. Kpili z prawa, a zadawanie śmierci sprawiało im uciechę.

- Potrafię zapewnić bezpieczeństwo osobom, o których wspominałeś - rzekł, ale bez głębszego przekonania.

- Co za śmieszne przechwałki. Jest tyle sprytnych sposobów uśmiercenia drugiego człowieka. Trucizna, pchnięcie nożem w tłumie, zabłąkana strzała na polowaniu i tyle, tyle innych.

Agravar obnażył zęby w grymasie odrazy. Wiedział, że powinien bezzwłocznie skrócić kark temu łotrowi, ale wiedział też, że nie zrobi tego. Powstrzymał go strach.

Cyrus, który od razu wyczuł tę bojaźń, postanowił ją jeszcze podsycić.

- To wcale nie musi się wydarzyć od razu. Należę do ludzi cierpliwych. Zresztą tam, gdzie będę, nikomu się nie spieszy. Ale ty nigdy nie zaznasz spokoju. Upłyną lata, mimo to będziesz wiedział, że morderca czeka za promem i w każdej chwili może uderzyć. Tak więc pomyśl, czy warto narażać tych, których kochasz.

Agravar odwrócił wzrok. Nie mógł patrzeć na tego płaza.

- Czego chcesz? - spytał, cofając rękę. Cyrus wygładził pognieciony materiał tuniki.

- Rosamund pogodziła się już z losem. Nie zrobisz niczego, co by spowodowało zmianę jej decyzji. Nie wejdiesz również w żadne konszachty z sir Robertem. Wiesz już, czym grozi sprzeciwienie się mojej woli.

- Idź do diabła.

- We właściwym czasie. Och, o czymś bym zapomniał. Davey przesyła ci radę. -

Wyszczерzył zęby. - Radzi ci, żebyś zaczął traktować mnie poważnie. Chciałem rzec, że

śmiertelną powagą. Byś nie popełnił tego samego błędu co on.

Agravar w lot zrozumiał aluzję.

- Zabiłeś go. Na Boga, człowieku, toć to było chłopię.

- Chłopcy, dzieci, kobiety. Nie ma żadnego znaczenia, kto ile ma lat i jakiej jest płci.

Zmiażdżę każdego, kto stanie mi na drodze. - Zmrużył oczy. - Pamiętaj, bastardzie o losie

Daveya. Albo doświadczysz męki, jakiej nawet sobie nie wyobrażasz.

Agravar poczuł się całkowicie bezradny. Wiedział już, z kim ma do czynienia. Rzadko się zdarza, by człowiek był uosobieniem zła. Owszem, są ludzie źli, ale zawsze można w nich odnaleźć jakąś okruszynę dobra. Zło przeważa w niektórych ludziach tak jak w innych dobro.

Ale oto stał przed nim ktoś bez reszty zaprzędany złu. I ten ktoś budził w nim strach.

- Jesteś szalony - rzekł, przetykając ślinę. - Mdło mi się robi na twój widok.

Cyrus roześmiał się. Nie był to śmiech przyjemny dla ucha.

- Na twojej życzliwości najmniej mi zależy. I lepiej nie pokazuj się jutro na ślubnej ceremonii. Radzę wyjechać pod jakimś pretekstem. Rozumiesz, człowiek ulegam niekiedy pokusom, więc najrozsądniej jest pokus unikać.

I nie próbuj się z nią spotykać. Po prostu żadnych głupstw, abym nie musiał podejmować bolesnych decyzji. - Wzruszył ramionami i odszedł.

Agravar odprowadził go wzrokiem, a kiedy Cyrus zniknął za zakrętem korytarza, grzmotnął pięścią w ścianę. Ból nie przyniósł mu ulgi.

Niezwyciężony Agravar Wiking został skutecznie pobity i musiał uznać przewagę przeciwnika.

Nie. Nigdy.

Uniósł głowę. Musi jeszcze coś przemyśleć.

**ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY**

Agravar pospieszył do strażnicy i nakazał trzem swym najbardziej zaufanym ludziom przywdziać kolczugi i przypasać miecze. Dopiero jednak kiedy stanęli przed nim w pełnym rynsztunku, uświadomił sobie, że nie może im nic powiedzieć. Odesłał ich więc do kwater, a sam udał się na mury, wiedząc, że i tak nie będzie mógł zasnąć. Został go tam świt. Zbliżała się godzina ślubnej ceremonii.

Po długim pasowaniu się z sobą zdecydował się jednak pójść do kaplicy. Stał za filarem, w głębokim cieniu. Widział Rosamund powtarzającą słowa małżeńskiej przysięgi. Wyglądała pięknie, zaskoczyła go jej swoboda i opanowanie. Sir Robert, jak zawsze królewski w gestach i postawie, złożył przysięgę niskim, poważnym głosem i, nieświadomie, zadał Agravarowi okrutne tortury, biorąc w swe wdzięczne dłonie szczupłą dłoń Rosamund, która z tą chwilą stała się jego małżonką.

Nowożeńcy odwrócili się ku swym przyjaciołom, którzy przystąpili z życzeniami. W pewnym momencie, gdy Alayna zajęła rozmową pannę młodą, sir Robert odszedł na stronę i zbliżył się do siedzącej w ławce zawołowanej damy. Agravar rozpoznał w niej Veronicę. Chyba płakała, Często unoszona do oczu chusteczka mogła świadczyć tylko o tym. Stając przed Veronicą, sir Robert zupełnie zmienił się na twarzy. W jednej chwili postarzał się i przygasł. Podniósł rękę, lecz zawahał się i zaraz ją opuścił. Veronica pochyliła głowę, a jej ramiona i plecy zadrżały.

Nie powiedziawszy ani słowa, sir Robert wrócił do młodej małżonki.

Agravar wiedział już wszystko. Sir Robert kochał lady Veronicę. Nigdy nie pragnął Rosamund.

Wycofał się i opuścił kaplicę.

Robert kochał Veronicę.

Agravar chodził z kąta w kąt w swoim pokoju.

Robert. Sir Robert był kluczem do całej sprawy.

Poślubiając Rosamund, uważał Cyrusa za jej prawnego opiekuna, który kieruje się troską o dobro pasierbicy. Ani mu do głowy przyszło, że to cyniczny intrygant, który zastawił na niego pułapkę.

Gdyby jednak dowiedział się, że Cyrus wykorzystał jego poczucie honoru dla swych egoistycznych celów, z pewnością w innym świetle by ujrzał swoje małżeństwo i dążył do odwrócenia biegu wydarzeń, szczególnie jeśli kochał kogoś innego.

Znając prawdę o Cyrusie, miałby go w pogardzie, żadna dalsza przyjaźń absolutnie nie wchodziłaby w grę. W ten sposób Cyrus miał poprawić swoją sytuację, pogorszyłby ją. Straciłby tam, gdzie liczył na zysk i profity.

Gdyby tylko Robert wiedział.

Agravar wyrzucał sobie, że nie pomyślał o tym wcześniej. Małżeńska przysięga została złożona. Robert i Rosamund od kilku godzin byli mężem i żoną.

Ale jeszcze nie skonsumowali swojego związku. Jeszcze nie.

Miał zatem trochę czasu. Związek małżeński musi zostać skonsumowany. Jeżeli tak się nie stanie, wtedy pojawiają się podstawy prawne do unieważnienia małżeństwa.

Agravar rzucił się ku drzwiom. Kiedy je otworzył, niemalże zderzył się z dwoma swoimi ludźmi. Wszystko wskazywało na to, że albo przypadkowo stanęli przed progiem, albo chcieli wejść.

- Caspar, Desmond, ki diabeł was tu przyniósł? Czy coś się stało?

Tamci spojrzeli na siebie, a każdy uczynił to z nadzieją, że udzieli wyjaśnień ten drugi. Wyglądali jak chłopcy którzy coś zbroili i świadomi są swojej przewiny.

- Ty powiedz - rzekł Desmond. Caspar zrobił przerażoną minę.

- Będzie lepiej, jak ty powiesz.

- Ale ja jestem starszy i mam prawo wyryczać się młodszym.

- Dość tych żartów! - huknął Agravar. - Gadać mi tu zaraz! Desmond!

- To lord Lucien postawił nas tu na straży. Powiedział nam, że nie masz prawa, kapitanie, opuszczać swojej komnaty. - Niewiele słów, a Desmond przy ich wypowiedzianiu aż się spocił.

- Co?! - Agravar przypominał w tej chwili rozjuszonego byka. - Zejść mi z drogi!

Desmond przełknął ślinę. Chciał coś powiedzieć, ale tylko mocniej się wsparł na krótkiej szpicie, jakby w ten sposób łapiąc równowagę. Caspar jednak wydawał się stać pewnie na swych rozstawionych w rozkroku nogach.

- Jestem waszym dowódcą. Usuńcie się natychmiast.

- Zrozum, panie. Nasz pan rozkazał nam, byśmy nie pozwolili ci przekroczyć tego progu. - Wskazał na próg z taką miną, jakby widział przed sobą przepaść.

Mógł ich z łatwością usunąć z drogi siłą, i oni dobrze o tym wiedzieli. Ale byłoby to zbyt upokarzające - stosować przemoc wobec ludzi, których sam wyćwiczył na dobrych żołnierzy i którzy wiernie mu dotąd służyli. Powiedział zatem przez zęby:

- Sprowadźcie mi wobec tego lorda Luciena. Wymienili spojrzenia. Desmond, ów starszy, kiwnął głową, co Caspar przyjął jako znak, że to on właśnie, jako ten młodszy, ma spełnić prośbę kapitana. Odwrócił się bez słowa i szybkim krokiem ruszył w głąb korytarza.

Wróciwszy, oznajmił, że mają zaprowadzić kapitana do komnaty lorda Luciena.

Agravar szedł przodem, tamci podążali za nim w odstępach dwóch kroków. Przypadkowy świadek pomyślałby zapewne, że oto dowódca idzie na czele swych żołnierzy. Gdyby jednak dokładniej się przypatrzył minom i postawie tych żołnierzy, mógłby nabrać zasadnych podejrzeń, że jest akurat odwrotnie i że to żołnierze eskortują swojego dowódcę.

Lucien był sam w wielkiej komnacie.



- Jak śmiałeś.

Lucien wydawał się spokojny i opanowany, jednak Agravar zbyt dobrze go znał, by natychmiast nie dostrzec w nim skrywanego wzburzenia.

- Ty aż kipisz, Agravarze. To nie sprzyja jasności myślenia.

- Muszę rozmówić się z Robertem. To małżeństwo nie może zostać skonsumowane.

Pozornie nic się nie zmieniło na twarzy Luciena, lecz tchnęła ona teraz współczuciem.

- Za późno. Są już w łóżku. Dokonało się, przyjacielu. Na pewne rzeczy nie mamy żadnego wpływu.

Agravar doskoczył do Luciena i chwycił go za ramiona Potrząsnął nim tak mocno, jakby tamten był słomianą kukłą.

- Nie! Posłuchaj mnie! Cyrus niecznie nas wszystkich oszukał. Mamy jeszcze czas złagodzić skutki tego oszustwa. Tylko musimy natychmiast przejść do działania. Nie możemy pozwolić im...

- Przestań, Agravarze! - Wyrwał ramiona z kleszczy jego dłoni. - Spójrz na siebie!

Zobacz, do czego doprowadziłeś.

Agravar spuścił głowę. Próbował się skupić, zebrać myśli. Za wszelką cenę musiał stać się bardziej przekonujący. Szukał argumentu, którym uczyniłby z Luciena swego sojusznika i... nie znajdował.

Poczuł na swym ramieniu czyjąś dłoń. Stał przed nimi Lucien, nieco pobladły, ale nadal opanowany i spokojny. Jakby nawet przesadnie spokojny.

- Wybacz, przyjacielu - rzekł - ale to dla twojego dobra.

Wszystko to trwało tyle co mgnienie oka. Agravar zobaczył, że Lucien z jakiegoś powodu cofa dłoń zaciśnięta w pięść. Nie miał czasu zareagować. Poczuł ból, a właściwie tylko jego zapowiedź, bo natychmiast ogarnęła go ciemność i runął w bezdenną przepaść.

Kiedy odzyskał świadomość i otworzył oczy, zobaczył nad sobą Luciena. Przyjaciel trzymał flaszkę wina, którą bezzwłocznie mu podał.

- Masz, pij. Dobrze ci zrobi.

- Odurzy mnie, pozbawi woli działania, a potem będzie już za późno - rzekł Agravar, dźwigając się na nogi. Mimo tych obiekcji pociągnął z flaszki potężny łyk.

- Już za późno. Poleciałem Eurice, by dała ci coś na sen. Spałeś kawał czasu.

- Och, Lucien, cóżes ty najlepszego uczynił? - Rzucił niespokojne spojrzenie na okno.

Było czarne jak czarna jest noc. - Która godzina?

- Już po północy. Tamci są mężem i żoną w całym tych słów znaczeniu.

Agravar stał przez chwilę jak rażony piorunem. Teraz dopiero dotarł do jego świadomości cały tragizm nowego położenia.

- Lucien, dlaczego mnie nie wysłuchałeś?

- Bo słowami nie mogłeś zmienić tego podstawowego faktu, że Rosamund i sir Robert wzięli ślub. Robert to szlachcic nie tylko z pochodzenia, lecz również z charakteru, a mam tu na myśli duchowe szlachectwo. Będzie dobrze traktował swoją małżonkę.

Agravar mało co nie rzucił się na niego z pięściami. Opanował się najwyższym wysiłkiem woli.

- Masz czelność mówić mi to? Upuszczając mi krew, choć i tak już krwawię?

Lucien miał minę winowajcy.

- Wybacz, przyjacielu. Nigdy nie byłem mocny w słowach.

- A niech cię cholera - warknął Agravar i ruszył ku drzwiom.

- Trzymaj się od niej z daleka - rzucił za nim Lucien. - Tak będzie lepiej dla ciebie, dla niej i dla wszystkich.

Agravar stanął w pół kroku, lecz nie odwrócił się.

- Nie zbliżę się do niej. Nie dałeś mi wyboru. Jest już dla mnie stracona - odparł zduszonym głosem.

Wróciwszy do siebie, Agravar uznał, że nie ma sensu zapalać świecy. Staął w oknie, spojrzał na księżyc i zastanowił się, czy byłby w stanie zapłakać. Nie byłoby to męskie ani chyba możliwe. Ostatnio płakał przed wielu laty, jako jeszcze zupełnie mały chłopiec. Wtedy czuł się samotny i niekochany, odrzucony przez matkę. Dostrzegł jednak, że płacz osłabia jego odporność - im częściej płacze, tym częściej ma ochotę na płacz. Postanowił zwalczyć tę słabość.

Teraz był starszy o kilka dziesiątków lat i rozumiał, że łzy nie naprawiłyby tego, co zostało zepsute. Ale na pewno oczyściłyby go. Zazdrościł kobietom, że potrafią leczyć się płaczem.

Było tak cicho, że jego oddech wydał mu się oddechem człowieka, który właśnie zatrzymał się po wyczerpującym biegu. Łzy nie chciały popłynąć. Natomiast rósł w nim gniew. Gniew i bezsilna żalność. Głowa pękała z bólu. Napawał się tym bólem. Gotów był nawet sam go sobie zadawać, byleby tylko oderwać myśli od rozdartego serca.

Jęknął i przywarł do ściany. Chłonał jej chłód i niewzruszoność. Nie miał oparcia w ludziach, więc szukał go w zimnym kamieniu. Usłyszał szelest. Ktoś był w jego komnacie.

- Agravar?

Zamarł. Stał się igraszką własnej wyobraźni. A może oszalał?

Ponownie ciemność ozwała się jej głosem:

- Agravarze, to ty?

- Rosamund?

W końcu zdołał przebić spojrzeniem mrok. Siedziała na jego łóżku. Miała na sobie tylko lnianą nocną koszulę. Chyba dopiero co się przebudziła, bo przecierała oczy.

Jednym skokiem znalazł się przy niej i ogarnął zaborczym ramieniem.

- Co tu robisz? Boże, jak mogłaś tu przyjść? Złożyła głowę na jego piersi.

- Wymknęłam się, zanim... on nadszedł. Och, Agravarze. Przechwalałam się, jaka ze mnie teraz dzielna niewiasta, a w rezultacie stchórzyłam. Nie mogłam pozwolić mu się dotykać. Nie po tym, co zaszło między nami.

Nienawidził siebie za ową radość, która w tej chwili wypełniała mu serce. Buntując się przeciwko naturze i obyczajowi, Rosamund dopuściła się karygodnego czynu, on zaś był w stanie jedynie cieszyć się, że nie oddała się innemu.

- Postąpiłaś słusznie i okazałaś się bardzo dzielna.

- Przeciwnie, zachowałam się jak najgorszy tchórz. Powinnam była porozmawiać z sir Robertem. Gdybym mu powiedziała o wszystkim... Pamiętałam jednak o Cyrusie i o wszystkim rozstrzygnął strach.

- Moje kochanie zapewniam cię, że sir Robert przyjmie twoje wyznanie z radością i wdzięcznością. - A widząc jej pełen niedowierzania wzrok, wyjaśnił: - Robert kocha Veronicę. Idę o zakład, że równie niechętnie jak ty stanął na ślubnym kobiercu.

Odsunęła się od niego na długość ramion. Jej twarz wyrażała całkowite oszołomienie.

- Co? Nie rozumiem?

- Byłem świadkiem, jak po ceremonii ślubnej podszedł do niej i oboje przez chwilę pogrążeni byli w bólu i smutku. Potem uświadomiłem sobie, dlaczego nigdy nie mogłaś go znaleźć. Po prostu on i Veronica robili to samo co my - kryli się przed światem, by dawać sobie dowody miłości.

- Robert i Veronica? Dlaczego więc nie wycofał się z decyzji poślubienia mnie?

- Cyrus odwołał się do honoru Roberta, mówiąc mu, że bardzo pragniesz tego związku. W ten sposób postawił Roberta w bardzo trudnym położeniu. Wycofanie się byłoby

czynem niegodnym chrześcijańskiego rycerza. - Czując, że drży, Agravar przytulił Rosamund i zaczął masować jej ramiona i plecy.

- W rozmowie ze mną Cyrus uciekł się do brutalniejszych metod - wyznała. - Groził, że cię zabije. I jakby tego było za mało, zapowiedział śmierć Alayny, Arica i wszystkich, którzy są mi drodzy, jeśli nie postąpię zgodnie z jego wolą.

- Podobne groźby miał i dla mnie. Trzeba mu przyznać, że potrafi sparaliżować swych wrogów.

- On nie rzucał tych gróźb na wiatr. Na pewno by je spełnił. Dlatego musiałam mu być posłuszna.

- Ja też nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Zesztywniała. Podniosła rękę do ust. Wszystko wskazywało na to, że nawiedziła ją jakaś straszna myśl.

- Agravarze, co ja najlepszego zrobiłam? Uciekłam z małżeńskiego łóża, o czym Cyrus prędzej czy później się dowie. - Jej głos się łamał. - Jak mogłam o tym wcześniej nie pomyśleć?

- Posłuchaj mnie, moja ukochana. Coś mi przyszło do głowy, gdy wtedy w kaplicy patrzyłem na sir Roberta i Veronicę. Cyrus wmówił Robertowi, że jako człowiek honoru musi postąpić wbrew swoim pragnieniom. Robert ma wszelkie prawa czuć się oszukany. Poza tym nie wie, jakimi to sposobami Cyrus wymusił na nas powolność i posłuszeństwo.

- Chcesz mu powiedzieć o wszystkim?

- Tak, musimy to zrobić. Robert jest naszym sojusznikiem, i to potężnym sojusznikiem.

- Jednakże co zyskamy, wtajemniczając Roberta? Jest już za późno. On i ja jesteśmy przed Bogiem mężem i żoną.

- Robert ma podstawy wystąpić o unieważnienie związku. Małżeństwo musi być skonsumowane. A nie doszło do tego.

- Wciąż jednak jednego nie rozumiem. Rozwód dla nas bynajmniej nie jest jednoznaczny z uniknięciem kłopotów, przeciwnie, te kłopoty dopiero na siebie ściągniemy. Mówię o kłopotach, a mam na myśli najstraszliwsze niebezpieczeństwo, jakie zagraża nam ze strony Cyrusa.

- Tyle że starania o unieważnienie związku weźmie na siebie Robert, a myślę, że Cyrus nie jest aż na tyle głupi i bez wyobraźni, by zadzierać z kimś tak potężnym i zaliczanym do ścisłego grona królewskich doradców Rosamund aż klasnęła w dłonie, gdy pojęła cały plan.

- Tak, tak, tak! Robert jest potężny i ma potężnych przyjaciół. Cyrus nie może mu zagrozić. Nie może też ugodzić w nas, bo Robert natychmiast wskazałby winnego. Robert jest naszą tarczą i murem obronnym. Och, Agravarze! - Jej głos zdradzał, że zbiera się jej na płacz.

- Czy to może być prawda? Czy rzeczywiście możemy wydobyć się z tej matni?

- Jeśli Robert zachowa się dokładnie tak, jak to przewiduję, to nasze kłopoty się skończą, Rosamund. Musimy tylko z nim porozmawiać. A potem ożenię się z tobą i biada temu, kto by wysunął jakieś zastrzeżenia.

- Robert nam pomoże - powtórzyła, jakby pragnąc utwierdzić się w tym przeświadczeniu. Jeśli kocha Veronicę i jest pewien jej wzajemności, to zrobi wszystko, by unieważnić to niechciane małżeństwo.

- Na to właśnie liczę - rzekł gładząc ją po policzku. - Chociaż muszę przyznać, że moja duma nakazuje im rozprawić się samemu z Cyrusem.

- Chcesz zło razić mieczem? Niegodziwość Cyrusa jest zbyt odrażająca, by mógł być

przeciwnikiem w honorowej walce. - Odchyliła głowę i serdecznie się roześmiała. - Och, cóż mnie to zresztą obchodzi. Najważniejsze, że odnaleźliśmy naszą wolność. Już nic i nikt nas nie rozdzieli.

Patrzył na nią i doznawał błogiego uczucia pewności posiadania. Była tu razem z nim, a cała reszta świata pozostawała na zewnątrz. Siedziała na jego łóżku, w którym kiedyś się kochali. Czekwała na jego pocałunek i wiedział, że mu nie ucieknie. Zapelniała sobą pewną przestrzeń w jego sercu, gdzie jeszcze przed godziną rozwierała się ciemna szczelina. I w istocie była mu niedostępna. Bo cokolwiek planowali na przyszłość, faktem pozostawało, że dziś była żoną innego mężczyzny. A ta noc była jej nocą poślubną, kiedy powinna była leżeć w ramionach swego męża, gotowa na cielesne przypieczętowanie kontraktu.

Rosamund o tym wszystkim zdawała się nie myśleć, gdyż jej dłonie błądziły po jego ciele, zdradzając głód i pragnienie. Szczęśliwy, że może spełnić jej milczącą prośbę, rozebrał ją z koszuli i sięgnął ustami ku jej piersiom.

Kochali się aż do upojenia sobą. Wchodzili po stopniach rozkoszy wysoko w górę, aby z tych wyżyn nie móc już dostrzec ciemnej doliny bólu, naznaczonej śladami ich wędrówek.

Obudziło ich łomotanie do drzwi. Agravar momentalnie oprzytomniał. Przeszyła go błyskawica strachu.

Przypomniał sobie, że nie zarygłował na noc drzwi. Jednym rzutem ciała stanął przy łóżku. Ale było już za późno.

Drzwi otworzyły się i Lucien wszedł do środka.

- Dobrze, że już nie śpisz. Wyobraź sobie, że to psotne dziewczę znowu uciekło... -

Zamilkł, wpatrując się w zagrzebaną w filtra, lecz niewątpliwie nagą pod nimi Rosamund, rumieniącą się pod jego wzrokiem niczym jutrzienka.

Cisza przedłużała się. Przerwał ją Agravar.

- W stosunkach ze sobą, jako bracia, nie musimy przestrzegać formalności. Prosiłbym cię jednak, żebyś w przyszłości wchodził do mego pokoju dopiero po usłyszeniu zaproszenia.

- Pozbądź się jej stąd - warknął Lucien. - I to jak najszybciej, bo zaraz będziesz miał wizytę sir Roberta.

Ostrzeżenie nie mogło wywołać żadnego skutku. Sir Robert stał już w drzwiach.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY**

Rosamund sięgnęła po koszulę. Jej upokorzenie nie miało granic. Zasłoniła swoją nagość i z powrotem zagrzebała się w futra. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

Sir Robert w końcu zdecydował się przerwać ciszę.

- Przyszedłem, bo szukam mojej żony. - W jego głosie nie wyczuwało się urazy.

Tylko zdziwienie i pewien żal. - Lord Lucien powiedział mi, że coś na ten temat możesz wiedzieć, panie. Wątpię, żeby się domyślał, jak prostą ścieżkę mi wskazuje.

Agravar, który tymczasem zdążył naciągnąć spodnie, postąpił krok do przodu.

- Pozwól mi wyjaśnić, panie. Kocham ją, ona zaś kocha mnie. Mimo że darzy cię głębokim szacunkiem, nie chciała tego ślubu. Do zamążpójścia zmuszona została przez Cyrusa.

Sir Robert przeniósł wzrok na Rosamund.

- Jeśli to prawda, to dlaczego nie zwróciłaś się do mnie ze szczerym słowem?

Rosamund pomyślała, że poczucie godności wymaga, by przestała się kulić i chować i w tej doniosłej chwili stanęła przy ukochanym. Uczyniła to, i jakkolwiek udało się jej dumnie unieść głowę, nie umiała powstrzymać drżenia.

- To wszystko moja wina. Przestraszyłam się tej rozmowy z tobą. Nie znajduję dla siebie żadnego usprawiedliwienia. Okazałam się małoduszna i tchórzliwa.



- Rosamund, przestań tak siebie obwiniać. - Agravar ścisnął ją za ramię, przekazując tym gestem, że będzie jej bronił nie tylko przed światem, lecz również przed samą sobą - To ja czuję się odpowiedzialny za to, co się stało, i na mnie ta odpowiedzialność naprawdę spoczywa. Powiniennem wziąć sprawy w swoje ręce, a nie dawać się unieść prądowi wydarzeń. Mogłem zapobiec takiej sytuacji, a nie zrobiłem tego.

Rosamund podeszła do sir Roberta.

- Mój czyn jest gorszący. Przyjmę każdą karę z twojej ręki, mężu.

Tymczasem mężczyzna, który wedle prawa i ludzkiego obyczaju miał wszelkie powody postąpić z nią bezwzględnie i okrutnie, patrzył na nią z ogromnym współczuciem.

- Och, dziecko, już dawno dostrzegłem twój smutek i twoje zamyślenie. Życie nie pieściło cię, to od razu można było zauważyć. Ale w końcu odnalazłaś miłość i powinnaś śpiewać z radości. Ty tymczasem tym bardziej zaczęłaś się bać. I to kogo? Człowieka, który by cię nigdy nie skrzywdził. Dlaczego mi nie zaufałaś, Rosamund?

Spuściła głowę.

- Nie wiem. O wszystkim zdecydował chyba ten wieczny strach we mnie.

- Czy to prawda, że go kochasz?

- Tak - wyszeptała. - Nad życie.

Sir Robert pokręcił głową, jakby z żalu za utraconymi szansami.

- Tylu niedobrych rzeczy można byłoby uniknąć, gdybyś poszła za głosem serca.

- To Cyrus zasiał w niej strach, z którego do dzisiaj nie może się wyzwolić - rzekł

Agravar. - Wciąż ma przed oczyma matkę, dla której pożycie z Cyrusem było nie kończąca się męką. Tego dnia, kiedy zdecydowała się na rozmowę z tobą, panie, przybył jej ojczym.

Groził, że ją zabije. Ja również z jego ust wysłuchałem podobnej groźby. Zginąć mieli

wszyscy bliscy sercu Rosamund - Alayna, jej dzieci, Veronica - gdyby coś stanęło na prze-

szkodzie temu małżeństwu.

Lucien zmienił się na twarzy. Oczy błyszczały mu jak wilkowi.

- Co? Alayna była w niebezpieczeństwie, grożono moim dzieciom, a ty nic mi nie powiedziałaś?

- Chyba pamiętasz mojego ojca - odparł Agravar mocnym głosem. - Gotów był dla kaprysu wyróżnić całą wioskę. Rozpraszał nudę, torturując swoich niewolników. Cyrus i tamten wiking to ludzie tego samego pokroju. Powiedział mi, że w razie jego śmierci najemni mordercy wykonają wyroki na osobach, o których wspomniałem. Jeśli milczałem, to nie w obawie o swoje życie, tylko w nadziei, że w ten sposób oddalę od twojej rodziny straszne niebezpieczeństwo.

Sir Robert ojcowskim gestem ujął dłoń Rosamund.

- A więc do poślubienia mnie twój ojczym zmusił cię brutalnymi groźbami?

Nie mogła spojrzeć mu w oczy.

- Tak. Tak mi przykro.

Minęła dłuższa chwila, zanim ponownie się odezwał:

- Być może nie ma usprawiedliwienia dla przysięgi, która nie płynie z serca. Stało się tak jednak z określonych przyczyn. Potrafię zrozumieć miłość, Rosamund. Niestety, honor wyznacza mi drogę dalszego postępowania. - Głęboko odetchnął i przeniósł wzrok na Agravara - Kapitanie, czynię to bez najmniejszej przyjemności, lecz jestem zmuszony wyzwać cię na pojedynek. Tego wymaga obyczaj rycerski.

Lucien gniewnie sapnął.

Agravar wydawał się nienaturalnie spokojny.

- Przyjmuję wyzwanie, panie. Ośmielam się jednak prosić o pewną łaskę. Jeśli pokonasz mnie, nie szukaj zemsty na Rosamund. Ona niczemu tu nie zawiniła. Zdobądź się

wobec niej na przebaczenie.

Robert roześmiał się bez wesołości.

- Wyświadczę ci tę łaskę, kapitanie, ale bądźmy realistami. Jestem rycerzem znającym swoją sztukę. Wielokroć stawałem na ubitej ziemi i, nie chwaląc się, ze wszystkich pojedynków wychodziłem zwycięsko. Tamte czasy minęły. Dzisiaj jestem bardziej statystą niż wojownikiem. A teraz spójrz na siebie, kapitanie. Jesteś ode mnie młodszy i silniejszy. Wciąż nosisz miecz u boku i wciąż się ćwiczysz w rzemiośle wojennym. Tym razem to nie ja będę zwycięzcą. Są wymagania honoru, ale jest też rzeczywistość, która ma swoje prawa. Obaj wiemy o tym bardzo dobrze.

Podczas tej przemowy ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy Agravara.

- Nie znamy wyroków opatrności, więc nie rozstrzygajmy za nią. Ludzie głęboko wierzący zawsze spodziewają się triumfu dobra za bożym wstawiennictwem. Pamiętaj o swoim przyrzeczeniu, panie, bo może opatrność właśnie tobie przyzna rację i słusność.

Rosamund zamarło serce. Uświadomiła sobie bowiem z niezwykłą jasnością, że oto Agravar wybrał śmierć.

W chwilę po Rosamund do pracowni weszła Veronica. Poza nimi dwiema nikogo tu nie było. Wszyscy poszli oglądać walkę dwóch świetnych rycerzy.

- Czy już po wszystkim? - spytała Rosamund, patrząc na niewiastę, która niegdyś była jej serdeczną przyjaciółką, a której ona, co prawda nieświadomie, być może złamała życie. -

Czy Agravar został zabity?

Stara dama chwyciła Rosamund za ramiona i mocno nią potrząsnęła.

- Nie, nie został i nie zostanie, jeśli zrobimy to, co do nas należy. - Pociągnęła dziewczynę ku drzwiom.

- Nie, proszę! - broniła się Rosamund. - Nie pójdę tam. Nie chcę patrzeć, jak umiera.

- Właśnie, że pójdziesz. - Jak na tak drobną i szczupłą osobę, Veronica zdradzała mnóstwo siły, tyle że nie była to siła mięśni, lecz żelaznej woli.

Rosamund wciąż się opierała.

- Wystarczy, że przyczyniłam się do jego śmierci.

- Przestań histeryzować i posłuchaj mnie, dziecko. Zbierz całą swoją odwagę. Jeden z tych głupców zamierza umrzeć, a życie drugiego tak czy inaczej będzie zrujnowane. Nie możemy do tego dopuścić. Musimy ich powstrzymać.

- Naprawdę chcesz to zrobić? - Nadzieja zabłysła w oczach Rosamund i już bez dalszego oporu dała się prowadzić.

Zeszły po schodach i przemierzyły hol. Na dziedzińcu na chwilę oślepiło je słońce, gdyż niebo było bez jednej chmurki. Pospieszyły wzdłuż wewnętrznych murów i poprzez boczną furtę weszły na plac ćwiczeń. Tam właśnie toczyła się śmiertelna walka.

Na razie jednak niczego jeszcze nie widziały. Od walczących i widzów oddzielał je jeszcze budynek zbrojowni.

Rosamund roznosiła niecierpliwość.

- Veronico, proszę, powiedz mi, co właściwie zamierzasz?

- Dokładnie to samo pytanie prześladowuje mnie od chwili, gdy dowiedziałam się o wszystkim. Mam nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

- Jaki jest twój plan?

- W moim planie ty bierzesz na siebie największą odpowiedzialność. To ty musisz ich powstrzymać.

- Ale co ja mogę? Veronico, na Boga, nie dręcz mnie.

- Dość już z odgrywaniem roli skrzywdzonego dziecka. - Veronica powiedziała to głosem ostrym, tak jak ostrym nożem przecina się ropień. - Czy nie jesteś już znużona tą

swoją wieczną bezsilnością? Musisz walczyć, Rosamund. Walcz, bo tylko walcząc można coś uratować. W tym wypadku uratujesz swojego ukochanego, a mój umiłowany nie stanie się zabójcą. Zbierz całą swoją odwagę i walcz!

- Ale jak? - wykrzyknęła Rosamund, na granicy rozpacz. - Co może być moją bronią?

- Na pewno nie ciało, bo te, my kobiety, mamy słabsze od nich. Jednak nie powiedziałabym tego samego o naszym rozumie. W dodatku rozum potrafimy wesprzeć intuicją. Zajrzyj w głąb swej duszy, a na pewno znajdziesz odpowiednie słowa.

- Jestem zbyt przerażona!

Veronica zatrzymała się i szarpnąwszy Rosamund za ramię, odwróciła ją twarzą ku sobie.

- W takim razie twój mężczyzna umrze. Stoisz przed wyborem. Zdecyduj się.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY**

Rzesza obserwująca rycerzy gotujących się do walki zachowywała całkowite milczenie.

Robert włożył rękawice. Wyjął z pochwy miecz i dokładnie obejrzał brzeszczot.

Agravar stał nieruchomy niczym posąg. Można było wnioskować z jego nonszalancji, że albo pewien jest zwycięstwa, albo zdał się na opatrzność.

Na podwyższeniu pod chroniącym od słońca płóciennym baldachimem siedział człowiek, którego on, Agravar, z miłą chęcią posiekałby na kawałki. Cyrus aż kipiał z wściekłości z powodu takiego obrotu zdarzeń, a już najbardziej burzyła się w nim żółć na myśl, że sir Robert nie chciał już słyszeć o żadnych z nim wspólnych działaniach. Teraz lord Hallscroft przeszywał Agravara nienawistnym wzrokiem, ten zaś dobrze pojmował jego znaczenie. Cyrus marzył o zemście. Pragnął krwi.

Po przeciwnej stronie areny stał Lucien z bladą jak opłatek Alayną. Parę tę otaczało okoliczne rycerstwo, jak również żołnierze z zamkowej obsady. W większości byli to jego, Agravara, towarzysze i przyjaciele.

Mimo że przebiegł wzrokiem po wszystkich twarzach, nie dostrzegł przecudnej twarzy Rosamund. Z początku był rozczarowany, ale później zrozumiał. Gdyby była tu, mogłoby pęknąć jej serce.

- Jestem gotów - rozległ się głos sir Roberta. Agravar raz i drugi zamachnął się mieczem, pragnąc sprawdzić sprężystość swych mięśni. Doskoczył do niego Lucien.  
- Chcę widzieć, że walczysz - rzekł z naciskiem. - Jeśli przegrasz umyślnie, nigdy ci tego nie wybaczę.

Agravar patrzył na ziemię pod stopami, jakby była otwartą księgą legend.

- Kocham cię jak brata. Jesteś jedyną moją rodziną. - Powiedziawszy to, ruszył na spotkanie przeciwnika.

Sir Robert już był na miejscu. Nastąpiło rycerskie powitanie i oddanie honorów. Teraz przeciwnicy już tylko czekali na sygnał rozpoczęcia walki.

Uwagę Agravara przykuło poruszenie wśród publiczności. Ktoś krzychał - jakaś kobieta. Wciąż nie było jej widać, lecz nagle roztrąciła widzów i wybiegła na arenę. Jej śmigłe stopy niosły ją wprost ku rycerzom. Wtem potknęła się i upadła. Była to Rosamund.

Chwilę później pojawiła się Veronica. Jej krok był bardziej stateczny, a ruchy powolniejsze.

Rosamund natychmiast poderwała się z ziemi i uniosła ręce.

- Żądam, żebyście zaniechali walki.

Zachowanie to było nad wyraz niewłaściwe, zważywszy na to, że pojedynek, jak każdy pojedynek, był ujęty w jasne reguły. A tu nagle podważała je młoda niewiasta, która na

dobrą sprawę w ogóle nie powinna mieć wstępu na pole walki. W jakimś sensie czyniło ją to śmieszną.

Agravar uznał, że musi temu położyć kres.

- Rosamund, usuń się i stań razem z innymi. Zignorowała go. Przeszła spojrzeniem sir Roberta.

- A więc zdecydowany jesteś go zamordować? Zdezorientowany Robert zmrużył oczy.

- Wyzwałem go, co nie jest równoznaczne z morderstwem.

- Lecz dobrze wiesz, że on nie będzie walczył. Zdecydował, że dzisiaj umrze. Pytam zatem, w imię czego chcesz go zabić? Co skłoniło cię do rzucenia tego wyzwania?

Robert przełknął ślinę.

- Jest coś takiego jak honor.

Pochyliła się, jakby przygnieciona jakimś ogromnym ciężarem.

- A zatem honor wymaga zabrać człowiekowi życie. A gdzież tu miłość chrześcijańska?

Sir Robert potrząsnął głową.

- Jest jeszcze coś takiego jak zasady. To one sprawiają, że nie można przechodzić do porządku nad pewnymi faktami.

- Dlaczego nie? Rzecz przecież ciebie nie dotyczy. Nic do mnie nie czujesz. Kochasz inną. Sławią, panie, twoją dobroć i szlachetność, wynoszą pod niebiosa twoje poczucie honoru. Ale ja jestem tylko głupią dziewczyną, która pyta, co możesz zrobić dla miłości?

- Nie rozumiem - rzekł, coraz bardziej napięty i nieswój.

Rosamund wyprostowała się, wysuwając do przodu pierś. Agravar spoglądał na nią z podziwem pełnym szacunku. Już przestała być śmieszna. Była wspaniała i tragiczna. Ujęła w

obie dłonie ostrze miecza sir Roberta i skierowała je dokładnie w miejsce, gdzie było jej serce.

- Skoro Agravar chce umrzeć, ja pragnę tego samego.

- Wskazała na siedzącego pod baldachimem mężczyznę. Widziane z tej odległości obnażone zęby Cyrusa mogły równie dobrze świadczyć o uśmiechu, jak o wściekłości.

- To ten szatan uczynił nas szalonymi. Chcesz pozwolić, panie, rozprzestrzeniać się jego truciznie? Chcesz unieszczęśliwić wszystkich w imię honoru? Spójrz na Veronicę, przypatrz się jej udręczonej twarzy. A potem powiedz mi, komu służymy, gdy poddajemy się strachowi, głupocie bądź małoduszności? - Ponownie wskazała ruchem głowy Cyrusa. -

Jemu!

Zbliżyła się Veronica.

- Posłuchaj jej, Robercie, bo w jej słowach jest więcej sensu niżli w waszych męskich głowach, gdzie widzę tylko mgłę. Sprawy zaszły stanowczo za daleko. Czas zacząć myśleć chłodno i rozsądnie.

Zapadła cisza. Robert przenosił wzrok z jednej niewiasty na drugą i wciąż nie mógł podjąć żadnej decyzji. Ostrze jego miecza zabarwiło się krwią. To Rosamund tak kurczowo ścisnęła stal, że ta werżnęła się w jej dłonie. Była tak przejęta, że nie czuła bólu.

Podszedł Lucien.

- Robercie, one mają rację. To niczemu nie służy. Tu honor nie ucierpiał. Zdaje się, że poszliśmy błędną ścieżką.

Agravar patrzył na krew skapującą z miecza i coraz trudniej było mu ustać w miejscu.

Wiedział jednak, iż rzecz musi się rozstrzygnąć bez jego udziału. W żadnym wypadku, jako stronie, nie wolno było mu się wtrącać. Decyzja należała do sir Roberta i tylko do niego. A ten ciągle milczał.

Wreszcie przemówił:



- Nie ma honorowego morderstwa. Byłoby też hipokryzją mścić zło, które nie jest żadną, najmniejszą nawet dolegliwością. Nie godzę się też być narzędziem w rękach szatana.

- Tu spojrzął na Cyrusa, po czym odwrócił się do niego plecami. Ujął zakrwawione dłonie Rosamund. - Agravarze, podejdź i zabierz to dziecko. Zwalniam ją z danej mi przysięgi, a gdy Kościół udzieli nam rozvodu, będziesz mógł się z nią ożenić z moim błogosławieństwem.

Agravar ruszył, nakazując sobie powolny krok. W jego poczuciu minęła cała wieczność, nim wreszcie stanął przed swym kochaniem.

Spojrzały nań oczy tak czyste jak górskie jeziora.

- Zrobiłam to - dał się słyszeć jej pieszczotliwy głos.

- Zrobiłaś to, moja ty strachliwa dziewczynko.

- Tak się bałam.

- Po raz ostatni w życiu. Dawne niebezpieczeństwa minęły, a przed nowymi ja będę cię chronił.

Uśmiechnęła się. Dziko pragnął obsypać ją pocałunkami, ale byłoby to nader niestosowne w obecności sir Roberta, formalnie wciąż jej męża.

- W takim razie możemy wracać na zamek - rzekł Lucien. - Zazwyczaj widowisko cieszy, tym razem jednak czerpiemy przyjemność z jego braku. - Spojrzął na Cyrusa i podniósł głos, żeby być dobrze słyszany. - Żegnam, mój panie. Moi ludzie odprowadzą cię do granic posiadłości. Powinieneś być mi wdzięczny za darowanie ci życia.

- Pusz się, de Montregnier, i piszcz z radości, będziesz wszakże żałował dnia, w którym uczyniłeś mnie swoim wrogiem. A wy... - tu Cyrus ogarnął nienawistnym spojrzeniem Rosamund i Agravara - będziecie błagać o litość, kiedy się wami zajmę.

Agravar kilkoma susami pokonał odległość dzielącą go od podwyższenia.

- Groźba rzucona przy tylu świadkach jest wystarczającym powodem żądania

satisfakcji. Być może zebrani tu widzowie będą dziś mieli swoje widowisko.

- Chyba zapomniałeś o naszej rozmowie - syknął Cyrus przez zęby. - Powiedziałem ci wtedy, że Gastonbury spłynie krwią w razie mojej śmierci.

Tym razem Agravar wyglądał na rozbawionego.

- Mój ojciec był bardzo do ciebie podobny. Też miał łajdacką, okrutną duszę. I

ogromny skarb, który zgromadził w ciągu wielu lat swych łupieżczych wypraw. Ja i Lucien zabiliśmy go. Ja go trzymałem, a Lucien poderżnął mu gardło.

Ku wielkiej satysfakcji Agravara, Cyrus wydawał się wyprowadzony z równowagi.

- Po co mi to wszystko mówisz?

- Wzięliśmy wszystko. Wiele skrzyń złota i różnych kosztowności. Jestem

człowiekiem bogatym. Bajecznie bogatym. - Przybliżył twarz do twarzy siedzącego przed

nim mężczyzny. - Obojętnie, ile zapłaciłeś lub zapłacisz wynajętym przez siebie mordercom,

zawsze będę w stanie podwoić lub potroić tę sumę. Ale nie uczynię tego bezinteresownie. W

zamian za te pieniądze zażądam od nich, by zaniechali działań. A teraz pytam cię - kto przy

zdrowych zmysłach zechce narażać się na schwytanie i egzekucję, jeśli będzie wiedział, że

podwójną korzyść odniesie, zostając po prostu w domu?

Cyrus poruszał ustami, lecz nie udało mu się wydać żadnego sensownego dźwięku.

- A teraz do rzeczy, ty ludzki potworze. - Głos Agravara nabrał metalicznego

brzmienia. - Wyzywam cię na pojedynek. Tu i teraz. Gotuj się do walki. Czekam cię na placu.

Odwrócił się i krzyknął do swoich ludzi:

- Przeprowadźcie mi konia. Pojedynek mimo wszystko się odbędzie...

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie dokończył. Ostry ból przeszył mu bok.

Dokładnie w miejscu, w które przed miesiącami Davey zanurzył swój sztylet. Odjęło mu władzę w nogach. Osunął się na kolana.

Ujrzał tuż przed sobą rozszerzone przerażeniem oczy Rosamund.

- Co za pech - mruknął. - Od kiedy ciebie poznałem, upadałem częściej niż przez całe swoje dotychczasowe życie. Nie masz do mnie szczęścia, dziewczyno.

- Agravar? Runął na ziemię.

Rosamund załamała rękę. Płacz wstrząsnął jej ciałem. Zaczęła wołać o pomoc.

Nagle padł na nią długi cień. Coś przesłoniło słońce. Uniosła wzrok i zobaczyła

Luciena. Trzymał w ręku obnażony miecz. Zamachnął się i ciął. Ostrze spadało wprost na jej głowę. Boże, czymże mu zawiniła? Dlaczego jednak wciąż nie czuła bólu? Spojrzała za siebie i zobaczyła przemienioną w maskę szaleństwa twarz Cyrusa. Uniknął ciosu i zdołał chwycić ją za włosy. Szarpnięciem poderwał ją z klęczek i zasłonił się nią niczym tarczą. Poczula zimną stal na swojej szyi. Uderzył w jej nozdrza zapach krwi.

Tuż przy jej uchu rozległ się obłąkańczy śmiech Cyrusa.

- Ani kroku dalej, chyba że chcesz, żebym poderznął gardło tej małej zmi. Rzuć miecz i ustąp mi z drogi.

Rosamund jęknęła. Ostrze musiało już zagłębić się w jej ciele, bo oprócz bólu czuła jeszcze ciepłą stróżkę spływającą w dół po szyi na pierś. Lucien musiał to widzieć, gdyż miał oczy utkwione w miejsce poniżej jej brody.

Cyrus zaczął wolno przesuwać się wraz z nią w kierunku bramy.

- Rzucając miecz, zachowałeś się rozsądnie - rzekł do Luciena głosem już nieco bardziej opanowanym. - Postępuj tak dalej. Dziewczyna jedzie ze mną. Natychmiast wydaj rozkazy, by moi ludzie czekali na mnie koło bramy. Nie zapomnij o moim koniu i koniu dla tej dziewczki.

Rosamund kątem oka zauważyła, że coś pełźnie w ich kierunku po ziemi. Jakiś cień, który trudno było jej rozpoznać, bo nie mogła ruszyć głową. Najmniejszy bowiem ruch

powodował, że ostrze bardziej zagłębiało się w jej ciele.

Sir Robert, który stał z przeciwnej strony, krzyknął dla odwrócenia uwagi Cyrusa:

- Nie masz żadnych szans wyjechać stąd z niewiastą, która wciąż jest moją żoną.

- Żoną której nie chcesz. Tym samym wraca ona do mnie. Przyznaję, że uciekłem się do brutalnej przemocy, lecz nie daliście mi wyboru. Zresztą kobiety lubią, jak mężczyzna gwałtem potwierdza swą władzę nad nimi.

Zamilkł i w tym momencie Rosamund poczuła na karku coś ciepłego. Jakby wylano jej na szyję kubek podgrzanej wody. Zaraz też stwierdziła, że nikt już jej nie trzyma, że jest wolna.

Odwróciła się i jednym spojrzeniem ogarnęła sytuację. U jej stóp leżał Cyrus i jeszcze kopał nogami, choć już coraz słabiej. Z jego gardła buchała krew, wsiąkając w ziemię. Obok stał Agravar. W prawej dłoni trzymał nóż, lewą przyciskał do boku. Patrzył wprost w jej oczy.

Nie mogła się mylić. Było to spojrzenie pełne uwielbienia i czci.

Zbiegli się wszyscy, którzy obserwowali tę scenę. Przyjaciele, żołnierze, zaproszeni baronowie. Niebezpieczeństwo minęło i na wszystkich twarzach gościł uśmiech. Rosamund też się śmiała. Uśmiechał się nawet Agravar.

Wreszcie ktoś rozsądny zdecydował, że trzeba tę dwójkę opatrzyć.

# EPILOG

Rosamund pogrążona była w słodkim śnie. Nagle to się zmieniło.

Poderwała się i siadła na łóżka. Miała wrażenie, że słyszy jeszcze zamierające echo swego krzyku.

Obok niej ktoś się poruszył. Był to ktoś potężny, gdyż zajmował większą część łóżka.

- Rosamund, co się stało? - spytał Agravar.

- Nic. Spałam i obudziłam się.

Usiadł i położył dłoń na jej brzemiennym brzuchu.

- A może to dziecko? Dało ci znać, że nadeszła pora Roześmiała się i pogładziła męża po policzku.

- Jestem przygotowana, ale to jeszcze nie dzisiaj. Spróbuj zasnąć, kochany.

- A może dać ci coś do picia?

- Dobrze - zgodziła się, wiedząc, że Agravar nie złoży głowy na poduszce, dopóki nie będzie przekonany, że zadbał o swoją żonę.

Miał włosy w nieładzie, lecz jego ciało, gdy stanął w świetle księżyca na środku komnaty, wydawało się wzorem harmonii. Pod skórą przy każdym mchu prężyły się i drgały mięśnie, które przywodziły na myśl struny jakiegoś szczególnego instrumentu muzycznego, bo niemal słyszało się wygrywaną przez nie melodię. Agravar podszedł do stolika i napełnił pucharek rozwodnionym winem.

Miało się już ku jesieni. Tyle lat minęło od dnia, kiedy po raz pierwszy go ujrzała, a wciąż gdy spoglądała nań, serce jej zaczynało bić żywiej i radośniej.

Gdy wracał do łóżka, potknął się i wypuścił naczynie z ręki. Wino rozlało się. Agravar zaklął pod nosem.

Rosamund przygryzła wargi. Domyślała się przyczyny potknięcia.

W ręku Agravara pojawił się mały drewniany miecz.

- Trzeba temu położyć kres.

- Masz całkowitą rację. - Zachowanie powagi wymagało z jej strony sporo wysiłku.

- On zupełnie nie dba o swoje zabawki.

- Też tak sędzę.

- Mogłem złamać nogę.

- Masz zbyt zwinne ciało, by łamać cokolwiek.

To go trochę udobruchało. Coś mruknął, po czym zawrócił, by raz jeszcze nalać i przynieść wina. Po pierwszym łyku Rosamund zaczęła chichotać.

- Co cię tak śmieszy? - spytał.

- Ty. Przypominasz mi kwokę. Twoja troskliwość i opiekuńczość nie ma chyba sobie równych.

- Nic na to nie poradzę - bronił się. - Człowiek ma wreszcie coś drogiego, więc trzęsie się, żeby tego nie utracić.

Wsunęła mu rękę pod ramię.

- Ale to już nasze trzecie dziecko. Powinieneś się przyzwycząć.

Westchnął.

- Trzecie jest dla ojca najtrudniejsze do przyjęcia. Pierwsze to wielka radość i równie wielkie podniecenie. Drugie - człek jest wciąż oszołomiony. Przy trzecim natomiast zaczyna wyobrazać sobie różne niebezpieczeństwa i w rezultacie szaleje. Tak było z Lucieniem, tak dzisiaj jest ze mną.

- Zatem postanowione. Uniósł brwi.

- Postanowione? Co postanowione?

- To musi być nasze ostatnie dziecko. Kiedy się urodzi, przestajemy spać ze sobą.

- Jeśli to jest żart, to wyjątkowo okrutny. - Wyciągnął się na łóżku i przytulił do żony.
- Dopiero teraz naprawdę cię zaczynam pragnąć.
- Nie wierzę. Jak można pragnąć takiej wzdętej ropuchy z plamami na policzkach.
- Dla mnie jesteś piękna.

Wiedziała, że tak odpowie, a mimo to zalała ją radość. Ich miłość miała trwałość skały i żar ognia.

- Agravar?

- Tak?

- Znowu miałam ten sen. Ale tym razem usłyszałam ją. Przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu.

- Nie wydajesz się wzburzona.

- Bo nie jestem. Matka pożegnała się ze mną.

- Nie rozumiem.

- Ten sen stanowi wspomnienie konkretnego wydarzenia. Kiedy byłam dzieckiem, przysła pewnej nocy do mego pokoju. Pochyliła się nade mną i myśląc, że śpię, zaczęła mi coś szeptać do ucha. Przez wszystkie te lata nie mogłam przypomnieć sobie jej słów. Myślę, że ze strachu przed prawdą wyrzuciłam je ze świadomości.

- A jaka to prawda, Rosamund? - Na jego twarzy malował się niepokój.

Musiała go dotknąć. Kiedy go dotykała, strach nie miał do niej przystępu.

- Szeptęła mi do ucha słowa pożegnania. Wiedziała, że umrze tej nocy. Zawsze sądziłam, że to Cyrus ją zabił. Teraz wiem, że odebrała sobie życie.

- Tak mi przykro, Rosamund.

- Jak długo można wytrzymać tortury? Dzień, tydzień, miesiąc, ale nie całe lata.

Wybrała wolność śmierci, gdy przetrzymanie kaźni życia stało się ponad jej siły. Oczywiście,

za jej śmierć odpowiedzialny był Cyrus. To on przywiódł ją na skraj przepaści. - Na chwilę pogrążyła się w myślach. - Wiesz, kiedy już to wszystko wiem, odczuwam wielką ulgę. Jakby raz na zawsze skończył się pewien koszmar. Mam wrażenie, a nawet pewność, że przeszłość mnie już więcej nie dosięgnie.

Dotknął opuszkami palców wąskiej blizny na jej szyi.

- Ona już pewnie nigdy nie zniknie.

- I cóż z tego? Grunt, że dostrzegam wokół siebie tylko piękno i dobroć. Zło znikło lub pochowało się po kątach.

- Moja nieustraszona. - Pocałował ją w czoło. Leżeli przez jakiś czas bez ruchu, w całkowitym milczeniu, każde pogrążone w swoich własnych myślach.

Nagle Rosamund zaczęła chichotać. Agravar uniósł głowę z poduszki.

- Na miłość boską, co ci jest? Wpadasz ze skrajności w skrajność. To nie jest normalne.

- Najzupełniej normalne, bo właśnie pomyślałam o naszym ślubie.

- A co tam było śmiesznego?

- Pamiętasz te trzy jasnowłose piękności? Zgrzytały zębami, aż echo szło.

- Rosamund, prosiłem, żebyś nigdy o nich nie wspominała.

- Nie bądź taki śmiertelnie poważny, mój mężu. Wtedy upodabniasz się do lorda

Luciena. On zawsze miał wygląd człowieka, który przed chwilą ściął co najmniej trzy głowy.

Lecz kto go poznał bliżej, przekonywał się, że w jego piersi bije dobre i szlachetne serce.

- Dobrze, tylko powiedz mi z łaski swojej, dlaczego akurat ci się przypomniały te trzy pustogłowe lale.

- Robię przegląd mojego dotychczasowego życia i widzę, jak bardzo się ono zmieniło.

- Zmieniło na lepsze.



- Och, z pewnością. Jestem szczęśliwa i nie wiem, co to troszczyć się o dzień jutrzejszy. Tym razem biedaczkom nie udało się usidlić Agravara Wikinga. Tamtego dnia ja unosiłam się na skrzydłach szczęścia, a one płakały.

Poklepał żonę po ramieniu.

- Nie przejmuj się. Wszystkie wyszły za mąż i zapomniały już o Agravarze Wikingu.

Roześmieli się i niebawem zmorzył ich sen.

Nazajutrz przed południem chwyciły Rosamund bóle. Poród odbył się bez większych komplikacji. Przyszła na świat dziewczynka. Synkowie Rosamund i Agravara dostali w prezencie siostrzyczkę.

Pragnęli ją zaraz zobaczyć, więc wprowadzono ich do komnaty, a dumny ojciec pokazał im to чудо. Okazało się, że cudem ta istota nie jest.

- Nie ma ani jednego zęba - zauważył pięcioletni Brice.

- Jest czerwona i pomarszczona - dorzucił czteroletni Ranulf, nie kryjąc rozczarowania.

Agravar spojrzał ponad ich jasnymi główkami na żonę, błagając oczyma o pomoc. Jak można było mówić o czymś tak pięknym z taką powściągliwością?

Rosamund przywołała chłopców i uścisnęła ich. Potem wypytywała, jak spędzili ten dzień. Okazało się, że małe szkaradztwo nie odebrało im serdeczności matki.

Brice podszedł do kołyski, do której ojciec już zdążył włożyć siostrzyczkę.

- Myślę, że nie jest aż tak brzydka - rzekł niechętnie. Zaciekawiony Ranulf też zerknął.

- Zobacz, przecież nie ma włosów.

Dostał kuksańca w bok i odwrócił się rozzłoszczony ku starszemu bratu. Dostrzegł jednak jego spojrzenie, a że był chłopcem pojętnym, zwalczył w sobie chęć do bitki i spuścił głowę.

- Jest nawet całkiem ładna.

- Dziękuję, chłopcy, za godne powitanie siostry - rzekł Agravar, pragnąc jak najszybciej zakończyć wizytę synów, by nie wynikły żadne dalsze komplikacje.

- Wasza siostra będzie was potrzebowała - dodała matka. - Musicie się nią opiekować.

Unieśli głowy jak na komendę.

- To prawda - potwierdził ojciec. - Jest teraz okruszynką, ale kiedy dziewczynka rośnie, coraz bardziej polega na swoich braciach, ufna w ich opiekę. Obaj wypięli dumnie pierś.

- Więc jak, zaopiekujecie się Isabellą? - spytała matka, natychmiast uświadamiając sobie, że posunęła się za daleko. Z min chłopców wynikało bowiem, że już od dzisiaj gotowi są nie odchodzić ani na krok od kołyski. Prędko zmieniła temat.

- Brice, twój ojciec ma miecz, który pozostawiłeś w naszej komnacie.

Agravar wyjął drewnianą broń ze skrzyni.

- Jeśli raz jeszcze go tak porzucisz, nigdy go już nie odzyskasz.

- Tak, ojcze - odparł malec. - Będzie mi dzisiaj potrzebny. Mamy stoczyć bitwę.

- A z kim ta bitwa, jeśli można wiedzieć?

- Aric, Lukę i my przeciwko chłopcom stajennym.

- Tylko nie zrańcie nikogo - zawołała Rosamund za wybiegającymi w pośpiechu synkami.

- Małe krwiożercze bestie - mruknął Agravar. Odwrócił się i spojrzał na żonę.

Wybuchnęli śmiechem.

Śmiali się tak głośno, że zaniepokoiło to małą istotkę. Ptaszek zaczął kwilić.

Rosamund podała dziecku pierś.